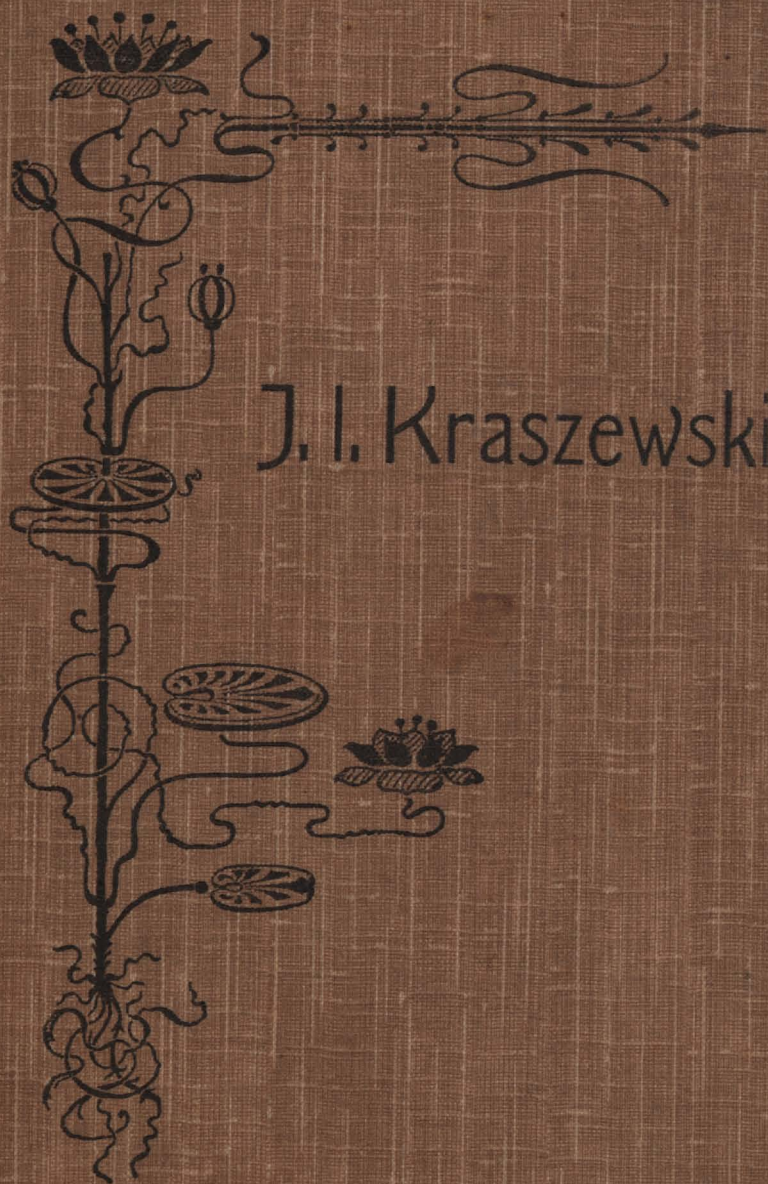




J. I. Kraszewski

HISTORIA PRAWDZIWA
O PETRKU WŁAŚCIE.

HISTORIA PRAWDZIWA
O PETRKU WŁAŚCIE
PALATYNIE
KTÓREGO ZWANO DUNINEM

Opowiadanie historyczne z XII wieku

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Kraszewski
TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Марта 1899 года.



WUM/ 271

Stanisławowi Duninowi

z lat lepszych Towarzyszowi miłemu

przesyła

AUTOR.

Florenoya
17 Marca 1878.

I.

Zmierzch był dnia jesiennego, a takiej jak ta jesieni ludzie najstarsi nie pamiętali. Przyszła ona jakby Boże błogosławieństwo, aby biedni ludziska z pola, co gdzie jeszcze na niem było pochwycili do brogów i stogów, a ozime półka obsiać mogli wezas, i do weselisk, zawsze porą jesienną obchodzonych, przy pełnych stodołach,—przysposobili się bez troski.

Dziesiątnicy duchowni już byli wszędzie powytykali, co gdzie kościołom należało i zdali na wierne ręce, wybranym do przechowania kmieciom, dopóki by się to nie sprzedało. Poczynały się po lasach łowy gorące, aż się puszcze rozlegały, bo o wojnie jakoś pod ten czas słyhać nie było. I lud Boży oddychał.

To też jadący polem, lasem podróżny, na zaraniu, wieczorami choć ptactwa świergocącego i przyśpiewującego nie posłyszał, bo to było umilkło jedno a drugie za morza poodlatywało, ludzkie śpiewy wesoło chwytiał uchem i serce mu się od nich radowało.

Okolo chat na rucianych ogródkach śpiewały dziewczki, okolo stawów wyciągając z wody len i konopie śpiewały niewiasty, koło stad na wyspach zawodzili pastuszkowie, a kędy kościół stał wieczorem otwarty i z niego słyhać było nuconą chwałę Bożą.

U gościńca do Wrocławia wiodącego, w gęstym lesie na skraju stała gospoda, bo to szlak był, którym do miasta na targowice dużo ludzi ciągnęło, nie

tylko ze Szlązka i z Polski, ale i z kupią z obcych ziem, którą pod owe czasy mieniano na inną, albo ją i za kruszec sprzedawano. Zbiegały się w Wrocławiu drogi ze wschodu i zachodu, jechali tedy kupcy od Rusi z greckimi wyrobami i ruskim towarem, przyjeżdżali niemcy od Sasów i od Franków, czasem Szwaby, ba i dalsi.

Ale onego dnia w gospodzie jakoś pusto było, i Mikuł gospodarz, żona jego Samicha a czeladź ich nie do czynienia nie mieli.

Budowa była drewniana, duża jak szopa, z przedśmieniami na słupach dokła ją oblegającymi, aby się gdzie lud czasu słońca gorejącego i niepogody miał schronić, nie dusząc w izbie, choć izba też była przestronna, w ławy dookoła przybrana, w pośrodku ognisko z kamieni czysto mająca wyłożone. Po nad niem dziura, w wyżkach i dachu, kłapą zamykana, przez komin z chrustu pleciony, gliną wylepiony, dym się na dach dobywał.

Naokół ogniska, w którym się teraz ledwie węgli ostatki tliły, leżały kłody i kamienie, aby czasu zimy ludzie bliżej ciepła przysiąść się mogli. Był z jednej strony i stół duży, a na nim jeszcze próżne kubki drewniane i gliniane dzban stał od piwa, a w rogu obyczajem powszednim chleb, bułka i nóż przy niej, na ręczniku.

Cicho było w gospodzie, jak to gdy się ludziom na sen i spoczynek zbiera, tylko w szopie obok do izby przytykającej, ścianą z dylów od niej przedzielonej, beczwały owce gospodarskie czarne i bure, przychwały krowy i koni para rżeniem się do wieczornej paszy odzywała.

Co się najadło wprzód i napiło, przed spoczynkiem po swojemu mrużąc, Pana Boga chwaliło.

Mikuł stary człek, przygarbiony, w grubej, szarej bieliźnie jednej i chodakach skórzanych, sznurami do nóg poprzytwierdzanych, na ławie siedział u okna odsuniętego i czegoś postękiwał, powzdychiwał,

zadumywał się, oburącz głowę podłysiałą podparłszy i brodę rozczochraną, krótką zadarłszy do góry.

Z rękami na piersiach założonemi, dalej nieco siedziała otyła, stara Samicha, żona jego, kądziel jeszcze trzymając przed sobą, a wrzeczono już w nią zatknawszy; bo jej w kącie zmierzchno i ręce od snucia nici drżały. Z czeladzi dwoje przed gospodą leżało brzuchami na ziemi, głowy na rękach oparłszy, trawę skubiąc z próżnowania i gryząc ją bez myśli, a pomrukując lada co.

To się tam który rozśmiał, który zdrzemał, to jeden drugiego ręką sięgnął, a po družbie dał kulaka. Nie było bo co robić.

W izbie na ławie niskiej jedynyny jeden drzemał sobie stary dziad z gęsłą na plecach, siwowłose, spoczywając też, ale z nałogu; gdy się przebudzał, coś sobie podśpiewywał i sen mu z ust powoli pieśń zdejmował. I słyhać było zamiast niej chrapanie, a potem przyspiewkę i znowu sen wtóry.

Znać tu starowina znanym był, bo na niego nikt nie patrzył i nie było mu pilno ani do snu, ani do pieśni, ani w drogę. Są bo takie chwile na człowieka, że mu się nie chce niczego, nawet życia. Ciemniało już i kury wszystkie z pod gospody poszły spać na poddasze, mieszcząc się na grzędach.

Wśród tego milczenia, gdy i las nawet zdrzemałszy się nie szumiał, hen, zdala coś zatętniało. Mikuł zaraz głowę podniósł i ucha nastawił. Samicha się jakby przebudziła i kądziel postawiwszy, wstała przeciągając się, dziad też przetarłszy oczy, coś głośniejszym płaczliwym głosem zanucił.

Czeladź, co na dani leżała, podniosła się nasłuchując, wstawać czy nie, gdy z krzaków dwa duże, piękne psy łowcze się wyrwały i nosami po ziemi tropiąc, poczęły biegać, dopieroż ludzi postrzegłszy naszczekiwać, i stanęły.

Za niemi z gąszczy, w której zaszeleściło i zachrząszczało, jakby zwierzył się z niej dobywał duży,

wysunął się jeździec i stanął. Trudno go było poznać, co za jeden był, bo odzież na sobie miał niepoczesną, ale pod nim koń krępy, gruby, mocny, żyzny szedł, jakby pański.

Na nim rząd prosty, skórzany, wdziany był i siedzenie nie wykwiłtne. Człek na plecach luk i kolezan miał prosty, a nogi przytwierdzone toporek i oszczep.

Wydobywszy się na gościniec, począł się tu i owdzie rozpatrywać mocno, wprzód, w tył, niby się dziwując, że tu stał, niby nie wierząc oczom własnym.

— Sam tu! — zawołał ku czeladzi. — Co to za państwo? jaka to droga? kogo wy tu słuchacie? czyj las? he?

Posłyszawszy pytanie, nim się parobcy zebrali odpowiedzieć na nie, sam Mikuł wyszedł z pokłonem, przypatrując się pytającemu. Człek był zasię młody, ogorzwały, bujnego wzrostu, silny, pięknej twarzy, z pańska wyglądający, choć odzież pana nie wydawała. Mikuł, który pochwylił pytanie, począł przybliżając się ku jeźdźcowi, odpowiadać powoli, choć więcej patrzył, niż mówił.

— Czyż to Wasza Miłość tak zdala, że o nas nie wiecie?

— A zdala i dużom puszciami pobłądził, dni już trzy się po nich rozbijając. Odbiłem się od swoich, oman jakiś czy co po bezdrożach mnie wodził.

— Ziemia to pana Petrka Włodkowego — rzekł Mikuł — coście pewnie o nim słyszeli, bo o nim na wsze strony szeroko głośno. Pan mocny jest, a teraz gospoda i ziemia sucha do klasztoru, któremu jest nadana, do czarnych mnichów. Karczma ich i szynk ich, i ja też siedzę z ich ręki od księdza opata.

Do Wrocławia ztąd niewielki kawał drogi.

Splnął jakby z gniewu podróżny, słuchając, a potem się zaraz przeżegnał.

— A to dyabeł chyba mnie kędyś tak daleko zaciągnął. Gdzie u licha? Pod Wrocław!

I ruszył ramiony, a potrząsał sobą. W tem na gościńcu zdala turkotać zaczęło. Mikuł zamilkł wyglądając ku lasowi i ku polom na przemiany. Od strony Wrocławia wóz się toczył i huczało, gdy szedł po twardem. Siedział na nim człek jeden powożąc się, drugi wyrostek przyczepiony był u drążka. Dwa konie ciągnęły wozisko, a trzy za niem biegły, wszystkie jakby pomęczzone bardzo, głowy zwieszały i wlokły się, ten podkuliwając, drugi ledwie ciągnąc nogi.

Gospodarz na wozie, na garści słomy siedzący w czapce dużej, z opończą narzuconą na ramiona, średniego wieku, twarzy zaszępionej, za pasem siekierkę miał, przez plecy torbę skórzaną.

— A wiu! a wiu! — popędzał konie, aż pod gośpodę podjechał, stanął.

Odwrócił się do Mikuły.

— Witaj ojcze Tymochu! — odezwał się gośpodarz, zwracając ku niemu.

— Bóg zapłać, jestem żyw, jak widzicie, a i to szczęście — odparł Tymoch. — Z „przewodem“ mnie gnali, gnali, że i we mnie i w koniach ledwie już tchu stało.

To mówiąc i nie spojrzawszy nawet na jeźdźcę, który stał i słuchał, z wozu zszedł przybyły, konie jego poczęły trawę skubać, on im z wozu, z pod słomy garść siana zarzucił, aby miały czem zęby przetrzeć — a sam do izby pociągnął.

Stojący jeszcze na koniu podróżny rozmyśliwszy się, podjechał też pod szopę i ze szkapy zsiadł na czeladź huczając, aby mu ją wzięto do żłobu. A tuż i psy doń przybiegły, z którymi razem do izby krokiem śmiałym wszedł, jak ten, co się wszędzie panem czuje.

— Gospodarzu miły — ozwał się głosem młodym i mocnym, który pięknie brzmiał — jam głodny i koń mój także, o obu radźcie, jako możecie. Psom by się też coś zdalo.

— Piwo i miód na rozkazanie — rzekł Mikuł —

jak lepsze nie mogą być, chleb też jest, sól, słonina i ser, a baba i polewkę ciepłą zwarzy, kiedy każecie.

— Niech warzy co chce! głód nie patrzy, co dają — rzekł na ławie zasiadając za stołem młody pan.

Tymoch popatrzał jakoś nieufnie, podejrzliwie, z trwogą prawie na mówiącego, jakby go dopiero teraz dojrzał, przy dziadzie nieopodal na ławie stęknawszy, usiadł i piwa zawołał.

— W gardle zaschło, Miku! nim konie tchną ja się napiję.

— A wy to zkąd? — spytał go jezdny z za stoła.

Nie zaraz mu odpowiedział Tymoch.

— Mil parę złąd siedzę, wolny kmieć jestem, z przewodu powracam.

Westchnął.

— A kogożście to przewodzili? — zapytał jeździec.

— He? czy to teraz na podwody nasze przewodów brak? — począł Tymoch, bo mu się już gęba rozwiązywała. — Miłościwy panie, i my i konie ledwie dyszemy. Albo to u nas księdzów mało? a który z nich jedzie czy swoją ziemią czy endzą, juści mu wszędzie przewód dać trzeba, a nie to po łbie i konie z szopy bez czлека zabiorą, co ich potem nie ujrzysz. Nie pytają oni, czy i nam kmieciom chudoba wyzdycha. Pędzi starościński włodarz czy dla Władysława, czy dla Bolka, czy choćby i dla wojewody jakiego, a podoba się jego miłości księdzu biskupowi któremu jechać, to ich ludzi pędzą do przewodu, i starościńscy, i dla żupanów i dla pańskich urzędników, a choćby i dla pisarzy książęcych.

Westchnął znowu i głowa mu zwisała.

Młody popatrzał nań mileząco — podawał mu właśnie Miku! gospodarz miód, a Tymochowi piwo.

— Tak, że to ono z wieku bywało! — odezwał się młody z za stołu. Tymoch się na to strząś.

— Ojcowie inaczej pamiętali — szepnął od ust

kubek odrywając — dawniej się różno trafiło, z laty gorsze nastalo. Panów się moc namnożyła wielka i żupanów i urzędników i duchownych i księdzów tych i owych. Kmieciami coraz ciężej.

— Zawszy ludzie narzekali — odparł młody podpijając i przegryzając.

— Dziadom bo lepiej było — wtrącił Tymoch — dopóki do nas nie przyszedł wszelki obyczaj niemiecki. A no.

Machnął ręką i usta mu się zwarły.

— Mówcie jako chcecie, mówcie — odezwał się młody — jam ci nie Niemiec a swojak.

— To swojak wiedzieć musicie, jak nam kmieciom teraz jest — mówił Tymoch. — Placiemy poradne, dajemy podworowe, naraz, dajemy przewód, idziemy do grobel, haci i mostów, do płotów i do tynów, do zwózki; dajemy osyp, miód, kury, woły, a gdy przyjdzie pogoń, pogońce... Kto tam zliczy! Czyż może być gorzej?

Znów zamilkł; a tchnawszy jak sam do siebie, ciągnął:

— Bierze ksiądz dziesięcinę dodatku. Jak zostanie na przednowku chleb dla nas z ościami, a dla koni strzecha, Pana Boga chwał, bo na stacyi stogi nasze pańskie konie zjadły, a czeladź płoty popaliła.

Miku!, który stojąc przysłuchiwał się, uśmiechnął z pod wąsa.

— Coś bo wam dziś przewód zalał sadła za skórę — rzekł pomrukując. — Ono to wszystko prawda, a jabym się z wami jeszcze pomieniał na moją biedę i w targu zarobił. Ludzie macie dosyć, czeladzi, parobków, koni, stadniny, trzody i pól i braci, głodu nie znacie...

— Jak ono pójdzie dalej tak — ciągnął Tymoch — kmiecie zejda na zagrodników. Im więcej panów, tem na nas ciężej. Bywał bo jeden pan, jeden król, jednegośmy słuchali, teraz już czterech czy pięciu, panów biskupów drugie tyle, co jak królowie panują.

Niech się to rozrodzi, będzie po jednemu na kmiecia. Coraz koło nas cieśniej — dodał — a do sądu i po sprawiedliwość, albo ja wiem, dokąd iść z datkiem i żałobą? Za jedno do żupana, za drugie do księcia, za trzecie do biskupa — każdemu sądowi trzeba płacić, a żaden sprawiedliwości dać nie mocen.

Gdy się tak gwarzyło, Mikuł, wychylony przez kmiecia kubek piwa, nalał na nowo.

— Napijta się — rzekł, podając mu — lżej na sercu, a jaśniej w oczach będzie.

Więc gdy pił Tymoch, a młody podróżny na dalsze żale ucha nastawiał, dziad co dotąd niemy siedział w rogu ławy, począł coś pomrukiwać. Niby śpiewał, niby mówił, niby drugim, niby sobie. Zrazu go i zrozumieć było trudno, aż jakby zdali kędyś przychodząc, to mruczenie zbliżać się i w mowę coraz wyraźniejszą zmieniać zaczęło.

— Bywało inaczej — jak ono bywało! — wiedzą tylko groby, mogiły śpiewają, gdy wiatr po nich dmucha. A któż wiatru słucha? Żywych, co patrzali na świecie nie stało. Bywało! bywało! I ziemia rodziła i paśli się ludzie i krew się nie lała, a pana nie znali i panami byli — bywało! a kiedy to było? kiedy słonków dwoje na niebie świeciło, a cztery miasteczka około nich chodziły. — Hej! hej!

I począł się śmiać sam do siebie, sam z siebie.

— Ojcie Tymochu — mruczał dalej — jako świat był światem, wilcy krowy dusili, a żupany kmieciów cisnęli. Na co Pan Bóg zęby dał??

— Hej ty dudo dudarzu — przerwał Tymoch gniewnie — ale onego czasu na dziesięć krów był jeden wilk, na stu kmieci żupan jeden, teraz na jedną krowę dziesięć wilków, na jednego kmiecia stu żupanów!

Jak posiał mileżeniem.

— Z Wrocławia jedziecie? — zapytał młody.

— Bo do Wrocławia przewód mój był — rzekł kmieć — do dwora pana Petrkowego, jakieś książątko jechało. Ledwie z niem u wrót pod Sobótką stanął,

konie wyprzągł, nie czekałem Bóg zapłać i w nogi do domu. Nużby drugi nazad przewodu potrzebujący pochwyceił!

— Nadaremna to trwoga — rzekł Mikuł — boć pan nasz Petrek, Boży sługa, dla kmiecia i wszelkiego człowieka litościw wielce. Prędzejby was pokarmić kazał, niż dalej gnać.

Dziad potwierdził.

— Toć pan! — rzekł — nie minie czleka bez jałmużny, a i pani Petrkowa dobra jest i syn Świętoch się wdał w rodzice, zmiłowanie mają nad ubogim narodem.

— Co bo wy ich tak chwalicie bez miary — wyrwał się kmieć — jakby to go ludzie z dawien dawna nie znali.

— Ja tego chwale, na czym wózkuję — rzekł Mikuł, skrobiąc się po głowie — toć to karczma jego była, i jam jego był, mało co, jak ją zdał na Czarnych. Gdyby go i nie słuchał, powiem, jak się go dzi, bo dobry pan.

— A no! dobry teraz, pewnie, gdy się spał — rzekł uparty kmieć. — I wilk gdy niegłodny, krowie się ogonem kłania. Miałbym ja to co on, takżebym dobrym był. Złoto u niego korcami mierzyć.

— Czemu nie — odparł Mikuł — a ziemi ma, co jej w rok nie objedzie, lasów tyle, co ich nie przepoluje w pięć lat, wszelkiego dobra u niego jak u księcia, a pani krasna i dzieci piękne.

Tymoch głową potrząsał i śmiał się.

— Jam człek nie dzisiejszy — odparł — pamiętam ja króla i stare dzieje, a owo, co ten Petrek dokazywał, za co żonę i skarby pobrał i łaski się pańskiej dokupił że go król nieboszczyk potem za brata i swata miał.

Mikuł brodę darł i marszczył się.

— Nie gadajcie, nie mielcie, a kto to tego nie wie!

— Owszem mówcie, ja choć wiem, to niespeł-

na—odparł młody.—Choć się co słyszało, wywietrzało, radość się przypomniało.

Tymoch z niechęcią, ukradkiem wskazał na dziada.

— Ten niechaj wam gada gadki—odezwał się—dziadowska to rzecz do torby zbierać po drodze chleb, a do drugiej ludzkie plotki. Obierzysławiat, wszystko wie i każdą rzecz powiedzieć umie.

Wyjął młody z sakwy srebrniczka małego i dziadowi go rzucił.

— Praw dziadzie — odezwał się — nim zwarzy jeść gospodyni, gadaj, bym nie spał.

Mikuł, jakby mu się słuchanego słuchać nie chciało, poszedł do komory ciemnej, a ci, co zostali, umilkli, ku dziadowi się obracając. Dziad splunął i począł.

— Hej, stał raz dąb nade drogą, a szli ludzie podle niego. Piękny dąb, dobry dąb—rzekł jeden—gdy sobie pod nim zasnął oparłszy się oń i cień nad głową od gałęzi miał.

A drugi, co przyszedł, gdy się pod nim do snu ułożył, padł mu z dębu żołędź dojrzała, z wysoka na oko i zranił żrenicę. Ten przeklinał dąb jako zbója, aby go pierwsza siekiera nie minęła; pierwsza burza wywaliła, pierwszy piorun spalił.

Ptactwo, co się w jego liściach gnieździło, błogosławiło, wiewiórka, co w dziupli siedziała, sławiła, a orlecia, których ojca ubito, gdy na gałęzi siedział, kleło i bluźniło nań.

Nasz pan jest, jako ten dąb wielki; jedni go chwala, drudzy klną, każdy sercu swojemu dogadza, a dąb sobie stoi jako stał.

Dawne to dzieje, za króla Krzywoustą się działo, choć mnie tam nie było może, możemy ja tam i był, choć przez sen. Dziś ja żebrak i pruchno, za młodem wojaczyl i za pany tarcze wozil, oczy miał, uszy miał.

Petrek u króla był i z królem na spół wojował. Gdzie trzeba było piorunem bić, ptakiem lecieć, wę-

żem podlażyć, nikogo słano ino Petrka. On wszystko umiał, a co król rzekł, rozstap się ziemio—zrobił—jak przykazano.

Bratał się król wówczas z ruskim kniazem, zbratał tak, aż się poswarzyli. Kto lepszy. Wołodar począł trąbić, a na nas prowadzić i palić lasy i sioła i jeńców brać a gnać. — Zdradził pana naszego; król rozsierdził się srodze. Złapać go, wiatru w polu nie było można. Dałbym—rzekł—coby ze mnie żywno kto chciał, byłem zdrajcę w rękach miał. Petrek słuchał i śmiał się.

— Co mi dasz królu, panie—zapytał — związanego ci na twój dwór dostawię?

Nie wierzył król.—Dam ci jego samego—rzekł powstawszy—weźmiesz oknp, jaki zechcesz, ja sobie nie chcę jednej grzywiny, tylko bym go w rękach miał.

A było tak, że Petrek na Rusi nie jeden już raz gościł, gdy król się jeszcze z kniazem Wołodarem bratał i za posła był używany i Wołodarowi do chrztu dziecko niósł, a kumem się mu zwał.

A kto królowi panu krzyw i zdrajca, kumu kumem taki być może?

Tymoch głową potrząsł, ramieniem ruszył, dziad mówił dalej:

— Wołodarowych wojów tysiące było, a pan Petrek się nań wybrał w sześćdziesiąt koni. — Król patrząc, rzekł:—Żal mi cię, na zgubę jedziesz.—No to zginę dla Miłości Waszej — odparł Petrek—i jechał. Jechał wprost na zamek kniazia, a nie w kopę koni, bo ludzi w lesie zostawił, jak mu potrzeba było, tylko samotrzeć — i przybywszy na zamek, bił czołem Wołodarowi.—Król mój pan, pozdrawia was, kniazu Wołodarze — mówił — chociażście wy mu wrogiem, pragnie pokoju z wami, śle mnie do was, abyście mir po staremu uczynili.

Kniaz Wołodar słuchał i zdumiewał się, ale że kuma w nim znał, odparł: — Szczęście masz, żeś mi

Dunin t. I.

2

МУЗЕУ
ЖИК
РОМАНОВ
271

dziecko do chrztu trzymał, nie godzi mi cię imać i karać, a kazałbym cię na wiek do ciemnicy wrzucić, abys w niej gnił.—Jam wojny nie poczyniał, król twój najeżdżał ziemię moją, chcąc mnie zawojować. Nie dam mu się, jakom żyw; Ruś nań caluchną ściągnę i Polowców i Jaćwę i co gdzie jest z najdalszego krańca.

Na to mu zsiadłszy z konia i do nóg się pokłoniwszy, rzekł Petrek. — Ziemiami się podzielicie i w zgodzie żyć będziecie, jak na panów chrześcijańskich przystało. Proszę was o to tylko, abyście mi łaskawego nie skąpili ucha.

Więc udobruchał się nieco Wołodar i szli razem na zamek, a kazał mu tylko milczeć, aby o królu Krzywogębie mówić więcej nie śmiał—to mu już dobrym będzie.

Siedli tedy za stół i pili razem i jedli, gadali o łowach i o ruskich sprawach i o niewiastach i o stratach, ale o królu o Krzywogębie ni słowa. A gdy zapili się tak późno w noc, rzekł mu Wołodar, idź i legnij spać, bo kury pieją, a miód w mózgu kręci.

Drugiego dnia zwołał swoich posadników, bojarów, drużynę kniaź Wołodar i znów posadził kuma za stół i poił go. Mówili o wszystkim, a gdy Petrek króla wspominał tylko, Wołodar pięścią w stół uderzył, aż stołuca pękła i rzekł: — o nim mi nie mówcie. Znać go nie chcę, Krzywomordy tego.

Gdy już drugiego dnia szli spać, rzekł Petrek. — Do domu powrócę ze sromem bo z niczem! Zatrzymał go kniaź jeszcze, tylko mruknął: — Nie gadaj, że powrócisz z niczem, gdy głowę całą przywieziesz na karku, ona taki coś warta.

Dnia trzeciego pili znowu sam na sam do wieczora, wieczorem im niewiasty służyły i śpiewały. A była przy Wołodarowej żonie plemienna jej Światopelkówna Marja, piękna dziewczka, którą Petrek natrzymał, gdy im miód nalewała. I rzekł do kniazia Wołodara.

— Na świecie nad nią piękniejszej nie było i nie będzie. Na co Wołodar mu odpowiedział śmiejąc się a poemokując. — Bo niema nigdzie niewiast jak na Rusi i w Kijowie, a to kniaźna jest i wiedźma kijowska. I nie weźmie jej chyba król, a mocarz, albo taki pan co carskiej jej krwi godzien będzie, bo w niej Cezarów krew płynie.

A Petrek głową potwierdzał, i pili do nocy późnej z sobą. Gadać o królu i tego dnia nie dał mu Wołodar, bo się zaraz do noża brał. Żegnał go Petrek. — Jadę jutro rano. — Ja też jutro na łowy—odparł Wołodar — jedź ze mną razem; gdy się łowy skończą, wracaj sobie do domu, do tego co cię posłał i powiedz mu, że jego ziemię na kopytach rozniosę, spalę i zniszczę, bom mu wrogiem, a druhem nie chcę być nie i będę.

Nazajutrz do dnia jechali na łowy razem. Puścili się za łosiem. Petrek wiedział gdzie konie swe i ludzi w lesie zostawił i pokierował tak, aby Wołodar z nim na zasadzkę wjechał. Zmówione to było, bo gdy razem pili, sam Petrek na łowy wyzywał, choć się kniazowi zdało, iż on ich zażądał. — Trąbką ludziom zasadzonym dał znać, aż gdy w gąszcze wjechali, obskoczyli go zewsząd Petrkowi. Chciał się Wołodar bronić, ale mu wnet pęta na ręce rzucili i na nogi, oręż odjęli i przywiązanego do konia gnali z sobą nie ustając, choć pienił się i krwią buchał.

A Petrek mówił mu: — Wrogiem się czyniłeś pana mego, bądźże jego niewolnikiem. Co on z tobą postanowi to będzie.

Tak gnając z nim dzień i noc przez lasy uwiózł go precz, a ludzie Wołodarowi po kniejach trąbili, szukając go na próżno, myśleli, że niedźwiedź rozszarpał, albo dzikie bestje nocą pożarły. Wprost wiozł więźnia na zamek do króla Petrek, a gdy król go zobaczył, oczom wierzyć nie chciał, wołając: — Czarownik jesteś.

— Jam sługa twój—odparł Petrek. — Słowam do-

trzymał; trzymajże ty swoje królu a panie, bo mi się to należy, szyjem stawil.

A tak się stało, że Petrek okup ogromny wziął i wszystkie skarby Wołodarowe za żywot jego! król zaś z jeńca nie wziął więcej nie jeno przysięgę na krzyż i księgę, że z nim wojować nie będzie. Petrko zaś dodał — skarbów mi mało, skoro Marji Światopelkówniej mieć nie będę — tę mi musisz dać albo ci życie wezmę. I z bogacił się pan Petrek skarbami i żonę dostał jaką chciał, a król go swoim Wojewodą wielkim uczynił i gdy umierał, dał mu nad synami opiekę. — Oto jak rósł i urósł pan nasz...

— A dobrzeż urósł — podchwycił Tymoch — że kuma co mu zaufał zdradził, tego, z którym chleb łamał, jadł i pił, w zasadzkę uwiódł i pochwycił, a wydał? dobrzeż to?

— Hej! hej! — odparł dziad — co wojna to nie mir, nie zna ona kumów ani braci! Przecież Petrek grzech swój znał i zna i za to kościoły buduje. Skarby wysypuje, pokutę odprawia. A co uczynił dla swojego pana, ocaliwszy ludzi tyłu, którzy przez wojnę ginąć mieli? toć nie grzech a zasługa. Służył temu komu przysięgał. A widać, że mu tego za grzech Pan Bóg nie poczytał, bo jako rosnąć počzął za Krzywoustego, tak rośnie i teraz, a co wysypie na kościoły, to mu się wnet powraca z Bożą mocą, kto mu kamieniem rzuci, na tego się on podbijel! Hej! hej!

Gdy dziad prawil, noc była nadeszła, Tymoch milczący zabierał się już do wozu. Z gościńca w tem počęło się wołanie powtarzane.

— Bywaj tu! bywaj! Jest tam kto?

Wybiegł Mikuł, o kamienie przy ognisku obraziwszy nogę, kulejąc. Przed gospodą na koniu siedział zbrojny mąż stary, chudy, kościsty, czeladzi koło niego kilkoro się kręciło, a on wołał o światło i gospodarza i sierdził się.

Wyniesiono zapalone luczywo, wysunął się z za stoła i młody podróżny popatrzyć — wyglądał kto żył.

Przybyły wzrostu olbrzymiego prawie, nieco wiekiem przygnębiony, ale krzepki, srebrnowłosy, bardzo rycersko patrzył. Zbroję miał przy sobie i na sobie, miecz i mieczyk, a hełm wisiał tuż na koniu za rękami uczepony.

Pytał do Wrocławia, a konie jego buchały parą i bokami robiły. Zsiadł wreszcie, aby tchnęły nieco.

Tymoch korzystając z tej chwili zamętu, do wozu swojego się przesunął i wnet konie pognawszy, na gościńcu zaturkotał. Dziad zobaczywszy rycerza przychował się do kąta. Wtem na drodze znowu zatętniało i wóz długi stanął u drzwi. Mikuł ledwie miał czas gościom się pokłonić, czeladź związała się żywo. Z długiego wozu dobył się w czarnej sukni duchowny. Tych naówczas więcej szanowano niż rycerzy, więc Mikuł przybył ręce całować i kolana ścisnąć, choć rozmówić się z nim nie umiał, bo on czarny mnich, jak się okazało, Francuzem był i nad kilka połamanych słów polskich więcej nie znał.

Rycerz i mnich weszli do izby pospołu, stary wprzód pokłonił się ojcu i mało co doń zagadawszy, wnet na jego język trafił, tak, że się dobrze rozumieli i przyłgnęli do siebie.

Młody podróżny sam pozostał na uboczu.

Mnich otyły, rumiany, wesołej twarzy, wcale na surowego pokutnika nie wyglądał, ani nawet na zakonnika. Suknię długą miał podkasaną, postawę a ruchy więcej żołnierskie niż klasztorne.

Zaledwie wszedłszy już śmiejąc się do Mikuły wołał o miód, rycerzowi się spowiadając, że bo z pragnienia marł, a po drodze woda była w studniach obrzydliwa. Dla nikogo też gospodarz tak się nie związał, jak dla opasłego mnicha, i nie dziw, karczma bowiem do czarnych należała i jak swym panom służyć im musiał. A z oczu mnichowi patrzyło, że nie dałby sobie chybić, bo choć oręza żadnego nie nosił, kij w rękę trzymał kuty potężny, który stałby za oszczep w potrzebie, i rękę miał silną, co tym kijem

mogła tego obracać i lice takie, którego się musiał ułęknać kto w nie spojrzał, bo choć niby wesole i rumiane, groźne było zarazem i zuchwałe.

Od progu już stary rycerz i czarny mnich, języka od siebie wzięwszy, przystali jeden do drugiego. Stary był jakby dla takiego mnicha na towarzysza stworzony. Wojaka w nim poznać było łatwo i z ramion silnych, z blizn mnogich i z twarzy pomarszczonej i nasepionej, na której brwi nawisłe, kępiaste, najeżone, na pół zakrywały oczy połyskujące dziko. Gdy mu się usta blade ścięły a zapadły, bo zębów już był postradał — strach brał co z nich wyjdzie, gdy się otworzą. Odziany był i zbrojny dostatnio a nie pysznie; ręka, którą ukazywał, tak się zdawała ogromną, jakby dęby z korzeniem wyrwać była nawykła.

Mnich czarny, gdyby nie otyłość, siłą by mu sprostał. Wnet też swój swojego poznał, poczęli coś głośno rozprawiać obcą mową, a hałasowali. Młody podróżny wciąż się od nich na stronie trzymał.

Gęślarz z kąta ciekawie spoglądając, słuchał, z komory wyzierała Samicha i para przebudzonych, pół nagich dzieci.

Ci tak się zagwarzyli z sobą, że ani zważali, czy ich kto słucha, bo i nie obawiali się snąć, aby ich prości ludzie rozumieć mogli.

Stary rycerz, gdy miód podano, mnicha z kubkiem do stoła wiodł, tu mu miejsce pierwsze zrobił, sam też na ławie przy nim zasiadł i dopiero teraz, wzrokiem powiódłszy dokoła, szukając znać gospodarza, trafił na młodego podróżnego, który stał, jako sobie pan, nie nie okazując ani trwogi ni poszanowania.

Popatrzył nań stary i ostro zagadnął.

— A ty coś zacz?

— Podróżny — rzekł młody dumnie.

— Któżci to?

— Wolny człek jako i wy, i tego samego pono rzemiosła — odezwał się zapytany.

— Cóż, rycerz? czyj? — pytał stary.

— A swój, dzięki Bogu! — rzekł dumnie młody, z półuśmiechem,

— Przecież komuś służycie — mówił stary marszcząc się.

— Tak jako i wy? A wy komu? — odparł młody.

— Ja książęciu Władysławowi panu naszemu.

— No — i ja też innego pana nie znam.

— A toć mi pyszny pan! — śmiał się stary.

— Czemuby nie miał być! — mruknął ów.

W czasie, gdy się tak jakoś ostro zagajala rozmowa głowami poruszonymi, mnich na młodego pooglądał zuchwale, mierząc go oczyma groźnemi wzrokiem niby staremu wtórując, gdy nie mógł mówić. Młody i tych oczów weale się nie zdawał obawiać.

— Nie dogadać bo się z wami! — zawołał stary, kubka się imając.

— Toć was też gadać ze mną nikt nie usiłuje — odrzekł, po izbie się przechadzając swobodnie młodszy. Gdy się tak poruszać zaczął, psy jego, które w kącie były legły, podniosły się ku panu idąc. Ten je głaskał, a pochylał się do nich. Rycerz wlepił w nie ciekawe oczy, widząc, że go żdziwiły i ze psów też o i ich panu zaczął inaczej sądzić. Więc mruknął.

— Nie lada sobaki, bodaj kędyś z dalekiego kraju — nie nasze.

Młody pytania jakby nie słuchał. Wtedy mnich domyśliwszy się, że się oni z sobą nie porozumieją, odezwał się swą mową do starego rycerza.

— Zapytajcie no gospodarza, ten wam powie kto u niego gości, znać go musi.

Skinął rycerz na stojącego opodał Mikulę, ten się zbliżył.

— Kto jest ten ze psy? zkąd?

— Obcy — odparł Mikul — nie znam go.

Nie było więc rady, obrzuciwszy go znowu oczyma ciekawemi, mnich z rycerzem rozmowę dalej ciągnęli.

— Niepocześnie odziany mówił stary półgłosem, ale może być i nie prosty człek, bo mi się nawet nie pokłonił. Musi w okolicy mieszkać, choć go tu nie znają, boć ze psy pewnie z łowów jedzie.

— Szkoda, że języka waszego mało znam—rzekł mnich swoją mową, dobyłbym z niego zaraz kto jest.

— Ojcie przewielebny—odparł śmiejąc się zdala stojący młody, jeżeli o mowę chodzi, jać waszą rozumiem niczego, i tę, którą dalej na południu mówią i tę co ją szwabi szwargoczą.

Posłyszawszy to oba i mnich—i rycerz głośno się rozśmiali, a stary zaraz powstał rękę wyciągając.

— Siadajcież bracie, z nami—zawołał—po mo-
wie znać, że do nas należycie. — Suknia mnie zwi-
dła—staremu nie miejcie za zło.

Młody wnet rozchmurzywszy twarz powoli, z po-
szanowaniem do stołu przystąpił. Naprzód mnicha
w rękę pocałował, potem staremu się pokłonił, aż
z boku na ławie, jak młodemu przystało, zajął
miejsce.

II.

Mnichowi tak jakoś rażąco było, że dla gęby to-
warzyszów znalazł, z któremi się mógł rozmówić, że
mu się już nazad do wozu nań oczekującego nie
chciało. Miód popijał, coraz o stół kubkiem stukając;
śmiała mu się twarz szeroka, zwracał się na prze-
miany to ku staremu, to do młodego, rozparł wygo-
dnie plecy do ściany przyłożywszy, i tak gwarzył,
jakby już w refektarzu spoczywał.

— Do klasztoru mi nie pilno — mówił — jest ci
komu na chwałę Bożą w chórze zaśpiewać, a i do
wszelakiej roboty braci dosyć. Trochę się na swo-
bodę wyrwawszy człeku różnej, zapomni choć, że tę
czarną suknię nosi i głowę ma wygoloną.

— A dawnoście tu u nas w tym kraju?—zapy-
tał stary.

— Już bo lat kilka—mówił mnich—wydały mi
się wiekiem prawie. Choć z kraju Gallów jestem
rodem, żyłem wprzód na Monte Cassino, w italskiej
ziemi, gdzie dobre wino rośnie. Nie po dobrej woli
się w te wasze puszcze zbłąkałem, posłali mnie oj-
cowie pod obediencją. Jeszczeż lato jak lato, je-
sień pół biedy, ale zima pół roku i duszę ze człeka
wymraża!

Westchnął ciężko.

— Co za kraj! co za powietrze! — dodał — nie-
dźwiedzion tu żyć, którym Pan Bóg dał futra kró-
lewskie, nie nam gołym ludziskom.

— Jam też—przerwał stary—tulając się po świe-
cie odwykł był od swej ziemi i nieba, marzę też i ja—
ano nieчем mróz, gdyby ludzkie serca cieplejsze były.
Westchnął z kolei, oczy w ziemię wlepiwszy.

— Jakże tu ludzie ciepłi być mają—odezwał się
jowialnie mnich, krew w nich zastyga od chłodu.
Gdyby choć jak robaki zimę przesypiać mogli?

Zwrócili się do młodego.

— Wyście też pewnie kędy dalej bywali, gdy
językiem cudzym dobrze mówicie?—zapytał stary.

— Trochę, trochę — począł młody — więcejbym
światu jeszcze zobaczyć pragnął, ale to z pomocą
Bożą kiedyś się uczyni.

Mnich tymczasem coś sobie półgłosem podśpie-
wywał po łacinie, nogą bujając w powietrzu. Kubek
w dłoni trzymał, i miód posmoktywał, patrzył na
Samichę, która ogień pośrodku izby roznieciwszy,
warzyć coś poczyniała.

— Wyście się tu porodzili—począł—wam tu zno-

śnie, ba i dobrze być może; dla nas gorsza więzienia ta ziemia. Niema czem pocieszyć ni oka, ni duszy. Morza nie ujrzeć, szumu jego nie posłyszeć, gór niebotycznych nigdzie, równiny jak na dłoni, lasy a lasy i lasy na nich szumią, rzeki ospałe płyną jakby się pomęczyły, błoto i piasek! piasek a błoto! Na drzewach nędzne szyszki rosną, wino choć go sładź i chuchaj, nie dojrzeje—kraj was nie dla ludzi!

— Wybyście się nań skarżyć nie powinni, przerwał stary—wam tu mało nie jak w raju. Ziemi, pól, wody, lasu, służby do nich macie dostatkiem i do woli. Królowie, książęta, my też dajemy wam wszyscy, biskupi na rękach noszą—toż królujecie u nas!!

— A cobyście też wy bez nas poczęli? — zawołał mnich; oczyma mrugając.—Gdyby nie Włosi, nie Francuzi, potroszę i Niemcy, Pana Boga byście nie znali, któżby u was wiarę Chrystusową krzewił? Waszych duchownych tyle tylko prawie macie co po wsiach, po plebaniach siedzą i niezgorzej katechizm umieją—nie wiele co więcej. Jak książkę na wagę złota, tak i nauczycieli do niej na wagę złota kupować musicie, inaczej byście po wiek wieków w ciemnościach zostali.

— Jużci też do tego powoli przychodzimy—odezwał się młody — że swoich księży i biskupów mieć będziemy przecie.

— A coby biskupi wasi i księża bez nas zrobili—odparł Francuz—Wasi polscy biskupi nie wiele znają, księża jeszcze mniej, po chałupach z dziećmi i żonami siedzą, do stodół zboże ściągają, pociechy z nich nie wiele.

Zaśmiał się.

Oba przy nim siedzący posepnie jakoś zamilkli.

— Nie mówię zła na nikogo — dorzucił mnich gadatliwy—a uchowaj Boże, przeciw księdza Janika z Brzeźnicy, pasterza waszego... Toć zacny pan! zacny pan. Wszelako coby on poczynął bez Roberta Archidiacona?? he?

Więc choćbyście wy nam, idącym do was na szrony i lody, sukнем i szkarlatem drogi wyścielali, nie skarżcie się. Jest za co... światło niesiemy!

Zanucił znówu coś po łacinie, nie z tego tonu co w chórze, ale wesolo i rażno, jakby do gospody na gościńcu. Trudno go było zrozumieć.

— Miły panie — odwrócił się, popiwszy do staro—ja mam imię Maura, wiecie kto jestem i z jakiego opactwa, bom od św. Wincentego; dajcież wy się mnie znać.

— Ho! ho! — zaśmiał się stary—gdybym ja wam opowiadać chciał com za jeden, słuchaćby się wam odechciało. Wielem przeżył a osobliwych przygód i dziejów. Ale wy chyba jeden ojeze Maurze, żywota mojego nie znacie, drudzy o nim po całej ziemi naszej wiedzą i rozpowiadają. Głośny on się stał za Krzywoustego, któremu Bóg daj niebo, że mi sprawiedliwość wymierzył.

Jam—Żegota Zaprzaniec.

To mówiąc, spojrzał ku młodemu, a ten dopiero kółpaka nachyliwszy, nisko mu się pokłonił.

Wesoly mnich popatrzył nań i dotykając ręki poufale odezwał się:

— Srodem ciekaw życia waszego. Kiedym do klasztoru nie powrócił, dopóki furty nie zamknęli, co mi tam? posiedzę z wami! Swobody zażyję, miodu się napiję... Mówcie, proszę!

— Po setny chyba raz dla was swoją historję powtórzę—odezwał się stary, popijając trochę, jakby sobie usta chciał zwilżyć.

Wielem już ludzi tą gadką karmił, aż mi się samemu obrzydliwą stała. Nic to, mogę ją jeszcze raz gwoli Ojcu powtórzyć.

Pomilczawszy trochę, pogłaskał brodę stary i tak począł:

— Jeszcze nieboszczyka króla Bolko ojciec dogorywał w Płocku, gdym ja, naówczas młodym będąc, nasłuchawszy się dużo od obcych księży o krajach

różnych, zawział wielką ochotę je zobaczyć. Żył naówczas ojciec stary i dwu braci moich, Nawój i Sędziwój. Siedliśmy się naszym rodem z prastarych czasów wedle Krakowa, tam było gniazdo i ojcowizna Starzów. Ziemie naokół mieliśmy szerokie i staliśmy między ziemiany na czele. Zapalono wici na wojnę, a zawołano — Starżał tysiące ludu szło naszego z toporami po staremu.

Gdym się u nieboszczyka ojca prosił, aby mnie trochę puścił w świat, ofuknął się, ani słuchać o tem nie chcąc. Było co robić koło domu. Mnie piekło skosztować zła i dobra, a popatrzeć jak się to tam gdzieindziej dziewało. Więc ojcu się już nawet nie opowiedziawszy, pod pozorem łowów, na młodym koniu siwym, któregoś sobie sam ujeździł, zbroiczki nabrawszy trochę, puściłem się naprzód na dwór królewski, niby służby wojennej szukając, że mi się w pokoju mierzilo. Ztąd gdy Niemcy jechali precz do siebie, którzy byli z Magdeburga za jakąś sprawą posłani, z niemim się jako jeden z nich wykradł, naprzód do onego Magdeburga. Ale tu między żołnierstwem biskupiem, panami i różnym ludem żołdaczym, niedługom wyżył, niewielem też zobaczył. Zaciągnąłem się do cesarskich, Henrykowych, wówczas kiedy już ów cesarz sam chwał się na swoim tronie, o czym ja młody nie wiedział. Majestat zdał się wielki i rycerstwa koło niego, pięknego, dużo się jeszcze zwijało — a i ci mnie między siebie przyjęli. Henryka Bóg pokarał snąć za to, że na Ojca chrześcijaństwa całego się porwał, na rzymskiego biskupa i papieża, a teraz nań też własni synowie godzili, chcąc mu berło wydrzeć z dłoni. Mnie tam naówczas młode — mu nie było w głowie kto panował, ino patrzał ktoby mnie zawiódł daleko, abym coraz nowe ziemie oglądał. Z cesarskimi się więc po niemieckich ziemiach tłukł naprzód, różnego losu zażywając. Jeden syn, co się był na cesarza Henryka porwał, zmarł jakoś, z pomsty Bożej; wnet i drugi po nim Henryk

także się podniósł przeciw ojcu. a miał z sobą i Papieża rzymskiego i Bawarów i innych wielu.

Jam z ojcem cesarzem i Niemcami jego szedł, gdy nad Regeniem pod miastem Racisboną, spotkaliśmy się z wojskiem synowskim. W sierpniowy skwar zeszyli się zastępy, a już syn między naszymi wielu miał swoich i cesarscy bić się nie chcieli, swoją krew przelewając.

A toć wszyscy pono wiecie, jak potem cesarza syn więził i zamorzył, bo ze strapienia i zgryzoty zmarł Henryk stary.

Nawet ciało jego potem z grobu Papież kazał wyrzucić. — Ze służby ojca poszedłem do syna, choć mi temu ojcobójcy służyć się bardzo nie chciało. Tegom jednak dopiął z tym synem, czego z ojcem nie mogłem, bośmy z nim pociągnęli na Włochy.

Byłem onych dni krwawych w Rzymie, gdyśmy się ledwie motłochowi zburzonemu obroniwszy, Papieża pojмали i zmusili go, aby czynił po woli cesarskiej. Stałem przy tem, gdy go Paskal biskup rad nie rad, ze łyż na oczach koronować musiał, a łyż te jak groch na koronę cesarską z przekleństwem padały.

— Ho! ho! — zaśmiał się przerywając Ojciec Maur — wyście to i Rzym nasz widzieli. A znacież jaka u nas o tym Rzymie Ewangelia chodzi? — mówił wesoly klecha. — Pewno nie? Ja ją na pamięć umiem.

Cheecie to posłuchajcie...

Stary Zaprzaniec przerwał swe opowiadanie, z ukosa patrząc na mnicha. Ten powstawszy z ławy, minę uczynił niby pobożną, w rzeczy szyderską i jakby w kościele do czytania Ewangelii się zabierał, głosem grubym rozpoczął:

„In illo tempore dixit Papa Romanis...“ *). Onego czasu rzekł Papież do Rzymian: Gdy przyjdzie Syn człowieczy, do tronu majestatu naszego, rzecze

*) Ewangelia to satyryczna u Du Méril'a Poésies latines avant le XII siècle. p. 407.

mu naprzód: Przyjacielu, czego przychodzisz? A jeżeli trwać będzie pukając, a nie nie dając wam, wyrzucicie go precz w ciemności zewnętrzne. I stało się, że przybył jeden klecha...

Mnich z pobożnością, niby wielką, zabierał się ciągnąć dalej, gdy młody rycerz, na uboczu stojący, poruszył się i odezwał cicho:

— Ojciec przewielebny, nie godzi się nam słuchać rzeczy tych, które na pośmiewisko sprawy biskupa rzymskiego podają. Popadliśmy w grzech znaczny. Duchowni sobie żarty stroić mogą, bo to tam ich sprawy; nam świeckim ludziom, nie przebaczyłby spowiednik.

Mnich się zwrócił ku niemu z nieco szyderskiem wejrzeniem.

— Chwali ci się to—odparł, siadając — że boicie się grzechu! A no, Ewangelia moja była piękna, i nie posłyszycie jej już, bo więcej nie powiem.

Spojrzał ku staremu, od którego się może czego innego spodziewał, ale i ten brwi nachmurzył, głowę zwiesił i widocznie mu szyderstwo z rzeczy świętych nie w smak było.

— A wy co na to?—zapytał go Maur.

— I jam nie rad słuchać nic co mi sumienie obciążyć może—rzekł Zaprzaniec.—Dobrze powiedział młody, sprawy to wasze, nam nie do nich.

Ojciec Maur śmiać się począł.

— I wam się to chwali—rzekł.—Na próbę brałem, a wyszliście z niej dobrze. Wam tego słuchać nie przystało, boście świeccy, dzieci i sługi nasze, mnie wolno, bom ja u siebie doma, a tak dobry, jako i ci, których na biskupów święcą.

Potarł szeroką dłońą głowę—milczeli wszyscy. Ojciec Maur widząc, że mu się z jego żartem nie powiodło, wnet zagaił:

— A no, mówcie dalej, mówcie, coście tam w tym Rzymie i gdzie dalej widzieli. Ja, choć sobie z Rzymu drwię, ziemię tę italską kocham mocno.

Niema życia, jeno tam; alem się nad Tybr próżno prosił, posłali mnie na lody i śniegi.

Zaprzaniec spoczawszy, dalej mówił:

— Byliby nam Normandowie z Kapui, bieżąc na obronę Papieża, uszu i grzbietu natarli, gdyby się prędzej pośpieszyli. Przyszli za późno, gdy Henryk już cesarską koronę wdział i co chciał to na Papieżu utargował. Powracaliśmy do Niemiec, gdy Papież za nami pognął odwołaniem tego, co mu siłą było wydarto i nasi biskupowie cesarzowi z rozkazu jego opierać się zaczęli.

Byłem ci i ja na weselu cesarskiem, a potem znowu we Włoszech, gdyśmy szli wojować, a Papież musiał uchodzić z Rzymu przed nami. I takem drugi raz w życiu ów gród osobliwy oglądał.

Długo by to opowiadać było, bośmy się z cesarzem tym nawłóczyli po świecie i natłukli, dopóki pokój z Papieżem nie stanął. Cesarz też zmarł właśnie, gdym się z nim na Franków wybierał.

— Bo się ich zląkł—wtrącił Maur.—U nas tego czasu ruszyło się co żyło, a byliby go i was w miązgę starli pod chorągwią św. Dyonizego!

Stary głową potrząsnął.

— Kto wie co by tam było—rzekł.—Mnie się też już było naprzykrzyło owo szukanie guzów po świecie, i gdy Lotarjusza sasa obrali, jam się do jego rycerstwa przyłączył, przeciwko Frankońskiemu Konradowi.

Na niedługo. Do domu się bardzo tęskniło, gdy się Niemcy z sobą za łby brać gotowali, jam samotrzeć z pacholkami dwoma i trochę tego, co się po świecie uciulało, do domu zawrócił.

Sławniż to powrót był—westchnął stary—niechaj od takiego pocziwych ręka Bozka bronil! Złem uczynił, żem zamiast wprost na dwór króla Krzywousta, pociągnął do swoich. do braci, bo ojciec nie żył ale tęsknica się w sercu odzywała do swoich i bodła.

Rodzica mi żał było, żem go przy życiu nie zna-

laż, do braci tem śpieszniej było — wierzyłem w serca braterskie.

Było to, jak oto teraz, jesienią, gdym na tym samym koniu, którego z domu wywiódł, co mi się w niejednej srogiej bitwie wysłużył i życie ocalił, który, jako i ja, rany miał i blizny — przywłókł się pod Tęczyn.

Myślałem sobie, dać się im zawczasu poznać, czy nie? Próbować postanowiłem, czy też poznają. Zatrąbiłem u wrót. Wyszedł odźwierny z zapytaniem — kto? Rzekłem mu: rycerz obcy, podróżny o gościnę prosi. — Puścili mnie.

Braci doma jakoś zastałem obu, z łowów powracających, z mnogą drużyną, a gdym się oznajmił, że tej ziemi ojczycem jestem i u cesarzom służywałem, wzięto mnie do stołu poczęstnie i ugoszczono.

Jam w nich braci poznawał łatwo, choć postarzeli wiele, oni mnie jako żywo. U wieczerzy tedy gdyśmy siedzieli, rzeknął im, że z cesarskiemi po Włoszech się włóczę i widział i znał czelaka, który się mienił w krakowskiej ziemi od Tęczyna, a zwał się Żegota.

Spojrzeni po sobie, zdumieni trochę i Nawój się pierwszy odezwał.

— Byłci to bodaj brat nasz, ale słyszeliśmy, że tam kędyś na obczyźnie głową nałożył, bo warchoł był zawsze z młodych lat i ojcu śmierci nieposłuchem swym pośpieszył.

I dobrze uczynił — dodał Nawój — że zginął, bo tu nie miał po co powracać.

Na tom rzekł. — Azali zginął nie wiem, bom ci go żywym oglądał, a o śmierci wcale nie słyszał.

Poczęli tedy od tej chwili jakoś koso na mnie spoglądać, a że się tem i owem pytaniem wydał, iż ziemię i okolice znam dobrze, dziwowali się z kądem o tych ludziach wiedział i o sprawach ich. — Na tom rzekł. — Niema się czemu dziwować, bom tutejszy. Na to nie już nie odpowiedzieli, tylko widział, że mnie

na oku trzymali mocno, chwili nie spuszczać ze mnie wzroku.

Gdy pora do snu przyszła, komornikowi zawieść kazali spać do izby pod wieżą, za którą podziękowawszy im, rzekłem, że z dawna obyczaj miał tam sypiać, kędy koń mój stał, bo mój siwy do mnie a ja do niego jak do brata i druha nawykłem.

To rzekłszy, do szopy szedłem na sienne posłanie, na co, choć się pomieścili, nie odpowiedzieli nic.

Gdym się już do snu, konia opatrzywszy, miał układać, a była noc księżycowa jasna, posłyszałem szelest i — patrzę, stoi we drzwiach szopy postać jakaś, jakby widmo niewieście. Domyśliłem się kto był, bo przy wieczerzy, gdy niewiasty posługiwały, nadzorującą nad niemi starą Nanię poznałem, która mi niegdyś mamką była. I widziałem, że oczów nie spuszczała ze mnie, i głosowi się memu przysłuchiwała z kąta, dziwnie ręce łamiąc. Nie sądziłem jednak, aby poznać mnie miała. Obaczywszy postać w bieli tknęło mnie zaraz, że nie kto inny, tylko ona była.

Ta obejrzawszy się dokoła, ostrożnie, pociechu przystąpiła do posłania mojego, po imieniu wołać począwszy. Nie zapierając się więc, wstałem witać ją, która się od leż i jęku, całując nogi i ręce moje, wstrzymać nie mogła, a nie rychło się ukoila z płaczem srogiemu, radości i trwogi jakiegś.

Gdy się nieco uspokoiła mówić dopiero zaczęła, że po wyjściu mojem, bracia moi podejrzenie powziawszy, azalim nie był Żegota, długo się naradzali, co począć mieli.

Mówili między sobą. — Co pocniemy, jeżeli on Żegotą jest? Mamyż mu oddać część jego ojcowizny, którąśmy zawładali i między siebie rozdzielili? — Sędziwój rzekł naprzód.

— Dopókim żyw tego co trzymam wydzierać nie dam sobie. — Choćby Żegota był, jak on się wywiednie, że bratem jest naszym? Lat minęło mało

nie trzydzieści, gdy opuścił ten kraj, ojciec go znać nie chciał, i my nie będziemy.

Po czem naradzali się jeszcze i postanowili, dla bezpieczeństwa rzucić mnie do ciemnicy i trzymać w niej, ażbym się albo siebie wyrzekł lub marnie w niej zczeznął.

Mamka mnie zaklinała, abym natychmiast nocą uchodził i szedł do króla z żalobą, której mąż stary wrotnym był i ten mi miał otworzyć bramę. Rzekłem na to niewieście, iż nie może to być, aby mieli na własną krew rodzeni bracia nastawać. I choć u nóg mych leżąc, błagała z płaczem, ległem na siano spać, nie powziawszy strachu.

Jakoż nazajutrz szedłem do komnat ich, jedliśmy i pili znowu, tyłkom widział, że mnie oczyma śledzili, coraz pilniej o brata swojego badając. A gdy się już uczta miała ku końcowi, powstałem z kubkiem w dłoni podanym, i odezwałem się:

— Pytaliście mnie o brata waszego, a oto on, Żegota brat wasz, który staje przed wami. Jam jest.

Struchleli zrazu — popatrzyli na się. Sędziwój pierwszy ochłonął i odparł z uśmiechem.

— Dobryś nasz brat, doznasz takiego przyjęcia, na jakieś zasłużył. Od nieboszczyka Żegoty nasłuchałeś się o nas i nauczył, przychodzisz nam kłamem i samozwaństwem i ojcowiznę wydzierać.

Oba wnet na czeladź huknęli.

— Wiązać i do ciemnicy rzucić zdrajcę.

Zaklinałem ich, aby tego nie czynili, a nie obciążali sumienia krwią braterską, ale się oba z druzyną swą rzucili na mnie nawałem. Jam też miecza dobył i obraniać się musiał. Na mnie jednego ludzi było dwudziestu, obalili więc, z tyłu pochwyciwszy, na ziemię, i związanego, skępowanego rzucili, jako chcieli, do lochu, drzwi zabiwwszy, gdzie mnie głodna śmierć, powróż pewnie lub miecz czekał.

Łaską Bożą stara mamka, jak skoro krzyk i wrzawę posłyszała, domyśliwszy się co się stało, ze

dworu natychmiast wybiegła, wprost do króla do Krakowa, gdzie właśnie bawił podówczas pan spoczywając po wojnie. — Padła mu do nóg z jękiem wielkim, wszystko wyznawając i ratunku dla mnie, jakby dla własnego błagając dziecięcia.

Jam, o niczem nie wiedząc, na barłogu leżał, nie mając nawet ani chleba ani wody kropli, gdy nad wieczór łomot, tentent i wrzawę posłyszałem wielką w podwórcach. Anim wiedział co było, śmierci się spodziewając i do niej gotując, rozmyślając w sobie, iż mnie ona od obcych ominęła, aby mi ją swoi zadali. Tymczasem król, poruszony płaczem niewiasty, natychmiast konia podać kazawszy, przybył na zamek sam, aby sprawiedliwość wymierzyć.

Gdy im o panu znać dano, Nawój i Sędziwój pośpieszyli naprzeciw, nie się nie dorozumiewając, z pokłonami, nogi całując, a do zamku zapraszając, na spoczynek. Przyjawszy to król, nie im zrazu po sobie poznać nie dając, szedł do izby, gdzie już stół mu zastawiono i gotowano ucztę wielką.

W tem, gdy do mis zasiedli, ozwie się pan nagle, iż mu od cesarskiego dworu znać dano, jakoby trzeci ich brat był żywy, a miał do domu powracać.

— Nie może to być, miłościwy panie — rzekł Sędziwój śmiało — bo wiemy to napewno, iż zmarł ubity, gdy z cesarzem Henrykiem do Rzymu wchodził i w ulicach zamieszka była z papieżkim ludem, którego Włoch albo Normand dzida przebił.

— Musiał się on z onej dzidy uleczyć — odezwał się król — bo napewno donoszą, iż żyw jest. Jeźliby zaś kłameca jaki na siebie zbroję jego wdział i imię przywłaszczył, słusznaby go ująć i karę, na jaką zasłużył, domierzyć.

Na to bracia zamilkli strwożeni bardzo, nie chcąc przyznać się do tego, że mnie już mieli i do ciemnicy wrzucili.

Król tedy poczekawszy mało i widząc, że milczą, wstał, misę od siebie odsunawszy, kołpak na

głowę nałożywszy i miecz pokładając przed sobą, zawołał:

— Jużem ja tu nie gość ale sędzia najwyższy. — Niechaj tu stanie ten, którego do ciemnicy wrzucić kazali.

Ułękli się oba straszliwie i zmartwieli, choć chcieli wyklamać się, nie mogli już. Sędziwój na kolana padł przed królem, miłosierdzia błagając. Król wołał:

— Tu mi go stawić na sąd z wami, jeżeli żyw, niech stanie, jeżeli trup, wy głowy dacie pod miecz katowski.

Gdym posłyszał chrzest wielki i wołania a bicia we drzwi ciemnicy, które mamka okazała, Bogu duszę polecałem już, myśląc że mi tu zaraz głowę dać przyjdzie a na ścięcie mnie wywloką.

Odbito drzwi, ujrzałem królewskich ludzi, którzy mnie poczestnie pod ręce ująwszy przed króla zaprowadzili.

Temu, gdy pokłon oddałem, rzekł mi:

— Mów jakoś wyszedł, gdzieś i z kim był i jak powrócił, a wywiedź się i okaż, żeś nie jest samozwańcem i oszustem.

Duch tedy wstąpił we mnie i poczęłem opowiadać całe dzieje moje, jakom jechał, com i gdzie począł, i jak w końcu od Łotarza saskiego uszedłem do swoich. W tem, przecisnąwszy się przez tłok ludzi przystąpiła mamka stara i poprzysięgła jako poznała mnie za dziecko swe, które jej piersi ssalo. Ukazałem też znak na ciele rodzimy, o którym wszyscy wiedzieli, że z nim na świat przyszedł. Król tedy uznał, że praw był.

Co widząc bracia kajali się, mówiąc, że przyznają mnie, a jam odparł, iż jako żyw znać ich nie chcę. — Ojcowizny część, jaka mi należy, odbiorę, ale rodu i zawołania z niemi trzymać nie będę i wolę zwać się od starego konia, który mi służył, niż od ojca co mnie przeklął i bracia co się zaparli.

Zaczem się nazwałem Zaprzańcem; i dzieci moje nosić będą to imię, aby się pamięć zachowała przygody mojej na wieki.

Dokończywszy opowiadania stary westchnął, czoło potarł, które zmarszczki okryły, a mnich dziwować się począł i uzalać, sławiąc Bożą opiekę nad nieszczęśliwym Zaprzańcem.

Młody podróżny odezwał się też, że o historii tej dużo słyszał, a szczęśliwym był, iż na swe oczy oglądał tego, który tyle przecierpiał i doświadczył.

— A żebyście wiedzieli — rzekł w końcu — ktom jest i że się z rodem moim tać nie chcę, powiem wam o sobie, bo mnie tu niezna nikt. — Zwę się Markiem Jaksą z Miechowa, a krwi jednej jestem z księdzem Janikiem, który biskupem jest na wrocławskiej stolicy.

Mnich mu się pokłonił nisko, śnać przypomniawszy, że o duchowieństwie polskiem lekko mówił i mało je ważył.

— Książd Janik — ciągnął dalej młody — ledwie o mnie słyszał, drudzy też nie więcej, bo przez ojca oddany byłem na naukę do klasztorów i na dwory niemieckie, a dopiero co do domu wróciłem i mało kogo na oczy widziałem, przy matce siedząc. Dziś zaś tu prawie cudem się znalazłem, bom trzy dni temu na łowy ze psy, nie bardzo świadom okolicy, wyjechał, po lasach błądząc ledwom z głodu nie zdechł, a żeby nie ubite koźle i ja i psy może byśmy w puszczech byli zostali.

To mówiąc Jaksą śmiał się sam z siebie.

— No to — rzekł mnich — teraz się wam najlepsza nadarza zręczność, gdyście już tak Wrocławia blisko, abyście ks. Janika, powinowatego waszego odwiedzili i pana Petrka, który też wam jak biskupowi krewnym być musi, poznali, jeżeli i jego nie znacie.

— Wcale go nie znam — odparł Jaksą — a no,

prawdę rzec i poznawać się go nie spieszę, takie o nim dziwy prawią ludzie.

— Ludzkie języki kłamliwe i niepocziwe są — podchwycił książdź żywo. — Toć pan świętobliwy, rozumny, potężny, który z książętą na równi stać może, ale psy na księżyc nawet szczekają.

Stary Żegota dodał:

— Od niego jadę, znam go dobrze, coś też powiedzieć potrafię o nim. Młodemu, gdy do niego przystęp mieć może, zdala się trzymać byłoby złem i szkodliwym, bo przy nim urosnąć można łatwo, a bez niego w tych krajach ciężko co zrobić. Szanuje go i kocha książę Władysław i drudzy panowie książęta, którym przez nieboszczyka Krzywoustą wyznaczony został za opiekuna. Można jest, silny jest, rozumny jest.

— Potężny jest — dodał mnich — a złota ma tyle, ile go żaden z książąt naszych nie ukaże.

— I nieprzyjaciół też ma — dokończył Zaprzaniec — bo kto mocen, bogaty, silny, wielki, ten ich musi mieć.

Po chwili głos zniżywszy, mruknął.

— Z nieprzyjaciół jego najstraszniejszą... jest — niewiasta.

Na samo wspomnienie imienia niewieściego, mnich rękę podniósł do góry i głowę przechyliwszy minę uczynił taką, jakoby nie wiedział sam czy miał bronić czy potępiać.

Wzdrygnął się w końcu.

— Wspomnieliście — rzekł — owo stworzenie, które Bóg na świat wyprowadził z kości pierwszego człowieka, na zgubę ludzi, na pokusę, na narzędzie dla szatana. Prawda, bez niewiasty nie byłoby świata i nas, ale też przez nią świat i my przepadamy. Nie wiedząc czy ją słać czy przeklinać — zmilczel!

Tymczasem przemilczawszy przez poszanowanie dla duchownego, Zaprzaniec kończył:

— Tak jest, iż ma jednego a najstraszniejszego nieprzyjaciela w niewieście, i nie w innej jako w możnej i przebiegłej pani żonie ks. Władysławowej Agnieszce, Niemce. Z tych Niemek u nas wszystko zle szło i idzie.

— Przecz że go nienawidzi? — zapytał Jaksa.

— Łacno to dojść — odparł stary. — Gdy król nieboszczyk Krzywousty umierał, radzili mu biskupi, i wymogli na nim, aby państwo swe na równi między synów podzielił.

Jeden tylko Kazimierz został, któremu nie dano nic, Bogu go polecając. Nie sędzę ja pany nasze biskupy, ale bodaj podział ten dla nich bezpieczniejszym był, przeto go chcieli. Z jednym a potężnym panem twardo im szło, a tak każdy książę ma przy sobie biskupa, z którym władzę dzieli i każdy biskup jednego pana pilnuje. Tem łacniej rządy swe duchowne sprawować mogą.

Jaka była wola królów i biskupów, tak się stało. Kraje się podzieliły. Na Krakowie zwierzchnim siadł ks. Władysław i wziął Szląsk w dodatku. Bracia poszli na dzielnice z posłuszeństwem głowie. Cesarskiej krwi pani Agnieszce nie chciało się być i nie chce księżną, a żąda być królową. Więc dobrego pana a małżonka swego pędzi i zmusza, aby braci powyganiał, zwojował i sam jeden nad wszystkimi dzielnicami panował.

Tego i biskupi nie chcą, i pan Petrek pilnuje, aby się to nie stało, ale żeby się spełniała wola nieboszczyka króla. Więc ztąd do Petra nienawisć wielkiej pani i niemieckiego jej dworu.

— A nie mu nie uczyniła — gorąco wtrącił mnich — ma nas wszystkich po sobie ile jest, biskupi z nim, Pan Bóg z nim! Widzieliście przecie albo słyszeli, gdy niedawno dla opactwa naszego do kościoła św. Wincentego relikwii z Magdeburga zażądał, którzy i książętom odmawiają, bo ich żadnem skarbem opłacić nie można. Jemu arcybiskup świętych

nie odmówił kości i widzieliśmy, jak je do kościoła w tryumfie prowadzono, gdyby zdobył największą. A ktoby tego dokazał, żeby się z nim świętością, co opiekę niebios zapewnia, dzieliło? Kto? chyba jeden pan Petrek. Na co patrząc i znając go niech pani Agnieszka w Krakowie pamięta, że jeśli się porwie na człowieka, który świętych Pańskich i duchownych ma za sobą, rychlej ona sama padnie, niż się on zachwieje.

Mówił O. Maur z gorącością wielką, a drudzy milczeli.

— Prawdą jest — potwierdził Zaprzaniec — że panu Petrkwowi nikt tu nie straszny, bo i powagę ma wielką i rozum i bogactwa.

A co nań prawią nieprzyjaciele, że zdradą do mocy tej przyszedł, złością jest, boć co mu w sumieniu ciążyło dawno odpokutował.

— Duchowni wszyscy z nim, nasi opaci i starszyzna — dodał Maur — nie tylko w opactwie św. Wincentego, lecz wszędzie gdziekolwiek są. A są po świecie całym i jak ona drabina Jakubowa nieba, my tronu biskupa rzymskiego dotykamy! Wszyscy modlimy się za dobroczyńcę, mszę zań odprawiamy, a grzech, gdyby go miał, dawno zmyty ofiarami ołtarza, zarzucony temi kamieniami, których tyle na kościoły ponawozili, starty złotem, którym je przyozdobił... Rzeczono bowiem, że co my rozwiążemy rozwiązane jest, a co zwiążemy na wieki związane.

Napił się O. Maur miodu, bo się mówiąc zmęczył, otarł pot kroplisty z szerokiego czoła i ciągnął dalej, błyszczącemi oczyma wpatrując się w Jakś.

— Już i dlatego warto poznać dom pana Petrika, że nigdzie nie zobaczycie ani macierzy takiej powagi, jak księżna żona Petrkowa, ani córki takiej piękności, jak ona Beatryks, którą tu zwą Błogosławą, rajska kwiat! Ani anioły boże piękniejsze nie są, ani czystsze — dodał mnich ręce składając. — Gdy do kościoła wnijdzie, modlić się chce do niej nie do ołtarza!

— Gorąco to mówicie — przerwał Zaprzaniec. — Jam stary i już dla mnie niewiasty uroku takiego nie mają. Napatrzyłem się ich też po ziemiach różnych, szczególnie w Italii i Rzymie, gdzie, póki młode najpiękniejsze są, a po krótkim czasie straszne się stają.

— Tak, że i szatan nad nie ohydniejszym być nie może! — dokończył mnich ze śmiechem.

— Muszę to przyznać — rzekł Zaprzaniec — że nad córkę Petrkową Błogosławę, nigdzie ani piękniejszej, ani podobnej nawet nie widział.

Piękna jest inną pięknoscią, której południowe kraje nie znają; tamtych niewiasty z płomienia zdają się ulepione, te z powietrza i mgły czystej.

— Jedź — młodzieńcze! — zawołał mnich rubasznie — jedź, abyś choć raz w życiu to oblicze mógł oglądać. Szczęście to jest popatrzeć na nią.

— Jedź — potwierdził Zaprzaniec — dwór tam gościnny, a powinowatego przyjmą serdecznie. Cóż gdy ci biskup wprowadzi? Wszak żony nie masz?

Rozśmiał się Jakś swobodnie.

— Ani myślę tak rychło gniazda ślać — odpowiedział — wojuję; lubię wędrowki, a niewiasta do domu zawczasu przykuwa. Jechać zaś teraz — dodał — na dwór p. Petrika, nie przystało mi bom oto sam, jak palec, z dwojgiem psów tylko, bez odzieży, bez łańcucha, bez dworu, a tak mi się stawić, dla pamięci ojca nie godzi.

Gdy zamilkł na chwilę, O. Maur przeciągnął się i ziewnął szeroko.

— He! he! noc bo już jest, a nocą się wleńczy nie dobra rzecz, legnę tu chyba spać. Gorzej jak w mojej celi nie będzie, bo tam nasz opat na gołych deskach spać każe i nocą mu się na dzwonek co godzinę do chóru zrywać potrzeba.

— Ha! na toście się święcili! — odparł Zaprzaniec.

— Ja? ja? — zawołał O. Maur, ruszając ramionami. — Ani mi to było w głowie! Rodzice mnie w lecicach

dwunastu oddali Benedyktynom, musiałem iść, bo oni tak ślubowali nimem się urodził, że mnie Panu Bogu na ręce synów ojca Benedykta oddadzą! Ochoty do kaptura anim miał, anim brał. Na koniu bym wołał hasać i wesołą żonkę mieć, niż to życie nędzne prowadzić!

— Nędzy przecie i biedy na was nie widać! — rzekł Zaprzaniec.

— Boć sobie radę dać umiemy — rozśmiał się O. Maur. — O, ha! Rozległe mamy włosci, zajrzeć tu i owdzie potrzeba, to się jeździ, a w drodze zapomina się i klauzury i różnych srogich reguł zakonu. Pan Bóg łaskaw przebaczy!

I ogromną pięścią w piersi się buchnął.

Nie musiał się tak bardzo mówić mnicha zdziwić Zaprzaniec, bo widział i wiedział, co się po całym świecie w klasztorach benedyktyńskich działo, że je papież i biskupi oczyszczać wciąż i naprawiać musieli, a do dawnej ich reguły doprowadzić nie mogli; więcej tam u nich pono o łowach, napoju, jadle i wesołych godzinach, niż o chórze i godzinkach myślano. O. Maur właśnie do tych należał, co jarzmo potrzasać i lekcewać śluby, pracowali na to, aby ich z wrocławskiego opactwa wygnano, co też się wkrótce dokonało.

Po tej rozmowie szli wszyscy spać na siano do szopy.

Noc była chłodna, gwiazdzista i cicha. Jakś sam dłużej pozostał na podwórku z psami swemi, myśląc bodaj o dworze pana Petrka i o pięknej Błogosławie, którą mu tak zachwalano, że się w nim młodzieńcza rozbudziła ciekawość. Sam był i bez wszelkiego do odwiedzin przygotowania, ale czemużby też myślał sobie, nie miał zdala najrzeć na to cudo, nie dać się poznać? nikomu nie opowiadając, kto był?

Nęciła go bliskość miasta, odstręczało to, że do zmyślenia cudzej postaci nie miał ochoty, ni zdolności. Tak podumawszy sam, nie wiedząc co jutro pocznie,

po jakimś czasie rzucił się też na posłanie nieopodal od konia swego, a psy wierne do nóg jego przyległy. I cisza nastała w gospodzie, lesie, na świecie, tylko puchacz gdzieś zdala wróżył, odzywając się posępnie.

III.

Ranek jesienny trochę mglisty obiecywał piękną pogodę, biała rosa perlista okrywała trawy i drzewa, z za mgły wychylało się słońce, jakby suem nocnem rozmarzone jeszcze, jak nawpół przebudzone. Niekiedy okiem jaśniejszem spojrzano na świat i osłaniało się wpół przejrzystymi obłoczkami, zdając wstawać leniwo. Na gościńcu do Wrocławia prowadzącym, już się poruszało od świtu życiem dwojakim miasta i wsi, kupieckiem i gospodarskiem, wędrownem i domowem.

Już też i w izbie u Mikula ludno było, w ognisku ogień płonął, a że dym z niego nie rażno odchodził dymnikiem, po izbie się powlóczył i oczy wygryzał. Jedni pili u stołu, drudzy zziębłe ręce u ognia rozgrzewali, spoglądając na siebie, bo byli ludzie wszelacy, tutejsi i obcy. Większa ich część noc spędziła na łąkach i chłód ich na legowisku objął jesienny. Znać to było z zarumienionych twarzy, z żywych ruchów, któremi rozgrzewać się chcieli. Z noclegujących pod szopą, pierwszy co się ze snu po cichu zerwał i wozowi kazał gotować do drogi, był tłusty mnich, który po wczorajszej zbytnej wesołości swej, ponuro teraz i kwaśno wyglądał. Lękał się może Opata, dla spóźnionego powrotu. Nie żegnając więc nawet swych towarzyszy, starego Zaprzaniec i mło-

dego Jaksa, na wóz się wdrapał i ku miastu poganiać kazał, w drodze głośno odmawiając pacierze za-
ległe, bo choć się zdał nie bardzo pobożnym i język
mu czasem świerzbiał bezbożnikiem nie był, po swo-
jemu Pana Boga chwalać i przed Nim się korząc.

Zaprzaniec za nim ruszył się drugi, a wprędce
potem zerwał się Jaksa, który sen miał niespokojny,
sam nie wiedząc jeszcze, co z sobą uczyni. I Wro-
clawia mu się chciało i od domu a matki się od-
biwszy, radby był dla niej co rychlej powrócić.

Stary go przywitawszy, głośno modlitwy rozpo-
czął, a tuż i pacholek jego przybył, co mu do lep-
szego odziewania się pomagał.

Tymczasem Jaksa przed gospodę wyszedłszy,
poglądał na gościniec, tam i sam, ważąc jeszcze co
lepiej: nawracać do domu, czy zajeżdżać do miasta?

Jeszcze tak dumał, gdy stary Żegota już sobie
napojonego konia podawać kazał, a mając go do-
siadać, zawrócił się ku młodemu.

— Zdrowi bywajcie! — rzekł — a trafi się wam
podle Krakowa droga, to mnie też pustelnika na
skale mej nawiedźcie; rad ludzi widzę u siebie.

Dziękował Jaksa.

— A wam kędy droga? — zapytał Zaprzaniec.

— Sam ci jej nie wiem jeszcze — rzekł Jaksa —
ważę się, na łowym się tylko wybrał, a podróż mu-
siałem zrobić.

Stary, zważywszy może, iż się nie chciał z tem
wydać co pocznie, nie pytał już więcej, na konia
siadł, ręką pozdrowił i ruszył; a choć siedem dzie-
siątków lat miał na sobie, mnogie boje i blizny, je-
chał jeszcze tak krzepko, rażno, jakby zawsze mło-
dym był. Patrzył za nim Jaksa długo, aż mu za-
wróciwszy na leśnej drodze, z oczu zniknął.

Słońce wybijało się z za obłoków; czas i jemu
było ruszać, konia też chłopcu kazał podawać, na psy,
które pokarmiono, świsnął i dał koniowi rozstrzygać
o tem (przeżegnawszy się), gdzie ma jechać dalej.

Zdało mu się to bezpieczniejszem, niż rozum
własny, który uczył dobrze, czego nie trzeba było
robić, ale co robić, nie wiedział.

Koń prychnawszy, dlatego może, iż w tę stronę
więcej ludzi i wozów ciągnęło — zawrócił ku Wro-
clawowi.

Jaksa prawie rad był, ale w duchu sobie po-
wiedział, że w mieście ino popasie, rozpatrzy się ma-
luczko i do domu nawróci.

— Gdyby jakim szczęściem dało się zobaczyć
ową Błogosławę — mówił jadąc — dobrze by to było,
ale gdzież i jak się to trafić może?

Tego się całe nie spodziewał, bo młodemu tyl-
ko o dziewczęciu marzyć. — Ludzka rzecz.

Miał też powód szukać sobie i napatrywać żony,
choć jej niby nie chciał i wypierał się wczoraj. Miał
Marek Jaksa jedną tylko panią macierz starą, która
jedynaka swego miłowała jak oko w głowie, a ciągle
modliła i prosiła go, ażeby się, jeśli nie dla siebie,
to dla niej ożenił.

— Dla mnie starej — mówiła mu — pociecha by
była z synowej i wnucząt, choć do kogo zagadać,
choć się z kim popieścić. Ty zawsze kędyś w dro-
dze, ja sama, a uchowaj Boże nieszczęścia na ciebie,
mnie też nie żyć, bo nie mam dla kogo.

Dla tej milej macierzy radby się był ożenił już
Jaksa, pewnie więcej niż dla siebie, bo trudny ja-
koś był i największa piękność mu nie smakowała,
gdy obyczaj miał prosty. Czegoś pragnął więcej,
niż umiał powiedzieć — wysoko patrzył. Więc owa
Petrkowa córka, zachwalona tak, w głowie mu utkwia-
ła. Choć tam może starali się możniejsi, a dumny Pe-
trek za zięcia książątko by chciał mieć, i panu Jak-
sie nie było co zarzucić ani z rodu ni z mienia. Ich
też pono dawniej kneziami zwano, a z owych czasów
włości a ziemi zostało im poddostatkiem. Tak my-
śląc, jechał powoli Jaksa, a psy, po zaroślach się
związując, wietrzyły, bo rosa im pomagała. Szlak lu-

dny był, wozy na targ nim sunęły, ludzie szli, bydło gnano. Już też zdala i gród poczynano być widać, i wieżę nad nim okragłą, gdy od strony miasta ukazał się orszak pański. Zdala trudno go było dobrze rozeznać, pył się za nim i przed nim niósł i tumanami go zakrywał. Dopiero nieco się przybliżywszy dojrzał Jaksa przodem jadącego, męża poważnego, w sukniach długich, ciemnych, z brodą siwiejącą postrzyżoną, bez broni żadnej u pasa ni u kolana, za którym dwu czeladzi przystojnie odzianych wiozło łuki, kołczany i oszczepy. Siedział na koniu dzielnym, kapą okrytym, a nikt się z nim na równi nie ważył stać i z tyłu reszta kroczyła, konie hamując niecierpliwe. Oczyma mąż ten rzucił dokoła, jakby się tu panem czuł, w kraju, na który patrzył. Przyglądając mu się lepiej Jaksa, na sukni dostrzegł u piersi krzyż złocisty na łańcuchu, i po nim, więcej się domyślił, niż poznał powinowatego, którego od dziecka nie widział, biskupa Janika Gryfa z Brzeźnicy, który choć duchowny, łowy, konie i zabawy rycerskie nad miarę lubił. Pomawiano go nawet o to, że więcej był rycerzem niż pasterzem, o co on mało dbał, bo swój obowiązek pełnił pilnie. Duchownych dycezyi swej po żołniersku trzymał, a gdy wizyty kościelne odbywał, zwykł był nie inaczej się w drogę wybierać jak z końmi, psy i ptaki, aby czasu nie tracić; kapelan za nim jadący, modlitwy głośno czytywał. Biskup je po cichu powtarzał, że psów nie spuszczaając oczu. Taką już słabość miał, za którą Pana Boga przepraszał, zwyciężyć jej nie mogąc. Psy biskupie gromadą wielką po polach się właśnie rozbiegły, a że Jaksowe też tam były, padły na się sobaki warcząc i do gryzienia się zabierając. Zwróciło to uwagę ks. Janika, a gdy postrzegł, że obce psy duże i piękne były, nie domowego porodu, i ich i pana szukać zaczął oczyma po gościńcu. Tymczasem psiarze z batami rozganiali warczących.

Jaksa, który się bokiem gościńca brał, mimo to

natknął się na orszak biskupi. Spojrzał nań ks. Janik, weale nie poznając.

— Wasze to psy? — zagadnął jadącego, który go niskim uciecił pokłonem.

— Moje!

— Cóż to tak z niemi po cudzych polach hasacie? — zapytał biskup.

— Nie zajechałem tu po dobrej woli—odezwał się Jaksa — i nie na łowy, alem się srodze obłąkał.

Stanął biskup i na psy, które przybiegły, chciwie patrzył.

— Zkąd te psy macie? — zagadnął — u kogo służyecie?...

— Nie służę nikomu — rzekł Jaksa, którego suknie powszednie za pospolitego człowieka podawały. — Psy z sobą z Niemiec aż z nad Renu wywoziłem.

Biskup więcej na psy patrzył, niż na człowieka.

— Dobre są? — zapytał.

Chciał go już wymijać Jaksa, gdy się ku niemu zawrócił i krzyknął:

— Sam tu! do mnie! kto wy jesteście?... Psy bym wasze do mojej psiarni rad mieć.

Ciężko się już było Jaksie panu stryjecznemu wykłamywać, zdjął więc czapkę i zbliżył się.

— Daruj mi miłość wasza, że w tej sukni przed nim stoję, alem się zbłąkał, a nie śmiałem przed nim się tak stawić, wypadkiem się tu znalazłszy. Jestem Marek Jaksa z Miechowa.

Biskup cugle puściwszy, ręce podniósł.

— A niepocziwy! — zawołał — i mijałeś mnie tak, nie dawszy się znać?... Pogroził mu.

— A toż godziwo — ciągnął dalej — że do domu powróciwszy, dotąd do mnie po błogosławieństwo nie szedłeś? A któż ci dziś bliższy nademnie?

Jaksa z konia zlazłszy, stał przed nim jak winowajca.

— Nie winicie mnie — rzekł, biskupa w rękę całując. — Macierz tęskliwa trzymała mnie z dnia na

dzień, nie odpuszczając od siebie. Dni temu cztery, nieszczęście chciało, nieopatrznie się wybrałem na łowy i takem brzydko się w puszczech obłąkał, żem w nich o mało z głodu nie zmarł. Wczoraj pod noc dopiero znużony dobiełem się do tego gościńca.

Biskup Janik głową potrząsał, jakby nie do wierzał, wciąż pono więcej na psy patrząc, niż na bratanka. A te się też przy swym panu ochoczo i wesoło zwijały.

— Hej, psy, prawdziwe molossy! — szeptał cicho i podniósłszy głowę, zawołał:

— Dokądże teraz?

— Będąc już pod miastem, zachciałem je choć zobaczyć, albo co dla drogi kupić, aby znów głodem się nie morzyć. Do Waszej miłości w tej odzieży jechać nie śmiałem.

Biskup nań uśmiechając się patrzył i głową kręcił.

— Jedźże dalej — rzekł — jedź z Bogiem, ale mi ty tak nie ujdiesz.

Zawrócił się ku swoim i skinął na starego czelaka, który podbiegł na koniu.

— Słuchaj, Drygas! Oto ci wziętego jeńca na ręce daję; żebyś mi go strzegł i zbiedz mu nie dał. Krok w krok za nim, ugość go u mnie we dworze, bo to bratanek mój, krew moja! Słyszysz? Ja też niebawem powrócę, ino się ze psy przejadę trochę... Żebyś tam na mnie czekał!

I pogroził łagodne Jaksie, który biskupa w rękę pocałowawszy, z drogi mu z koniem ustąpił i przypatrzwszy się nieco przeciągającemu orszakowi, zabrał się ruszyć do miasta.

Stał przy nim ów naznaczony mu do dozoru Drygas, stary czelak z postrzyżoną głową, dobrodusznego wyrazu twarzy, znać myśliwy, jak niemal wszyscy biskupa domownicy, bo się tęskno za psami oglądał.

Uśmiechnął mu się Jakska.

— Nie w smak ci stary — rzekł — ze mną nawracać

do domu, ale ja nie winien temu, tylko pan wasz Jedźmyż!

Jechali tedy, w trop za nim Drygas coraz się oglądając, aż i miasto się wyraźniej z za wałów sypanych, ostrokołów i tynów ukazywać już zaczynało. Gdzienigdzie ponad te wały wyglądała wieżyca gruba, niekształtna z oknami ciasnemi i małemi. Za wałami gromadą stały domostwa drewniane, z dachy słomianemi i dranicowemi. Po nad chaty i dwory gród się nieco tylko podnosił, a w drugiej stronie, u góry Sobótki, domyślał się już sam Jakska, w znacznych zabudowaniach, dworca pana Petrka i przy nim Opactwo, bo po nad nim krzyż na dzwonnicy widać było i kawał muru tam szarzał, czerwienił się i bielił. We wrotach miejskich ścisk był wielki dla dnia targowego, gdzie właśnie myto brano, ludziom z wozów chwytając to drzewo, to inną kupią zamiast pieniędzy. Z tego rósł tu swar i wrzawa. Miejscy stróże z oszczepami u bram dokazywali, opierających się obuchami tłukąc. Ci sługę biskupiego poznawszy, obu podróżnych przepuścili z pokłonem.

Właśnie gdy mimo Sobótki przeciągać mieli, dzwonek się nad kościołkiem począł odzywać. Zwrócił się Jakska do sługi.

— Radbym mszy posłuchał — rzekł. — Weźcie na sznur psy moje, bo gotowe za mną i tam, a co po psie w kościele? Nie zabawię długo, a na biskupi dwór i sam trafię..

Drygas głową jakoś pokręcił.

— Pozwoli mi miłość wasza, abym rozkaz mojego pana spełnił jak należy. Pостоję ze psy u proga.

Właśnie do parkanu opasującego ementarz i kościół podjeżdżali; tu Drygas psy za sznur wziął, a Jakska przez wrotka do bocznych drzwi kościelnych iść zaczął.

Naprzeciw tych wrót ementarza, któremi wszedł, była w kawałku muru furta strojna, wiodąca w stronę dworca pana Petrka, pokryta kamieniem i zakończona

ezona daszkiem. W chwili gdy Jaksa jednemi wroty wchodził, otworzyły się i drugie, a przez nie weszły dwie niewiasty i za nimi poduszki niosąca służebna. Strzymał się tedy Jaksa i ukryć chciał, dopóki by nie przeszły, bo do tychże drzwi kościelnych zmierzały—ale skryć się nie było gdzie, tylko że do muru przyległ, patrząc ciekawie.

Z dwu niewiast pierwsza poważna, niezbyt już młoda, szła tak jakby po swej ziemi, pańsko, dumnie, wolno, ledwie że na świat spoglądając, myślami pewnie będąc gdzieindziej, bo i tam, gdzie patrzała, nie się widzieć nie zdawało. Piękna jej twarz, choć na niej lata kilka już marszczek zarysowały, jaśniała jeszcze ową niezgasłą pięknością córek północy, które się tak zdają przychodzić na świat z marmuru kute, aby ich czas nie spożył. Wypełniło się tylko jej oblicze i stało z pięknego majestatycznem, a reszta młodości jeszcze w niem przeglądała. Na głowie, na włosach jasnych, które mało co widoczne były, miała złotogłowy czepiec, na nim zaslonę białą. Na sukni ciemnej, obcisłej, długiej, bramowanej, płaszcz lekki podbity szkarłatem, uarzucony był na ramiona. Obie ręce białe, złożone na piersiach, osłaniały wywinięte rękawki. Na szyi łańcuch się okręcał, u pasa torebka wisiała pozłocista. Suknie się tak jakoś na niej składały posłuszne do jej postaci i ruchu, że wszystko poważnem było, jak twarz, czolo i wejrzenie zadumane. Idące za nią dziewczę młodziuchne, z rysów oblicza poznać łatwo było jako jej dziecię. Też same jasne twarzyczkę okalały włosy, w splecionych kosach długo spadając na ramiona, ze wstęgami i łańcuszkami, które się w nie wplatały. I twarz do matki miała podobną, białą jak śnieg z modremi oczyma, tylko od niej piękniejszą daleko, nie samą młodością ledwie rozkwitającą, ale czystością rysów, życiem, smutkiem, łzami niepokalanymi. Było to szczęśliwe dziecię macierzyńskich pieczęci, nie oderwane jeszcze od matczynej łona,

nie żyjące sobie, ale w matce i dla niej. Ubiór miała jaśniejszy i lżejszy, a kolce, łańcuch, pierścienie i ozdoby, zdały się jakby umyślnie dla niej zrobione z pajęczyn złotych, ze srebrnych nici. Coś dziecinie wesołego patrzyło z jej oczu spokojnych, a gdy matka zdawała się nie widzieć nic, bo już wszystko przepatrzyła na świecie—ona się ciekawie przyglądała najmniejszej rzeczy.

Jednego ptaszka, muszki, listka drżącego na gałęzi nie minęła, nie uśmiechnawszy mu się jak dobremu znajomemu i przyjacielowi. Zwracała ku nim główkę powoli, zdając się chcieć zgadywać te sztuczne kształty, w które kolo niej przyodziewało się życie. Tak samo jak na przelatujące wróble, poczęła patrzeć na stojącego u wrót Jakse, po dziecinie, ciekawie śmiało. Lecz gdy się z jego oczyma spotkała, twarzyczka się jej zarumieniła, zmarszczyła brew i odwróciła wejrzenie. Jaksa niepozornie wyglądał, a nadto patrzył śmiało, pogniewało ją to może. Prosty był człek a tak zachwał! Spojrzała raz drugi ukradkiem, patrzył jeszcze i odwróciła się znowu. Wtem matka weszła w ciemne drzwi kościelne i znikły w nich obie.

Jaksa stał jeszcze chwilę, jakby nie śmiał się ruszyć, nie chciał spotkać, dał im wniść i służebnej, która go też oczyma mierzyła szczerze pogardliwie; potem i on z wolna posunął się ku kościelowi.

Właśnie do bocznej kaplicy, przed Chrystusów krzyż wychodziła msza święta. Z zakrystyi poważnym krokiem sunął mężczyzna urodziwy, postawy wspaniałej, w sukniach uroczystych od złota i jedwabiu lśniących. U ołtarza klęczały już matka z córką na podrzuconych im poduszkach. Jaksa z boku stanął i pobożnie począł się modlić.

Niewielki, ale wspaniały był ów benedyktyński kościółek, znać w nim było rękę pobożnego fundatora, a gdzie sztuce ówczesnej brakło mistrzostwa zastępowało je złoto. Lśniło się nie wszędzie. Na

złotych tłach stały malowane obrazy, w złoto przyodziejwane były ołtarze, złotem dzierzgane suknie. Ledwie że go na podłogę nie rzucono, a na stropie gwiazdami jaśniało i pręgami się świeciło.

Z kamienia też ciosane posągi, na owe czasy osobliwa rzecz,—obficie kościoł zaludniały, a choć chude i sztywne, coś już w sobie życia i coś myśli zawierały. Modliły się wszystkie lub bolały—a poleść jest też modlitwą.

Język sztuki zaprawdę cudownym jest i sił jakichś nadziemskich pełnym. Dla młodych ludów starczy ledwie skazówka jego, aby z niej żywa ich wyobraźnia wysnuła obraz żywota. To też to co dziś u nas wstręt by i politowanie obudzało—unosilo duszę i myśl w inny świat dźwigało. Rośnie kunszt z ludźmi razem jak ich mowa, z potrzebami i duchem rozpościerającym się coraz szerzej. To, co do zepsutych ludzi się wdzieczy i pięknoscią ich zdumiewa, dla wpółdzikich, surowych mdłem by było i niezrozumiałem.

Ztąd ta krasa barw w pierwszych wiekach, ztąd kolorów wrzawa i posągów lub jakaś martwota sztuczna swą siłą niepożyta, albo dzikie a dobitne ruchy. Jaksa patrzył na świętych z kamienia, ale więcej jeszcze na posąg ten żywy, na to dziewczę, którego zlekka kibić tylko zręczną, z pod długiej mógł dojrzeć zasłony, giętką jak trzcina, którą wiatr ugina.

Nia tak ugięła modlitwa.

Ani czuł ani wiedział Jaksa, gdy się skończyło nabożeństwo i ksiądz dawszy do pocałowania pacyfikał niewiastom, tym samym krokiem poważnym, z twarzą rozpromienioną, z jaką szedł do ołtarza, powrócił do zakrystyi.

Młodzieniec stał zadumany u drzwi, gdy poczuł, że go ktoś zlekka za suknię pociąga i odwróciwszy się ujrzał O. Maura, który z chóru go zobaczywszy, przybył powitać. Właśnie niewiasty wstały były i mimo nich przechodziły, więc Jaksa wpatrzony w nie cie-

kawie, ledwie wesołego mnicha mógł pozdrowić. Prześliznęły się przed niemi, jak cienie. Starsza skinęła głową O. Maurowi, który ręce na piersiach złożywszy, pokorny pokłon jej oddał.

— A cóż?—odezwał się cicho gdy wyszły—nie mówilemże wam, iż do tej cudnej Beatryksy modlić by się można?...

— Któż ona jest?—zapytał roztargniony Jaksa.

— A któżby to mógł być, jeśli nie pani Petrkowa z córką?... z tą gwiazdą, jakiej równa nie świeci żadnej ziemi, z tą perłą godną cesarskiej korony?

Jaksa zmilczał. O. Maur ciągle się uśmiechał.

— Widzę, żeście od widoku jej osłupieli—dodał. Ani dziw! gdy we mnie starym kłocu dusza się na widok jej śmieje, coż dopiero w młodym, w którym soki żywe płyną? Nie jestli to niewiasta najpiękniejsza w świecie? Najprzewielebniejszy Opat nasz, ojciec Anzelmus, którego mszy słuchaliście, jest tej pani duchownym doradcą, a córki nauczycielem. Szczęśliwy człek gości tam we dworze co dzień, bo i p. Petrkowi za to jest miły, że mu niewiasty zabawia. Wonią tej lilii zaledwo rozkwitającej i tej róży w pełnym kwiecie napawa się nasz najprzewielebniejszy do syta! Najmilszeć to jego owieczki, które i na chwałę Bożą strzydz się dają, bo jejmość hojną jest na domy nasze.

O. Maur rozgadywał się tak żywo, gdy Jaksa wcale do rozmowy nie zdawał się okazywać ochoty. Pożegnać już miał księdza, gdy ten przeprowadził go za drzwi kościelne.

— Widzę, że was do miasta wzięła pokusa?—rzekł—jam to przewidywał!

— Nie po dobrej woli tu przybyłem—odparł z uśmiechem młody.—W polu spotkałem ks. Biskupa Janika i nie mogłem go wyminąć bez pokłonu. Poznał mnie i przykazał jechać na swój dwór, bo sam wyruszył nieco na łowy. Ot, jakem się tu znalazł!

— A! a!—rzekł O. Maur z przekąsem i głową trzęsącą—pewnie gdybym ja był biskupem, wolałbym

też konno w pole ruszyć, niż w celi siedzieć zamkniętym! Ma rozum ks. Pasterz, wybiera co lepsze! Nasze życie utrapione! — westchnął — a Opat, coście go przy mszy widzieli, zda się zdala człek miły i gładki, tymczasem zbliżka żelazny, kamienny dla nas! Przy późniem mu się wczoraj do klauzury, dziś mi drewna do kuchni nosić kazano.

Skrzywił się i strząsnął gadatliwy mnich.

— Szczęściem O. Anzelm pójdzie zaraz sam do pani Petrkowej, bo to jego codzienna peregrynacja, a za mnie drwa braciszek przyniesie! Rozśmiał się, Jaksa śpieszył go pożegnać, bo już stali u wrót cmentarza, za które O. Maur spojrzał z tęsknicą za swobodą i wolnym krokiem do opactwa pociągnął.

Jaksa z towarzystwem ruszył do dworu biskupiego.

Ludzie naówczas mniej potrzeb i wymagań mieli, lecz zwierzchnicy stojący u góry musieli dla wrażenia posłuszeństwa, dla powagi otaczać się blaskiem i przepychem. A że biskup stał na równi z książętami, jeśli często nie wyżej nad nich, musiał im nie ustępować zewnętrzną okazałością. Dwór też biskupi, jak panującego, liczny był, wielki i wspaniałe się przedstawiał. Znaczne z dóbr nadanych, sądów i kościołów dochody, dozwalały Pręlatom życie prowadzić wystawne. Trzymał z nich każdy żołnierzy swych, pachołków, dowódcę straży, miał marszałka, kanclerza, kapelana, świeckie, rycerskie i duchowne sługi a urzędniki.

W początkach zwłaszcza, gdy władza metropolitarna ustaloną nie była, a każdy biskup u siebie gospodarzył, wprost się znosząc i zależąc tylko od Rzymu, pasterze niezawisli, każdy po swej myśli według swych usposobień po diecezyach się rządzili. Całe duchowieństwo swe mieli na rozkazy, sąd własny, więzienia, na nieposłusznym kary, a kogo obrzucili interdyktem lub klątwą, ten i po śmierci w grobie, jak cesarz Henryk IV, nie miał spoczynku.

Owczesny dworzec biskupi we Wrocławiu nie

ustępował książęcym, tak był rozległy i ludny. Roilo się tu ludem różnym, a że duchowieństwo przeważnie z cudzoziemców się składało, nawet u ks. Janika było ich pełno.

Polak naówczas na stolicę biskupią nie łatwo się mógł dostać, a jeśli na nią wszedł, musiał, jak ks. Janik, dzielić na wpół władzę z dodanym mu Archidyakonem, który obcym był. Włosi, Francuzi i Niemcy zapelniali klasztory, do których Polakom także przystęp był trudny. W wielu miejscach, jednego tylko trzymano tłumacza z konieczności, resztę mnichów z zagranicznych ściągając klasztorów. Niektóre przy zakładaniu wpisany miały warunek, że samych Niemców mieścić w sobie były powinny.

Około ks. Janika dwór był dwoisty: polski i obcy; ostatni, jak wszędzie, władzy sobie i znaczenia więcej przywłaszczał, niż mu należało. Zaledwie w podwórzu pełne księży ze wsi przybyłych, żołnierzy i ludu wjechali, gdy już ks. Robert archidyakon, który tu biskupa zastępował, a właśnie strojny w komżę i biret przechodził, po drodze ręce do pocałowania nastawiając i odbierając pokłony — zobaczywszy Jakś, który mu cześć tak pokornej nie oddał, ku niemu się rzeżko zwrócił pytając, ktoby był i czego tu żądał?

Nim on się zebrał na odpowiedź, przyskoczył Drygas z tłumaczeniem i ks. Archidyakon, pozdrowiwszy uśmiechem przybyłego, pociągnął dalej.

Stary sługa biskupi postarał się zaraz o to, aby Markowi izbę wyznaczono i aby głodnym nie był. A że zwyczaj naówczas nie znano noszenia jadła po domu, musiał Jakś zniżyć do wielkiej izby na dole, która była rodzajem gospody i refektarza dla gości.

Wszystkich ich ks. Janik przyjmował poprostu, ale nikt ztąd, jak ze dworu książęcego, głodnym nie odszedł.

W godzinie tej właśnie ogromna izba, na słupach oparta, którą trzy stoły przedzielały, otoczone ławami, pełna była ludu najrozmaitszego. Czeladź

roznosiła misy, a stoły obsiadali pielgrzymi, rozprawiając z sobą. Była ich dnia tego liczba znaczna. U stołu jednego karmili się żebracy i lud ubogi, u drugiego proboszcze i wikaryusze z dycecezyi, u trzeciego rycerstwo i ziemianie. Każdy z jakąś sprawą przybywał.

Księża prawie wszyscy zaskarżeni albo skarżący wyglądali ubogo, ledwie w nich duchownych poznać było można, tak suknie nosili różne. Znaczniejsza ich część konno przybywszy, ostrogi u butów miała i noże ukryte pod suknią zwierchnią, które w przypadku napaści i do obrony służyć mogły... Duchowieństwo ówczesne w całej Europie, jak i u nas, nie było jeszcze tak ściślemi związane słubami, wielu z nich przybywali w sprawie rodzinnych, bo dotąd żonatych było wielu, a niektórzy zaskarżeni o bigamię, musieli się oczyszczać, albo za synami swemi prosić, aby ich od ołtarzy nie usuwano. Biskupi ściślej coraz zaczynali wglądać w życie prywatne świeckich duchownych.

Niemaló też z rycerstwa pozwanych było przed sądy duchowne, o różne przestępstwa główne. Każdy swoje opowiadał, narzekał i niewinniać się starał.

Nie wesoło tu było, a nad miarę gwaro, bo się sobie obżalowali wzajem zwierzali.—Jaksa wszedł na tę wrzawę, szukając sobie miejsca, a znajomej twarzy nie znajdując, w rogu stołu, skromnie zasiadł na uboczu. Ziemianie go, jako niepozornie ubranego, poczęli mierzyć oczyma, że się ku nim zbliżył, i zdawali wejrzeniami chcieć odegnać, gdy niemłody człeczyna pomiędzy niemi siedzący, ciekawie mu się jął przypatrywać.

Była to postać, nawet w tym tłumie pełnym osobliwszych ludzi, uderzająca dziwotą. Nie wiadomo było na pierwszy rzut oka, czy więcej go na szerokość czy na wysokość urosło, tak mały był a otyły. Twarz też miał ogromną, z oczyma maleńkiemi, wargi wielkie, usta szerokie, brodę rzadką, a głowę niemal

łyśą. Opięto odziany zdawał się ledwo w sukni mieścić.

Spojrzał nań Jaksa i jakby się go domyślił czy poznał, patrząc nań, uśmiechu na ustach powstrzymać nie mógł. Gdy się tak mierzyli oczyma, ów rozrosły wszerek człek ręce rozstawił, za stół chwycił, podniósł się. Nie wiele go przez to przybyło. Drgnęła deska na której oparł ręce, zadźwięczały stojące na niej dzbany i kubki. Wnet dobywając się z miejsca swojego pośpieszył zdyszany do Jaksy, który na powitanie powstał.

— Albo ty być musisz Jaksa z Miechowa, lub jam ślepy i głupi!—zawołał okragły człek.

— Jam ci jest — ściskając go odezwał się wesolo młody—a stryj co tu poczynasz?

— Nic nie wiesz — rzekł odciągając na bok ku ławie stary. — Prawda żeś wędrował! Com miał czynić? Na konia już nie siądę dla brzucha, ledwie grzeszne to dźwigam ciało. Synom oddałem mienie, aby oni z niego księciu służyli, a sam bratu przybyłem marszałkować, jeść, pić i modlić się. — Z wielkiego żupana ot na com zszedł na starość, siedzę na łasce. Brzuch mnie zgubił. Rósł, rósł niepomiernie, napróżno go ściągałem, próżnom smarował czem radzono, i ot—co się ze mną zrobiło!

Spuścił smutne wejrzenie na swój pas, który na ostatnią dziurkę spięty, zdawał się chcieć pęknąć...

Jaksa mu do ucha powiedział swą przygodę i przybycie.

Stary Żuła głową potrząsał słuchając.

— Dobrze, że się mu pokłonił—szepnął — pan jest mocny, ale swoim on nie nie pomoże, bo go obcy objadają.

— Ja też nie od niego nie pożadam — rzekł Jaksa.

— Tu ks. Robert archidyakon tyle waży albo i więcej co nasz Janik—mówił Żuła.—Daje mu się bawić ze psy i po polach jeździć, a sam wszystko

w ręce zagarnia. My tu u siebie w domu, gdyby goście, biskupi, mnichy, Niemcy, Włochy, książęta, ich żony, jakby nie swoi, wkrótce może Wojewodowie i Starostowie cudzy będą—a no—szal chodź jeść, potem o tem. Misa paruje, a wnet rozerwą z niej i nam kości zostaną.

To mówiąc i ciągnąc za rękę bratanka, Żuła posunął się do stołu i zajął przy nim miejsce, starając się ugościć krewniaka, na którego wszystkie oczy były zwrócone. W sukni czarnej kleryk około gościnnych stołów gospodarzył, utrzymując przy nich porządek.

IV.

Jaksa, który na krótki czas z domu dla łowów był wyruszył, pochwycony przez ks. Janika, który puszczać go od siebie nie chciał, siedział już dni kilka na biskupim dworze.

Pierwszego dnia zaraz konnego sługę wysłał Biskup do pani matki z oznajmieniem, iż się synowi nie nie stało, że go stryj u siebie ugasa, bo mu z serca jest rad. Przez posła tego Jaksa nakazał do domu aby ludzie jego, dwór i odzież przybyła, nie chcąc tu jak jakiś przybłęda wyglądać. Nim mu przywieziono co było potrzeba, prawie zamknięty w izbie siedział, bo sam Biskup w odzieży, która jego stanowi nie przystała, ludziom go nie chciał okazywać.—Zabawiali się tak przy zamkniętych drzwiach sami z Żułą i Biskupem o łowach, psach i ptakach rozprawiając. Jaksa, który w obcych krajach wiele

słyszał, widział i nauczył się rycerskich a łowieckich spraw, miał o czem obu stryjom rozpowiadać.

Biskup tak samo jak psy łowieckie, sokoły lubił i hodował, a najmilszem mu było, gdy je oglądał i pieścił. Cała jedna izba ogromna pełna była białozorów, jastrzębi, orłów, i różnego ptactwa noszonego, aż do małych, a żwawych kobuzów. Nad niemi opiekę szczególną miał Żuła, bo dopóki nie był się tak roztył ogromnie, i on rad z ptaki jeździł. Owo zamilowanie biskupa dziwnem się nikomu naówczas nie wydawało, bo nie było między ziemiany i możniejszemi człowieką, któryby z dzieciństwa się z łowiectwem nie zżył, tak, że mu ono w nałóg i obyczaj poszło. Tęsknił każdy pod dachem, a częściej bodaj nocowano w lesie niż doma. Cały boży rok było na co polować, to na drapieżne stworzenia, to dla skóry, to dla mięsa. Dobry łowiec żywił swój dom dziczyzną; wędzona i solona w fasach stała wszędzie na powszedni chleb, a bieda tam była gdzie wołu zarzezać musiano na stół, bo pan łosia dostać nie umiał. Lasami okryty kraj cały karmił zwierza podostatkiem. Kto się z dziecka nauczył biegać po kniejach, choć go potem w suknię duchowną odziano, tęsknił do lasu. Tak i ks. Janik z Brzeźnicy, którego uczyniono Biskupem, dawny młodzieńczy obyczaj zachował.

Człek miłosierny i dobry, chociaż na oko surową miał postać, zdaniem ks. Roberta, utrzymującego, że w tym kraju i z tym ludem bez żelaznej różgi obejść się nie było podobna—za łagodnym był do rządzenia dyecezyą. Surowością zastępował go ks. archidyakon.

Biskup milezał, czuł może nieudolność swoją, nie umiał ani zgromić, ni zastraszyć, ani ukarać ostro, żal mu zawsze było biednych ludzi, nakłaniał do poprawy, a przestępcom rad był zawsze przebaczyć, mówiąc, że wszyscy są ułomni. Twarz tylko miał groźną a surową—ks. Robert ostrzejszy daleko, rozumny, że kraju nie lubił, bo rodem był Włoch, choć tu od mło-

dości przebywał, pogan, jak ich zwał, rad nękał i mścił się za to na nich, iż z niemi żyć musiał. Człek był zresztą uczony i prawy — ks. Janikowi swobodę dawano w domu i życiu, dyczezyą więcej niż on rządził ten przybysz, a że biskup powolny był i sam się odsadzał od spraw wielu, godzili się z sobą, wzajem sobie folgując. Samotności nie lubił pasterz. — Pomodliwszy się i obowiązki swe spełniwszy szukał ludzi, tęsknił za niemi, gdy ich nie miał.

Dlatego i otyłego Żulę chętnie do siebie wziął, aby go w chwilach samotności rozrywał, dlatego i młodego Jakse, powagą stryjowską rad był przytrzymać u siebie — aby mieć z kim chwilę przepędzić, gdy pół dnia proboszczom z urzędu grozić i karcić ich musiał. — Kilka tak dni zabawiali się zamknięci, gdy wieczorem jednym, właśnie we trzech zasiadłszy, a o psach rozmawiając, posłyszeli hałas i ruch wielki w pierwszych izbach.

Ktoś się natarczywie wstępu domagał i jakby do niego prawo miał. A głos coraz podnosił. Biskup nakazawszy milczenie, posłuchał nieco, głową rzucił i żywo wstał z siedzenia.

— Nie kto mi się tam tak dobija, ino pan Petrek — rzekł śmiejąc się — tego już potrzeba kazać wpuścić, bo drzwi potłucze i ludzi porozpędza, nie nawykłym będąc, aby go od progu odprawiano.

Skinął na Żulę, który zaraz wybiegł, a Jaksie który się chciał wycofać, kazał pozostać przy sobie.

— Pokłońże się i ty, możnemu Palatynowi naszemu — rzekł bijąc go po ramieniu. — Nie mały człek jest, przydać ci się może. Aniby się go minąć godziło gdy jesteś u mnie, żal by miał. Człek to różny z książęty, a od wielu z nich lepszy.

Ledwie słów tych domawiał, gdy żwawo miotając się wkroczył do izby człek niemłody, silnej budowy, odziany tak, żeby go z wejrzenia nikt, nietylko Palatynem ale Starostą na małym gródku nie poznał. Buła tylko była rycerska, twarz czarna, ogorzała,

rysy niezbyt wdzięczne. Orli nos dużą część twarzy zajmował, resztę broda ciemna a rudawa pod światło. Na głowie włos mu się jeżył, i wzbierał nieposłuszny, porozrzucany a bujny.

Czoło miał już zorane marszczkami a chmurne.

Żelaznego w nim męża łatwo poznać było, nieulekłego, śmiałego niedającego się niczem złamać. W oczach niepokój jakiś mieszkał, na obliczu duma, lecz gdy się uśmiechnął, z duszy dobroć ukryta na świat wychodziła. Śmiał się też rzadko.

Czarna odzież, dobrze przeszarzana okrywała go, mieczyk niepoczesny miał u boku, czapkę prostą w rękę.

Szedł ku biskupowi jak na mury zdobywca.

— Do miłości waszej, pasterzu nasz, już bo się i dostać nie można! — zawołał od progu, oczyma zaraz rzucając po izbie dokoła. Dostrzegłszy w kącie Jakse! którego ciekawem zmierzył wejrzeniem dodał. — Jużciż niewiast u siebie nie macie w gościnie!

Biskupa przystąpił w rękę pocałować, a ten dotknął usty głowy jego.

— Zawsze z was ten sam szalony Petrek! — począł śmiejąc się Biskup. — Nie kazałem obcych puszczać, bom sam chciałem być z bratankiem, któremu na drodze przypadkiem pochwycił.

I wskazał na Jakse, który się skłonił milczący.

— A mnież to wasz bratanek obeyć ma być albo mi to go widzieć nie wolno — począł Petrek. — Cóż to jest! ażalim w niełaskę popadł!

Biskup poruszył ramionami.

— Chowałem go w izbie — odparł — aż mu sukcesie z domu przywiozła.

— Cóż go to zbóje po drodze odarli — pytał Palatyn.

— Nie, boby się im obronił — mówił ks. Janik — ałem ja go zbłąkanego na drodze chwycił. Nie znając kraju, w którym mało bywał, chowając się u obcych, w puszczech się obłąkał. Dopiero gdy szatny

przybędzie z Miechowa, stawić się z nim mieliśmy wam i należy oddać pokłon,

Petrek spoglądał jakoś niedowierzająco.

— Prawdali to? — zapytał.

— Jakiś mi miły, Petru mój — potwierdził Biskup.

Usiadł gość z oczów nie spuszczać Jaksy.

Zwrócił się wnet cały ku niemu, i jał badać o życie, o podróże, o naukę, o to co lubił i co mu miłym było. Uwziął się nań aby pytać, ale z Jaksą niełatwa była sprawa, bo choć zrazu nieśmiały, gdy się raz przemógł, każdemu dotrzymał kroku. Petrek go swą szorstką, napastliwą mową nie zmięszal wcale.

Wśród tego badania, Żuła postarał się o wino i kubki, rozsiadł się Palatyn, poczęto prawić o różnych rzeczach; szeroko i długo. W ostatku gdy pocichu coś Petrek Biskupowi szeptać zaczął, Żuła z Jaksą z izby się wysunęli.

Powstał z siedzenia Palatyn i przybliżył się do ks. Janika.

— Nie darmom się ja — rzekł — do drzwi Miłości Waszej tak dobijał, mówić chciałem z nim i potrzebowałem — radzić się. Z Krakowa coraz gorsze wieści dochodzą.

— Co zaś! — odezwał się Biskup.

— Władysław pan nasz, nie winię go, do zbyt ku pono dobry i miękki człek jest, a Agnieszka niewiasta chytra i dumna. Na złe go ona prowadzi, grozą nam niepokoję.

Władysław nie będzie się ważył ich wszczynać — odparł Biskup.

— Niewiasta go zmoże — mówił Petrek. — Swą krwią cesarską dumna jest nad miarę, mało jej księżną na jednym grodzie być, królową pragnie. Ile razy nasi Piastowie niemki brali, zawsze nam z nimi wojny przychodziły i klęski. Bodaj i teraz tak będzie.

Niemcy, ulubieńce księżnej, biją jej w uszy, że siedząc na Krakowie panować powinna nad wszystkimi ziemiami, że braci Władysław powinien precz wygnać, posiadać wszystko, tak jak Mieszek i Chrobry...

Władysław dobry jest, ale najlepszego niewiasta zła uczyni cheiwym i dumą napoi, gdy dzień w dzień jedno mu śpiewać będzie. — Poleje się krew, nie czyja tylko nasza!

Biskup westchnął.

— Bogdajbyście nie byli prorokiem.

— Nie daj Boże krew przepowiadać — ciągnął Petrek — za łaską Bożą, ja i drudzy nie dopuścimy może do jej rozlewu. Nieboszczyk król zwierzył mi wolę swoją — w imieniu ojca odzywać się będę. — Słowa nie poskapię, męztwa mi nie zbraknie.

— A pani Agnieszka? — wtrącił biskup.

— Będzie musiała mileżeć — mówił Palatyn. — Jeśli jej tu ziemi mało, kraju mało, niech jedzie nad Niemcami królować. My jej tu z jej zausznikami wicherzyć nie damy.

Odezwał się dziad Herman w tym wnuku — mówił dalej — też samą dobroć ma, pobożność i uległość dla niewiasty — ale królowej miłośnik Dobek Niemiec, nie dorósł Sieciecha! — Niech sobie króla przy jejmości wyręcza, nie nasza to rzecz, ale wara palce wtykać w rządy nasze!! wara!

Mówiąc to powstał Palatyn i chodził żywo, a coraz większa jawnie gorączka go opanowywała.

— Z Płocka, z Gniezna, z Sandomierza ślą do mnie donosząc o coraz gorszych poszlakach. Że już do Krakowa ściągają lud, że spiski się na młodszych książąt kryjome czynią.

Radzić trzeba, pilno radzić trzeba!

— Wy sami chyba po temu siłę mieć będziecie — rzekł ks. Janik — wy, albo brat mój. biskup krakowski jeżeli was posłuchają. — Jam do tego niezdolny i mnie ks. Władysław nie usłucha.

— Nas wszystkich razem, usłuchać musi! — za-

wolał Petrek.—Postuszy mu jestem jako panu, alem wprzód ojcu jego, miłościwemu memu przysięgał, że czuwać będę aby się wola jego spełniła. Gdy przeciwko niej najmniejszą rzecz uczynią, stanę chociażby sam na wszystkich.

Nachmurzył czoło Palatyn.

— Ukaże się najmniejszy znak jeszcze — mówił dalej żywiej coraz — a poznam, że się chce porwać na braci, do Krakowa pojedę prawdę mu rzucić w oczy.

— Petru mój miły — westchnął Biskup głos zniżając i ton przybierając łagodny wielce — w paszczę smoka i niewiasty dobrowolnie się rzucić bezbronemu nierozumnemu by było. Jeżeli Agnieszka tak złą jest, jeżeli już księcia, dwór i wszystkich tam zdolala sobie pozyskać — wszak ci was łatwo zgubić mogą.

Na całe gardło rozśmiał się Petrek i stanął bardzo patrząc Biskupowi w oczy.

— Mnie zgubić? oni? Na mnie by się mieli porwać? Nie! Władysław nadto jeszcze pamięć rodzica szanuje, a wie, że ja nie moją wolę, a nieboszczyka rozkaz pełnię. — Nie będą śmieli tknąć mnie, ani on, ani ta niemiecka wiedźma, której się nie boję, ani jej słudzy, któremi gardzę jak plugawstwem.

— Patrz abyś nadto śmiałym i ufym w siebie nie był — wtrącił biskup.

— Dla strachu ja się nie cofnę — zawołał Petrek — rychlejby mnie groza znęciła ku sobie.

— Radźcie się ludzi!

— Sumienia się naprzód radzę! — odparł Palatyn — ono starczy, a i ludzie mi nie naganią tego co uczynię.

Biskup popatrzał nań, a jako sam srogim nie był, tak i drugich rad hamując, począł zwolna rozjątrzonego uśmierzać.

— Co ci ludzie do uszów przynoszą — rzekł — plotki być mogą. Ile wiem, poszlaków dotąd zna-

cznych niema. Władysław w swej dzielnicy siedzi spokojnie, do braterskich spraw się nie miesza. Czeka najprzajmniej aż jawnie wystąpi i będzie za co go strofować.

— Może być po niewczasie — odparł Petrek. — Gdy wojska ściagną, gdy żupanów po grodach sobie zjedną, a Agnieszka żagiew rzuci i książe za nią pójdzie, późno będzie wołać, że — gore.

— Miły mój! — przerwał Biskup — tyś gorący, strzeż się, byś na pożar nie wołał, gdy go niema.

— Gorący! a tak — potwierdził Petrek. — Byłem nim i będę pókim żyw. Tylko gorącością się coś czyni, chłodem i małodusznością chyba nie. Wy ojcze dobrzy jesteście, miłujecie pokój, jam zły i miłuję winę.

Uderzył się w piersi.

— Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej.

Napił się z kupka Palatyn i po izbie obejrzał.

— A bratanek wasz! — zagadnął — co myśli? Czy nie na dwór pański? Młody jest, rycersko wygląda, woli za piecem gnuśnić!

Czy go matka chce przyszytym trzymać do spódnicy?

— Nie nie wiem — odpowiedział Biskup zwolna. — Ja go jeszcze tak jak nie znam. Od dziecka go po raz pierwszy widzę, ale cieszę się nim. Młodzian rażny, roztropny, gnuśnić by mu szkoda. — Nie może służyć inaczej tylko rycersko albo duchownym, a do tego nie zdaje się powołany.

— Służyć! — żywo podchwycił Petrek — komu? gdzie? My już rycerstwo nasze pogrzebliśmy z Krzywoustym. Żaden z synów niema jego ducha. Gdyby go miał Władysław, toć Ruś stoi przed nami, to Pomorze nie zwojowane, toćby na Sasach i Niemcach swoje ziemie odbijać potrzeba — a księciu nie to w głowie, tylko braciom ojcowiznę wydzierać. Komuż będzie służyć i z kim iść! — wołał, ramionami ruszając. — Młodzież się u nas pomarnuje. Za Krzywo-

usta Sulisławy, Wojsławy, Skarbimierze z ziemi rosty, a dziś.—Dudki, co się babom wdzięczą i przez baby zwady sięją, aby się im co z tego upiekło! Ot na co zeszliśmy, ot na co!

— Ale bratankowi ja nie dam zmarnieć — odparł Biskup. — W rodzie naszym, krom Zuły co się bieda-czyszko roztył, choć dawniej dobry wojak był — trutniów nie słysząc.

Umilkł Palatyn i po chwili pokłoniwszy się biskupowi do wyjścia zabierał.

Ks. Janik go uściskał. — Petru najmilszy, bracie mój — odezwał się — nie gorączuj się. — Złe jest kto nie nie czyni, ale też nie dobrze kto za wiele chce czynić i bez rozmysłu.

— Najgorzej ojeze, kto nie nie czyni — dodał Petrek — ja tym być nie chcę, nie mogę.

Pocałował go w rękę. Usłyszawszy odchodzącego, Zuła z Jaksą weszli pożegnać i przeprowadzić Palatyna.

— Słuchajże, miły plemienniku mój — odezwał się Petrek do młodego — abyś mi się ty ztąd nie ruszył nie bywszy u mnie. Któż wie i ja ci się tu na co zdać mogę! Stary jestem, nie zgrzeszysz poszanowawszy... Dobrze wam życzę — ty mnie, ja tobie mogę być pomocnym..

Spojrzał nań — Jaksie może cudna twarzyczka Błogosławy na myśl przyszła i uradował się wielce, pokłonił wdzięcznie.

— Jużcibym wam czołem nie biwszy nie poszedł ztąd — odparł z uszanowaniem. Znam co komu należy — tego mi przypominać nie trzeba miłościwy panie...

I oba z Kułą powiedli go do drzwi, a Jaksą aż do konia.

Przybył nareszcie i szatny z Komorowa, a Jaksą mógł się przyodziać tak, aby na dworze pana Petrka stanął bez zasromania. — Brał wówczas na się każdy do ludzi to co miał najlepszego, aby okazać

swą możność. Jaksowie zdawna majątni byli, a skarbiec ich stary obfitował we wszystko, co w te czasy najwyższej ceniono.

Zbytkiem naówczas była nawet koszula, bo ją nie wszyscy nosili; cienka, lniana szata spodnia, której nie kobiece ręce przędły, a niewieście oko na blechu jej strzegło. Szyto też wzorzysto owe lniane gźło około rękawów i kołnierzy i na codzień go nie kładziono.

Szła po niem suknia krótka do kolan, z rękawy spuszcistemi, rozprutemi, długimi do ziemi, z pod których albo gźło wyglądało, lub drugi rękaw obejmujący, kłapą na przodzie część ręki do palców okrywający. Suknia ta z przywożonej z nad Renu tkaniny wełnianej szyta i bramowana złotem lub purpurą, przepasana bywała pasem ze skóry lub kruszczu sztucznie uplecionego. U pasa wisiał nożyk mały, gdy większy miecz za panem zwykle strojne nosiło pacholę. Na szyję szedł łańcuch złoty, im cięższy tem bardziej pański, często z klejnotem wyrażającym fantastyczne zwierzę jakie, albo pieniądzem złotym. Na nogi już śpiczasto zakończone buty kładziono, których długie nosy blaszkami złożonemi były przyozdobione... Na wierzch zarzuciwszy płaszcz, a na długie, na ramiona spuszczone włosy włożywszy czapkę z pióropuszem, mogło młode panie, zręcznej postawy, całokształt wystąpić.

Takim właśnie strojnym chłopakiem, do niepoznania zmienionym, ukazał się stryjowi Jaksą, gdy go szatny przyodział.

Biskup uradował mu się wielce, tak mu było do twarzy. — Nie miał się go powstydząć prowadząc z sobą.

Przypatrywał mu się oglądając go ze wszech stron, z pociechą wielką i w głowę pocałował.

Sam też wybierając się do pana Petrka, suknię biskupią wdział dostatnią, łańcuch z krzyżem na szyję, ogromny pierścień biskupi na palec i czapkę

na głowę futerkiem okładaną, ale mu w tem wszystkim tak było jakby tylko co z siebie zbroję i kaptan rycerski zrzucił — krwi tej wojaczkiej suknia duchowna nie mogła do spokoju ukołysać, a gdy potem na koni siadł, wyglądał więcej na wodza prowadzącego do boju niż na pasterza niosącego błogosławieństwa pokoju.

Dosyć liczny dwór strojny za Biskupem i Jaksą podążał, a Markowi bowiem matka ludzi jego przysłała, aby samopas nie szedł, bo samemu wstyd było się ukazać na dworze.

Gdy do dworca pod Sobótką przybyli, Jaksą który wiele słyszał o bogactwach i mocy Petrka, zdziwił się trochę mieszkanie jego zobaczywszy. Z powierzchowności domostwo całę wspaniałem nie było. Na dosyć obszernej parkanami dokoła obwiedzonej przestrzeni porozrzucane stały szopy, składy, schronienia dla czeladzi i służby, skarbee, stajnie, bo się Petrek w koniach kochał, psiarnie, bo gromady psów trzymał, sokolarnie, bo i ptactwa miał siła. Dla siebie i rodziny dworu jeszcze takiego był nie wznosił jak na wielkiego pana przystało. Gdy się temu dziwiono i pytano o przyczynę, powiadał, że naprzód Bogu domy stawić musi, a potem dopiero pomyśli o sobie. Powiadano, iż ślub był uczynił taki, że w każdej majątności swej kościół z kamienia zbuduje; a że ich miał po wszystkich ziemiach bardzo wiele, nie dziw, że ich siedemdziesiąt i siedem liczone, choć ich pewnie tyle nie było.

Dwór pana Petrkowy cały prawie był drewniany, okrom małej części, w której się skarby droższe zachowywały. Widać było, że go budowano i dobudowywano. Więc jedna część wyżej się podnosiła nad drugą, na jednej dach był śpiczasty, u drugiej płaski, kryty dranicami, słomą i ceglami. Ganków i przejść pod słupami wszędzie siła widać było dokoła, to z surowego drzewa, to na czerwono i pstro pomalowanych, wedle prastarego obyczaju słowiań-

skiego. Wszędzie ponad ścianami ciągnęły się niższe i wyższe podsienia, gdzie indziej tak szerokie, iż czasu lata przed niemi wygodne stoły można było umieścić. Nigdzie na zewnątrz nie wydawała się owa sławiona wielka zamożność p. Petrka, chyba tem, że po podwórcach konie pod nakryciami bogatemi wodzone i wozy stały obciążane sukniem szkarłatnem, kute mosiężem jasnym i ludzi się snuły kupy lepiej postrojonych od samego pana.

Gdy Biskup z Jaksą ukazali się we wrotach, a odźwierny znak dał ku dworowi, wnet we drzwiach ujrzeli wychodzącą panią Petrkową i syna jej, młodziana pięknego wzrostu, do matki i siostry podobnego. Córka Błogosława, której oczyma szukał Jaksą, na spotkanie nie wyszła. Oprócz nich i samego Palatyna, tuż za nim ukazał się czarno zarosły mąż, silny, z twarzą dumną i ufnoś w sobie wyrażającą, trzymający się w boki, strojny, obwieszony złotem łańcuchy, przy sporym mieczu u boku. Wziąłby go nieznający obu za Palatyna samego, tak Petrek niepočeśnie przy nim wyglądał.

Był to, jak Biskup Jaksie oznajmił, Roger, sędzia Wrocławski, druh wielki i najlepszy sługa Petrka, prawa ręka jego, mąż wielkiego męztwa i ducha.

Sam Palatyn, jak naówczas, gdy na dwór Biskupi przybywał, odziany był niewykwintnie. Suknię miał na sobie wynoszoną, ładającą, ani nawet łańcucha na szyi, a na nogach proste skórznie od łowów.

Wiedzano, że stroju i wystawności dla siebie nie lubił, a najmilej mu było chadzać w wygodnej codziennej odzieży, w której się mógł swobodnie poruszać, jako chciał. Włos też miał rozczochrany jak pierwszą razą.

Biskup zobaczywszy wychodzących przeciwko sobie, zdala poczał błogosławić, palce złożwszy wedle zwyczaju. Wszyscy skłonili głowy.

W tej chwili wyszedł też ze drzwi, nieodstępny tu prawie Opat Anzelmus, którego Jaksą widział już

odprawującego w kościółku mszę świętą. Ten wspa-
nialej postawy, pięknej i szlachetnej twarzy spokoj-
nej mąż, zdala przyzostał i ostatni Biskupa przykle-
knięciem powitał. Ks. Janik na ramiona mu ręce
położywszy ucałował go jak brata.

Gdy Opat z Biskupem obok siebie stanęli, mo-
żna było dostrzedz wielką różnicę charakteru obu
duchownych; O. Anzelm był poważnym kapłanem,
ks. Janik wojującym kościoła zapaśnikiem.

Przodem kroczył do wnętrza domu ks. Janik,
do tej części, która dla przyjmowania gości była
przeznaczona. Różniła się ona wielce od drugiej,
w której sam Petrek zamieszkiwał. O ile pierwsza
była wspaniałą, o tyle druga do zbytku prostą i nie-
mał opuszczoną. W sypialni, w izbach przytykają-
cych, które sobie Petrek zbudował, nie było krom
ław i stołów od siekiery wyciosanych. A że psy
myśliwskie wstęp tu miały, zdarzała się często i sło-
ma pod stołami i barłóg przez nie wyleżany. Wśród
tych ścian drewnianych nieobleczonego niczem, na
podłodze z prostych dylów, na dębowych ławach,
Petrak się lubował, a mawiał, że mu tu najlepiej
i najmilej było. Dla gości wszakże, w tym domu
niepozornym, komnaty były prawie królewskie, bo
i pani Petrakowa w zbytku i okazałości wielce się
lubowała, pochodzenia swego kniaziowskiego nie mo-
gąc zapomnieć. Znać to było z każdego ruchu nie-
wiasty nie wiele mówiącej, lecz nakazującej posza-
nowanie obejściem się swem i dumnej.

Izby te gościnne, choć niskie, przestronne były
i wspaniałe, drogi w nich sukmem słane, na ścia-
nach zbroje, obrazy, przy drzwiach naczynia do wo-
dy złociste, tarcze malowane na ćwiekach, po sto-
łach opony ze złotogłowia i jedwabiu, puchary, ce-
brzyki, nalewki, kubki złociste i wszelkiego naczynia
na półkach mnogość wielka. Na ławach i siadzeniach,
jakby trony królewskie poduszkami wysłanych, wszę-
dy leżał szkarłat, a powietrze wonnościami wscho-

dniemi przejęte, zapach miało jaki po kościołach
z kadzielnicy tylko się dobywa.

Izb takich okazałych kilka ciągnęło się za sobą,
że było w nich gdzie i dużo ludzi pomieścić, i, gdy
pierwszej zdumiało się oko, jakby je na to obracho-
wano, idąc w głąb rosł coraz podziw, bo coraz
większa rosła wspaniałość. Gdy do trzeciej komnaty
wehodzili, w której siedzenie wysłane wskazał go-
spodarz dla Biskupa, Jaksa idący za nim ujrzał
w progu dalszych mieszkań stojącą Błogosławę, któ-
ra w białej sukience, z rozpuszczonym włosom i zie-
lonym wianuszkim na nim, przyszła pokłęknać przed
ks. Janikiem, prosząc go o błogosławieństwo.

A była, wśród tych izb nieco przyciemnionych,
jakby jakąś jasnością otoczona; wszyscy co na nią
patrzyli, stanęli w niemem osłupieniu nad promieni-
stą jej pięknością, i po licu matki szczęśliwej prze-
biegł uśmiech dumny... Z tych drzwi czarnych wychod-
ząc zdala się zjawiać jakby cudem, a w izbie stało się
od niej jaśniejsze i weselej. Lica się wszystkim uśmiechały.

Ucałowawszy rękę biskupią, piękna dziewczeczka
wstała, zarumieniona, a nim Jaksa olśniony przypa-
trzeć się jej lepiej zdołał, znikła znowu za ciemną
oponą.

Słudzy zatem poczęli nieść dzbany, kubki, bia-
ły chleb słodki krajany w koszach srebrnych, napo-
je i zamorskie łakocie.

Siadła zdala pani Petrakowa, Opat na niższem
krześle podle Biskupa, Jaksa skrył się nieco w kącie,
a za nim poszedł młody Światosław, bo go miał za
swojego gościa, i z twarzy wraz polubił, a czuł po-
ciągnięty ku niemu.

Widział Jaksa gdy się Błogosława przesuwiała,
iż wzrok jej padł na niego, i że poznać go musiała,
tak jak pani Petrakowa, bo obie pamiętały go z ko-
ścioła, ale żadna z nich tego po sobie znać nie dała.

Gospodarz nie siadając sam, Biskupowi służył,
przez uszanowanie dla dostojęstwa i dla tego też

może, iż starcowi ruchawemu na miejscu wytrwać ciężko było.

Wśród tego złota, dostatków i przepychu ów jeden, odziany z prosta, wyglądał prawie na sługę, tak niepozornym był, acz skinienia jego wszystko słuchało.

Gdy starszyzna po cichu rozmowę wiodła z sobą, Światosław z Jaksą jednolatek, do niego się przywiązał. Dobra znajomość pomiędzy rówieśnikami wnet została zawartą, wyszli razem do drugiej izby, swobodnie na ławie siadłszy rozgadać się o młodzieńczych sprawach. O czymże jeśli nie o psach, koniach, sokolach i zbrojach.

Światosław, choć rycersko chowany, więcej miał w sobie natury matki niż ojca, więcej w charakterze spokoju i pańskości. — Jaksie niewymownie się podobał może z tego, iż oczyma niebieskimi, rysami twarzy i łagodnym jej wyrazem, piękną swą siostrę przypominał. Z obu stron chłopcy przyjaźni ku sobie powzięli wielką. Z pytań w pytania Jaksza prawił o swoich wędrowkach, Światosław skarżył się, że tęsknił za oglądaniem świata Bożego. Przyznał się, że oprócz służby z rówieśników innych i druha nie miał, ani zabawy z młodzieżą.

— Jaka to szkoda — mówił — że wy tu przy stryku swym Biskupie nie zamieszkacie, miałbym z was pociechę jak z brata!

Jaksza też ofiarował się mu bratem być, zapraszając w gościnę do siebie, utyskując nad tem, że jak Światosławowi, matka mu się mało od siebie oddalać dozwalała. Tak różne opowiadając przygody dwaj młodzi dużo czasu razem w izbie sam na sam strawili, a Światosław poznał do niej miecze i łuki nowe, jakimi go ojciec obdarzał, aby Jaksza próbując, dał o nich zdanie swoje.

W tem z drugiej komnaty Biskup bratanka wołać zaczął.

Pani Petrkowej już tam nie było, siedzieli tylko

w okół Biskup, gospodarz i Opat cicho coś gwarząc, gdy Jaksza pośpieszył na wezwanie.

— Słuchaj no, mily mój — rzekł ks. Janik zwracając się do niego — oto ci się z porady p. Petrka przygodzi, iż darmo doma gnuśnieć nie będziesz, bo to młodemu nie przystało. Jakby ci się to zdało, gdybyś listami opatrzony, na dwór ks. Władysława jechał i tam się rycersko zabawiał. Kraków miasto niczego; tyś do Niemców nawykł, znajdziesz ich tam dosyć?

— Wdzięezen muszę być za łaskę p. Petrka — odparł, kłaniając mu się Jaksza — jechać bym jechał, gdzie starsi poradzą, byle nie zależeć pola; aliści dwór ks. Władysława z wielkiego rycerstwa nie słybie. I to jednak nie waży, tylko gdy mi Pan Bóg ojca nie dał, pani matce mojej opowiedzieć się muszę.

— Słuszna poczeiwa — dodał Biskup — albowiem powiedziano, szanuj ojca i macierz twoją, chceszli długo żyć na świecie, pani matce zaś powiedzieć możesz, iż ja tego dla was życzę, abyś na dwór jechał, i widzę tego potrzebę.

Spojrzał znacząco na bratanka, na którego też Petrek patrzył oczyma bystremi, jakby go na wskroś chciał przeniknąć.

— Potrzeba ażebyście tam jechali — dodał poufnie, zniżając głos nieco — i dla was się to zda i dla drugich. Tylko nie dworować około niemki, która jest zdradliwa i zła, a starać się o zachowanie księcia. Od ks. Agnieszki mieć się na pieczy. Około pana obracając się napatrzycie się i nasłuchacie, a nauczycie rzeczy wiele, co młodemu zda się nie dziś to jutro. Na grodzie wśród lasów sięś zawsze, a dziecieć na to was szkoda.

Jaksza zdziwiony był trochę tem staraniem na głem o los swój, ale więcej się już nie odzywał. Podziękował p. Petrkowi za dobrą wolę.

— Doświadczycie tego — odparł rubasznie gospodarz po ramieniu go uderzając — żem ja wam szczerze życzliwy. A jakżeby nie miał nim być

gdysmy powinowaci? Swoi się kupą zawsze trzymać i o sobie zapominać nie powinni.

Rozmowa przeciągnęła się trochę jeszcze aż do zmroku, poczem biskup ruszył się do odjazdu zabierając. Jakby wiedziała o tem p. Petrkowa wyszła z za opony dla pożegnania, a za nią zjawiała się znowu jasna postać Błogosławy z włosy rozpuszczonemi i wianuszkami u skroni, przemknęła jak cień uśmiechnięta. Znowu Jaksa pochwycił jej wejrzenie, a tak go ono swą siłą do miejsca przykuło, iż zapomniał kędy był i co się dokola niego działo. Patrzył na nią i za nią, i zdało mu się jakby we drzwiach znikając, zwróciła się ku niemu, na jedno oka mgnienie, niby go szukając wzrokiem. Było to może złudzenie. Wychodzącego Marka młody Światosław przeprowadził, pod rękę go ujawszy, zmagając się z nim, aby nazajutrz razem ze psy i sokoły na łowy ciągnęli, i obiecując zająć się po niego.

Weselszy daleko niż jechał na ten dwór, powracał Jaksa z Biskupem. Ks. Janik poszedł zaraz do pacierzy swych i oczekujących nań księży, a Marek sam został z Zulą, który chętnie o dwór p. Petrka i o przyjęcie na niem dopytywać się zaczął. Stary ciekawy był bardzo, a dla otyłości mało się mógł ruszać. W ciągu opowiadania, gdy o Błogosławie napomknął młody i mimowolnie się zarumienił wymawiając jej imię, Zula chwycił go, śmiejąc się, za rękę.

— A no! — krzyknął — więcście to cudo widzieli, tę białą gołąbkę, która się w gnieździe Petrkowem niewiedzieć zkad wzięła! Nienajmując Petrkowi, do jastrzębia albo kobuza podobniejszy jest, niż do ojca takiej ptaszyny złotej. Dziki i prosty człek, choć doszedł wielkich skarbów i mocy wielkiej. Jeszcze starzy ludzie pamiętają, gdy od czeskiej granicy w kilka pono koni tu przybył, ofiarując się na służbę królowi, zwano go naówczas rycerzem z Donina. Urósł potem prędko i księżniczki za żonę dostał i takiej córki ślicznej i syna dorosłego — i włosi nie-

policzonych i skarbów, o których cuda prawią. A muszą być wielkie, gdy niemi na kościoły sypie i sypie i nieubywa mu nie...

Córka godną króla zaślubić! — dodał, unosząc się i ręce składając Zula.

— Piękniejszej nad nią widzieć trudno, tam nawet gdzie na pięknościach niezbywał — zawtórował Jaksa.

— A wiano po niej — rzekł Zula — mało powiedzieć dziesięć kublów złota i dziesięć srebra wozów!!

Wziął się aż za głowę stary. — Ale też tam — dodał — prostemu rycerzowi, ziemianinowi na jednym dwu gródkach ani się posunąć. Chowają ten rajski kwiatek dla mocnej dłoni! dla pańskich rąk! Oboje wysoko patrzą — szczególnie sama Petrkowa, która się kniabiną nazywać każe. A mówi — słyszę — głośno — niech mąż z synem robi co chce, córkę ja wydam sama, i nie dokąd, tylko tam zkad jej matka, aby na stolicy siedziała.

Jaksa posepnie spuścił głowę.

— Szkoda będzie tego kwiatu, gdy go nam zabiorą — rzekł Zula — ale bab mamy siła, zostanie tego zawsze dosyć. Każda z nich hoża póki wianuszek nosi, i wszystkie potem wiednieją prędko, że ich nie poznać! — I tę pewnie nie inny los spotka, bo piękność jak wiosna jest — kiedy rozkwita, przekwita.

Śmiał się, prawiąc tak Zula a Jaksa milczał już. Drugiego dnia ze Światosławem jechali na łowy, cały dzień biegając ze psy i sokoły, tak, że późno już na noc wrócili do miasta. A że podle dworu i góry Sobótki jechać im było trzeba, Światosław na wieczorny chleb zabrał przyjaciela z sobą.

Ledwie doń zasiedli, gdy, pewnie o obcym niewiedząca siostra nadbiegła do brata. Jaksa się porwał, ujrawszy ją i o mało nie spłoszył strwożoną, gdy go ujrzała. Brat ledwie na chwilę mógł ją powstrzymać zapytaniami o rodziców.

Miał czas gość stojąc z wlepionemi w nią oczy-

ma, przypatrzeć się jak chciał ślicznemu dziewczęciu. Serce mu w piersi kołatało, gdy ona, jak dziecko zuchwałe, mierzyła go ciekawem wejrzeniem.

Widział ją uśmiechającą się do brata. Słyszał mówiącą takim głosem, jakim rajskie śpiewają ptaki i wydała mu się z blizka stokroć piękniejszą niż zdaleka, a gdy odchodząc na pożegnanie, oczyma rzuciła ku niemu, płonąc całą, ledwie na kolana niepadł przed nią.

Gdy potem do dworu Biskupiego wracał, po tej wielkiej radości, która tak krótko trwała, zrobiło mu się w sercu smutno i tęskno i sam nie wiedział dla czego począł strasznie boleć nad sobą. Na świecie mu było pusto i czarno—nieznośnie...

Zuła, który wyszedł go witać, słowa zeń dobyć nie mogąc, domyślał się trafnie, że sokoły ks. Janika musiały się źle popisać.

V.

Stary gródek w którym podówczas mieszkali Jaksowie, co się z Miechowa pisali, był w Komorowie. Lasami ogromnemi otoczony, na pagórku tkwił nie wielkim ale wałami mocnemi obwarowany, i, choć nie obszerny ani okazały, sławił się jako najstarsze w tej ziemi gniazdo rodu Jaksowego. Jak wszystkie takie przedwieczne grodziska, zdawała na to czem był nie wyglądał. Ludzie wszakże wiedzieli, że w Komorowie Jaksowie mieli skarbiec książęcy i wszelakiego dostatku moc ogromna. — Ci, co się dworu dotykali, służyli i stróżowali około niego, opowiadali, że jako jeden gród był na górze, tak drugi większy daleko,

niedostępny dla nikogo w górze samej, pod ziemią się mieścił, a chodnikami z niego kędyś wyjść było można w świat niepostrzeżonemu. — Opowiadano też, że w wykutych w ziemi izbach i komnatach stały kadzie złota, leżały stosy srebra jak w lesie drzewo, gdy je rąbią i składają. — Prawiono cuda, tego jednak nikt obcy niewidział nigdy, gdyż zawsze tylko jeden z rodziny znał tajemnicę wchodu i wychodu, a niepowierzał jej nikomu, aż na łożu śmiertelnem. — Mówiono też, iż były zaklęcia jakieś straszne, co przystęp do podziemiów śmiertelnym dla obcych czyniły.

Powiadano że gdy raz, to sto lat temu, Polowce na zamek wtargnęli i dobyli się do wnętrza, znikli z niego ludzie wszyscy jakby cudem, że oprócz koni w stajniach i psów żywego nie znaleźli ducha, a łupu też jak żadnego, bo go miano czas gdzieś unieść i poukrywać. — Przypisywano to czarom i sile jakiejś nieznaney, której lud pospolity lękał się wielce.

Do zamku wiodły jedne wrota z wieżycą drewnianą, ale te pominawszy szło się szyją między wałami dwoma i dopiero drugimi wrotami wchodziło w dziedziniec. — Tu w pośrodku dwór stał stary z ogromnych modrzewiowych kłoców, jakby na wieki zbudowany. Takich drzew, z jakich go zestawiono, już potem lasy nie widziały. — Były to pono pierwsze co tu urosły po narodzeniu się ziemi i po opadnięciu wód, a każdy pień był tak przepotężny, że ludzie w kilku jednego objąć nie mogli, a tak twarde, że ich topór nie imał, i szczybił się jak na kamieniu. — Więc choć ten dwór setki lat stał, zdrow był i cały, tylko posiwiał i zczerniał miejscami. — A drasnąc było tę skórę, którą nań włożyły wieki, z pod niej zdrowa miąższ żółta jak wosk świeciła.

W ścianach grubych siedziały małe starodawne okienka bez blon, z okienniczkami szczelnemi, które mało co światła do środka puszczały i drzwi były niskie i wszystek pozór nie terazniejszy. — Ten co to budował nie tylko o moc nie dbał, ale i o ozdobę, bo

w tych kłodach po rogach, po belkach, nad drzwiami dziwolagi powyrzezywał, jakich chyba nigdy na świecie nie bywało, i żadne oko ludzkie ich nie widziało. — Siedziały tam jakby na postrach poczwary z głowy ptasiami, z nogami lwów, z łapami niedźwiedzi, ze skrzydły rozpostartemi, to orły niby z paszczekami wilczemi, to smoki jakieś z pozakręcanemi ogony węzowemi. — Niegdyś potwory te malowane były, ale barwy z nich dawno zmyły deszcze i wypaliło słońce do szczytu.

W osobliwszym tym starym dworze latem, — około tych poczwary, bo w ich gardlach nie gnieździło się ptastwo, kręciło po nich i szczebiotało, tak że one drewniane rzeźby żyć się i gadać zdawały.

W Komorowie mieszkała matka Jaksowa, — pani wielkiego rodu, kędyś z za Łużyc czy od Pomorza wzięta. — Poganką ją pono zaswatał był stary Jaks, przywiózł na dwór swój, — ochrzcił, i tu się dopiero nowej wiary uczyć musiała. — Miał po niej wziąć skarby bardzo wielkie, ale i w niej samej skarb wziął, bo niewiasta była osobliwa, którejby nie jeden mąż nie sprostął.

Powiedziano o niej, że gdy straciła pana swego, a sama jedna w domu z synaczkiem pozostała, i Jaksowie stryjeczni opiekuna jej dać chcieli, którym pono owego otyłego Zuleń wybrać miano, albo brata jego, później zmarłego, tak się im postawiła, że tykać jej nie śmieli i nie wtracali się więcej, dając z synem czynić co sobie upodoba.

Wyszła naówczas owa mężna niewiasta na wpół z mężka odziana, włosy sobie ustrzygłszy, mężowską zbroję na się skórzanną z łuskami włożywszy, z mieczem i toporkiem, na rękę synaczka niosąc — i stawiała się im, pytając czego by chcieli? A gdy rzekli, że opiekę jej dać mają rozśmiała się smutnie, odpowiadając, że nie potrzebuje żadnej, oprócz Bożej, że ludzi i mienie utrzymać potrafi a — dali Bóg, nieprzyjaciół i na wojnę sama ze swem zawo-

łaniem po wsiach i opolach pojedzie — a choćby i na czele ich stanie.

Stryjowie rozmówiwszy się z nią, już się tam nie zgłaszali, a Hanna trzymała majątności, jak żaden mąż — żelazną ręką. — Gdy było potrzeba dosiadała konia; jechała, — skarżyła, na dwór królewski szła, do Biskupów, do sądów, krzywdy sobie żadnej czynić nie dając.

Tak się wszyscy dziwowali niewieście mężnej, że potem nikt jej nie śmiał zaczepić. — Gdy jeden z Doliwów zajechał jej ziemię na granicy, dopóty nań czyhała aż związanego, porwawszy na łowach nie wsadziła do więzienia na zamku, a nie puściła go aż jej z sześciu poręczycielami poprzysięgać musiał, że więcej krzywdy czynić nie będzie i zemsty wszelkiej zaniecha. — Mimo to co od niej ucierpiał tak się potem w niej ów Doliwa rozmiłował, iż ją za żonę chciał mieć, na co mu odpowiedziała, iż tam zkaż ona była niewiasty z mężami szły na stos, a kiedy dla dziecka żyć musiały, nie ślubowały powtórnie nikomu, bo się za umarłe światu liczyły...

Teraz już lat mając pod sześćdziesiąt, Jaksowa silną jeszcze była, jakby skamieniała, niewczas, niewygodę, trud znosząc młodą siłą jakąś, która w niej pozostała. — Tak samo jak na koniu gotową była we skwar i mróz, dzień przesiedzieć i noc, tak pod dachem, w domu umiała rządzić dziewczkami, dworem, od kądzieli i krosien nie stroniąc. — Tylko gdy do spokojnej siadała roboty, na usta jej przychodziły pieśni jakieś stare, dziwne, niezrozumiałe nikomu, co ich ludzie podsłuchując czasem podedrzwiłami, słupieli. — Głos miała mocny, na wpół męzki, smutny i poważny, a w trąbkę tak zadąć potrafiła, że w jej ustach innego nabierała głosu i brzmiała niby piorun, grzmot, albo jakiś wrzask nadludzki.

Pomimo starości nie była jeszcze brzydka, trzymała się prosto, a że jej dawno piersi wyschły, wy-

glądała na mężczyznę i była gibką, a zwrotną a silną, że nieraz z łowów przyniesionego kozła za rogi ująwszy, do góry podniosła.

W twarzy ogorzałej, nieco już pomarszczonej, widać było smutek wieczny i zadumę, ale razem spokój i siłę. Trwogi po sobie nie okazała nigdy. — Duchowni nie byli z niej bardzo radzi, — zwali ją nawet poganką dla tego, że ich nie bardzo słuchać chciała, ale szczerą dłonią sypała im zawsze. — Do kościoła chodziła, znajdując się w nim przystojnie, pilnując aby i czeladź tam uczęszczała, a no potem pilniej jej było do swojego śpiewu, do roboty jakiej, niż do długich modlitw i pacierzy.

Surowa dla wszystkich pani, dla jednego dziecka swego była jakby inną. Nie było dla niej na świecie tylko ono jedno, dla niego życie by dała i wszystko. Chowała go tak tą miłością wielką, że nigdy karcić nie potrzebowała.

Długie lata młody Jaksa przy niej nieodstępnie był, pilnowała go nie spuszczać z oka. Na pierwsze łowy, w pierwsze pole sama z nim wyjechała. Potem do Krakowa sama ruszyła szukać dlań klechy, co by go uczył innych rzeczy, których ona nie umiała. — Tam siedziała dopóki nie znalazła takiego, co się jej dał powodować i tej był myśli dla dziecka co ona. — Stał mu wtedy ów Klecha za pierwszą szkołę, potem ten sam jechał z nim w świat do szkół innych, aby się chłopię przecierało, — naostatek owe mu ks. Marcinowi gdy święcenia wziął, dała plebanję i wieś do niej za wierne usługi.

Był teraz ks. Marcin proboszczem w Miechowie, i nie mu naganić nie mógł nikt, bo, choć wówczas mało który pleban żony nie miał, on żył jako mnich, — około chwały Bożej pracował wiece, tylko więcej pono po siotach ludzi nauczał niż śpiewał w kościele, co mu drudzy za złe mieli.

Długo będąc chłopca nauczycielem, nabrał tego nałogu bakalarstwa i po wsiach dzikich apostołować

chodził, nawracał, chrzczył, a tęsknił do ludzi opuszczonych, do ślepych, aby im nieść światło.

Dwór Jaksowej w Komorowie prawie z samych starych sług był złożony, a z dawnych męża jej ludzi lub ich dzieci. Było tego dosyć, wolnego i niewolnego ludu, a nikt tam ani biedy, ani głodu nie zaznał, dostatek był zawsze, zbytku nigdy. Sama pani to jadła i tem żyła, co jej sługi. Nosila się ciągle na pół po mężku, w butach chadzając, w sukni krótkiej, z nożem u pasa, przy czem, gdy w domu białą namitkę włożyła na głowę, nie wiedzieć było, czy niewiastę człek miał przed sobą, czy męża.

Od kilku dni syna spodziewała się pani Jaksowa. Zrazu gdy Marek zbłądził i nie wracał, a ludzie co z nim na łowach byli, do domu poprzybiegali, rozpaczając, że go znaleźć nie umieli, zatrwożyła się mocno o jedynaka. Wyjechała sama z gromadami plądrując lasy i szukając syna. Nigdzie śladu jego nie znalazłszy, uspokoiła się potem będąc tej myśli, że się tylko zapędzić i obłąkać musiał. Ufała w to, że dziecko po niej i po mężu siłę wzięło i męstwo, a łącznie się nie da ani ująć, ani pokonać, ani zastraszyć, ani uśmiercić. Czekala więc dosyć spokojna, gdy nadbiegł sługa od ks. Janika, przez którego nakazała, aby nie bawił z powrotem. Czekala więc go co godzina.

Nad wieczór wreszcie dnia jednego zjawił się młody, matee do nóg kłaniając, która go słowa nie rzekłszy do piersi przycisnęła. Dopiero jakby odechnawszy, odezwała się do niego.

— Srogiegoś mi niepokoju o siebie napędził. Minęło to, siadaj, spocznij i praw coś czynił.

Począł Marek od początku, jak mu się na łowach nie wiodło, jak się zapędził, obłąkał, po puszczech przedzierał, jak potem biskupa spotkał, jak u niego czas spędzał, a Petrka poznał i rodzinę jego, o której stara dużo i wprzód już słyszała.

Nawyki był syn nie nie tać przed matką, więc mówiąc jak Błogosławę zobaczył, a potem ją widział

raz wtóry i trzeci, nie ukrył tego, że mu się dziwnie piękną wydała, i że na myśli uroda jej stała mu ciągle. Tak się też mówiąc o niej rozciągał szeroko z pochwałami i opisy, iż matka poznała łatwo, że mu dziewczę mocno się upodobać musiało.

— Dziewka piękna być może—odezwiała się—ale ona nie dla ciebie, ty nie dla niej. Nie dlatego, abyś jej nie był wart, bo Jaksowie też od innych kniaziów nie gorsi, ani żeby bogatsi byli, albo mocniejsi od was—ale nie takiej żony tobie, a mnie synowej trzeba. Niech będzie piękna jako chce, co mi po niej? Królować zechce i przewodzić u nas, a jam się na nieczyją służbę nie rodziła, ani ty masz być nim kiedy! Wolę prostą dziewczkę z której, jak z ciasta korowaj, ulepię co zechce dla ciebie i dla siebie, niż taką królową, przed którą my padać będziemy musieli.

I pomilczawszy dodała:

— I amiętaj i o tem, że pieniądz i skarby zdradą kupione nie szczęscą się. Czemu Petrek tak wielkim stał się? Na wojnie zdobył choć krwią zbroczona, swoją też jest obmyta—a ta.

Potrząsała starą głową.

— Nie—nie.—Nie myśl o tej dziewczce.

Jaksa się smutno uśmiechnął.

— Myśleć o niej po dobrej woli nie będę, a mi mowoli muszę, bo mi się upodobała!

— Zapomniećby lepiej—dodała matka.—Tyś mąż i pan, uczynisz sobie co zechcesz, ja, choć matka, rozkazywać ci nie będę—ale twoja dola nie tam! nie tam!

Przyznał się dopiero Jaksa, że go na dwór ks. Władysława wysyłać chciano, przypisując to biskupów i powiadając, że sam nie był od tego, aby pożyć w Krakowie.

Stara i na to głową potrząsała.

— To już inna sprawa—odezwiała się—w tem będzie stanowić wola twoja, ja ni zatem ni przeciw

temu. Nie radabym cię wypuszczać z domu, inaczem sobie układała, a doli się trudno opierać. Jaksowie zawsze przy książętach bywali i u nich rośli—rób co chcesz, jakoś winien.

Rozmów się jeno wprzód z ks. Marcinem—stary kocha cię jak ja i wychował, Kraków i ludzi zna. Posłyszysz co on powie.

Dla starej Hanki słowo i sprawa były jednym. Ledwie napomknęła o ks. Marcinie, nie upłynęło dwa pacierze, gdy posłaniec biegł do Miechowa po niego. Nazajutrz rano ks. Marcin się stawił. Stary był, silny jeszcze, ale już wielce skolatany, głowa mu ciężyla ku ziemi, gięły się barki, a gdy dłuższy czas siedział, trząsł się. Okryty prostą suknią czarną, w wysokim birecie, z kijem w rękę, z nogami nabrzękłemi, na których onuczki tylko i chodaki nosić musiał, wszedł starsuszek wesoło do dworca znanego sobie od lat tylu, w którym był jak w domu, błogosławiąc, uśmiechając się, szukając oczyma wychowańca.

— Gdzież mój chłopiec? — pytał po drodze.

Gdy go zobaczył, kij mu z rąk wypadł, usta się rozśmiały, wziął go za głowę i całować zaczął. Jaksa też jak ojca go po rękach i ramionach całował. Matka stojąc a patrząc śmiała się razem i płakała.

— Siadaj ojcze—ozwała się—byłeś nam potrzebny. Mnie baby on nie posłucha, ani ja mogę rozumu mu mojego narzucać, tobie ufa, tyś stary—rozmówcie się o tem, co mu radzą i gdzie go wiodą.

Ks. Marcin wciąż jeszcze patrzył, uśmiechał się, oczów nie mogąc oderwać od pięknego chłopaka, którego niemal od dziecka na rękach wynosił. Znowu Marek musiał rozpocząć opowiadanie całej ołowach, obłędzie, o tem co widział i słyszał, co mu naostatek radzono. Tylko w opisie dworu Petrkowego pominał Błogosławę, nie wspominał o niej wcale. Było to może nie mniejszym znakiem, że go obchodziła, od wyznania matce uczynionego.

Ks. Marcin posłyszawszy o tem, że ks. Janik

na dwór ks. Władysława chciał Jakśę ślać, zadumał się głęboko i długo nie mówiąc, ważył i rozważał. Dopiero gdy Jaksa dokończył i zamilkł, odezwał się nie rychło.

— Co ja ci mam mówić? co radzić? Jam prosty człek, a toć Pasterz, osoba wysoko siedząca, widząca daleko. Ja nisko stojąc tylko to co blizkie dostrzedz mogę. Czemże mój mały rozum biedny przeciw jego mądrości? Ks. Janik sam stryjem jest, więc jakby ojcem, bo własnych ze krwi niema dzieci. Życzy ci dobrze pewnie, widzi bystro, mogęć ja stać przeciw niemu i moje proboszczowskie obawy kłaść na szalę? Ani mi się to godzi czynić, anibym śmiał...

Pomyślał chwilę.

— Na dwór jechać? czemuż nie? Tamtędy droga do Żupaństwa, na województwo, do wszystkiego przy łasce pańskiej i do srogięgo też boju z ludźmi zazdrośnemi! Dwór, dziecko moje, toć zwierzyniec, do którego i dzikiego i swojskiego napędzają stworzenia, gwoli uciesze pańskiej. Znajdzie się tam, jak w zwierzyńcu, wszelaki zwierz dobry i zły, dziki i swojski i łanie gładkie i wilec okrutni i lisy chytre; ale lew pan i lwu tam służy co żyje. Kto w łaskach u lwa, ten w nielasce u ludzi, choć mu czołem bić będą, a padnie na kogo nielaska łatwo traci głowę i życie. I dobrze tam jest i źle. A ciągnieź cię co do dworu?

Jaksa poruszył ramiona.

— Cóż mam poczynać w domu?

— Pewnie — potwierdził ks. Marcin — młody się poruszać musi, aby w nim krew nie zaskrzepła.

A spuściwszy głowę na piersi, tak dalej ciągnął — głos zniżając.

— Jeżeli na dwór dla czegoś na pana Władysławowy, chyba, że najpierwszy i najznacniejszy? — Wierzę, iż pan dobry jest, miłościwy i enoty ma ojcowskie, ale mu jednej brak — mężem nie jest. Miękki

pono do zbytku, słaby, w pychę go wbijają Niemce, rządzi nim niewiasta, ludzie szepczą, że tylko co nie widać, jak się rzuci na braci.

Tak ci bywało i u nas i gdzieindziej. Cesarze i ich bracia, a dzieci dla dzierżenia potęgi się pożerali. Ale na jednego Władysława a kupkę Niemców, jest trzy dzielnice i trzy młode prawice, a za nimi stoją pasterze, stróże sprawiedliwości. Łacno go spotkać może co syna Ryksy spotkało. Po niego potem szli ludzie, bo ziemia była bezpańska, po tego nie pójdzie bodaj nikt, bo jest komu wodzę wziąć...

Krucho siedzi Władysław na Krakowie, jeśli prawda, że przeciw bratom spiskuje — a po cóż ci siadać do dziurawej łodzi?

Dokończywszy ks. Marcin smutnie się zadumał.

— Wy to, mój ojcze, widziecie prorocze mi oczy — odpowiedział Jaksa, ale to wszystko we mgłach jeszcze... Wszyscy młodzi książęta siedzą jeszcze na dzielnicach swoich i rządzą w nich, Władysław doma się trzyma i o nie nie odzywa.

Ks. Marcin się poczał uśmiechać.

— Ludzie co z Krakowa jadą, inaczej mówią — odezwał się. — Wróżą, że tam lada dzień coś wybuchnie. Sposobią się wojska choć niema nieprzyjaciela, ludzie ściągają i placą. Księżna Agnieszka pokojn mężowi nie daje, aby sam jeden królował koniecznie.

— Toć jam człek wojenny — zawołał młody — do wojny się powinienem sposobić, czemubym nie miał tam iść, gdzie się ona gotuje?

— Dziecko moje — odparł ksiądz — albo to wojna z Niemcami, z pogany, z Pomorzanami, z Lutyki, z Polowcami i Rusią? To wojna, w której Jaksa będzie musiał iść na Jakśę... Doliwa na Doliwę, Bogorya z Sandomierza na Bogoryę z Krakowa. Brat na brata, jak książę sam na swych rodzonych. Takiej wojnie Pan Bóg nie błogosławi.

— Prawda, mój ojcze — rzekł Jaksa — nie myślałem o tem, ale nim do niej przyjdzie i czy ona będzie?

— Na dwór ci się chce — przerwał ksiądz — to darmo — ciągnie cię tam! Na Komorowie ciebie strzy-
mać, gdy jedna stara matka, a drugi sługa stary
przytrzymać chcą? — trudno... Nie wiąże cię nic.

Stara matka słuchała rozmowy, to zbliżając się,
to oddalając, po tych słowach podeszła ku nim.

— Ojciec mój — odezwała się — jemu już trzeci
lat dziesiątek dochodzi. Wygląda młodo, ale mu na
gniazdo czas, tembardziej, że w gnieździe jeden jest.
Zrywa się ztąd jak ptak, co pary szuka. Sam nie
wie czemu i zaczęł mu tęskno, toć wola Boża.

Ks. spojrzał, Jaksa się zapłonił cały.

— El! — rzekł — nie tak mi pilno, jak się matusi
zdaje!

— Ty sam nie wiesz o tem, a oko matki patrzy
w ciebie i widzi w głąb aż do wątroby — (serca). Cóż
w tem złego. Mnichem nie chciałbyś być! Jeden
u mnie jesteś, mnie wnuki kołysać czas. Mnie też
pilno. Żenić się trzeba — żenić.

Zwróciła się ku księdzu.

— Prawda — ojeze?

— Tak, tak mówi Apostoł — szepnął ks. Mar-
cin — potrzeba by się żenił, kto w grzechu żyć nie
chce.

Przerwał stary. Jaksowa nagliła.

— Mów ojeze za mną, prawda, niech się żeni!!
Ja powiedzieć tego jak ty nie umiem.

— Ani ja, ani ja — mruknął ks. Marcin. — Nie
nasza rzecz małżeństwa i niewiasty zalecać, bo wie-
le między niemi złych jest i złego wiele przez nie
przychodzi, a mało takich jak wy, pani matko, coś
dziecku za ojca i macierz stała.

— Jak ja? — smutno się śmiejąc podchwyciła
wdowa. — Ja! niewiastą byłam na chwilę tylko i to
krótką, los mój uczynił mnie, ot czemś, ni babą ni
mężem. Ani się już zdam do niewiast, ani mi się godzi
mężem zwać. Matką ledwie umiała być, żoną po-
cząwszy, aby osierocić rychło. Poszedł mój do grobu

i co niewiasty we mnie było, zabrał z sobą. Mnie
za przykład nie stawcie! Ja innej dla niego chcę;
takiej, jakiej chyba nigdzie nie ma, co by umiała być
żoną i matką a niewiastą — bo mu lice kraśne po-
trzebne i usta śmiejące się i ręce białe.

Ksiądz się ofuknął, strzepując rękami.

— Dajcież pokój! dajcież pokój, pani Hanno!
Co synowi głowę macisz! Niechaj sobie żony sam
szuka, to najlepiej; znajdzie ją, to pobłogosławimy.

Wdowa bystro spojrzała na syna.

— Niechaj szuka i sam — dodała — a niech na
gniazdo pamięta. Wiana mu nie potrzeba, złota nie
łakniemy, mocy też mamy w sobie dość, ino, by po-
czciwa krew a serce dobre!

Ksiądz się niecierpliwie poruszył.

— Toście mnie tu widzę ściągęli — rzekł —
abym ja jemu kazanie o małżeństwie prawił; nie
moja to rzecz!

— Do małżeństwa nie wiem jak przyszło — od-
parła stara — chciałam pytać o radę; czy na dwór
jechać, czy nie?

Ksiądz ręce podniósł do góry, a potem głowę
i oczy.

— Jam stary i ślepy, nie widzę nic — rzekł,
broniąc się — boję się wszystkiego. Powtórzę com
mówił. Pasterz tak chce, stryj radzi... nie wiódłby
na zgubę.

— Ja też tak sędzę! — odezwał się Jaksa.

— A ja znam ks. Janika — przerwała matka —
szanuję go, pocziwy jest, lecz bystrego wzroku nie
ma. Gdyby o psa lub sokoła szło, nie spierałabym się!

Potrząsała głową, syn się rozśmiał, stary ksiądz
usta otworzył zdumiony śmiałą mową, bo nawykł był
zwierzcchników duchownych szanować.

— Nie darmo mnie poganką zwa — ciągnęła
dalej stara Hanna — gdy stoi u ołtarza, pasterz on dla
mnie i ojciec, a gdy w izbie siedząc u kubka, ze psy
się zabawia, taki człowiek jak i drudzy.

— A toć istne pogaństwo! — wykrzyknął gwałtownie ksiądz Marcin — grzeszna mowa! Nie taki on człowiek, jak drudzy, bo namaszczoney jest na żywot cały, nie na godzinę jedną, którą stoi u ołtarza. Kapłanem on i pasterzem zawsze! zawsze!

Stara poganka ułyszawszy mowę gorącą, zamilkła chmurno.

Co miała rzec, dwóch przeciwko sobie znajdując? Czoło się jej namarszczyło, podparła twarz na dłoni i nie odezwała się już więcej.

— Matusiu — rzekł Jaksa, widząc matkę smutną — nie bójcież się wy o mnie. Kraków nie za górami. Pojadę, popatrzę... służba nie wiekuista, ani niewola.

Złe będzie, nie po myśli, precz się usunę... Niech ks. Janik nie mówi, że łaską jego pogardził, że radę odrzucił; niech się pan Petrek na mnie nie gniewa.

— Od Petrka zdala, zdala — mruknęła matka.

— Bogobojny to pan jest — odezwał się, głowę skłaniając ksiądz. — Daj nam Boże takich, jak najwięcej!

— Wam, ale nie nam! — prawila Hanna sierdzisto. — Wam on za grzech swój płaci, to go miłujecie, a ja go za grzech ten nie cierpię.

— Bóg grzechy sędzi i cnoty waży! a kto bez grzechu? — odparł ks. Marcin. — Nie rzucajcie kamieniem.

— Ja go ani sędzić nie chcę, ni widzieć, ni słyszeć o nim! — zakończyła Hanna, zwracając się ku synowi, który z rumieńcem na twarzy, pozostał milczący.

Ks. Marcin nie odezwał się też, nie mogąc dobrać zrozumieć, co starą tak oburzało i w niepokój wprowadzało.

Dla Jaksów nawet, choć się ci do najmożliwszych rodów liczyli, Petrkowa córka była małżeństwem wielkiem, niosła z sobą nietylko bogactwa ojca

ale związki jego i znaczenie po wszech ziemiach. — Poganka jednak nie chciała jej dla syna, obawiała się. Bogaty a tak nagle i dziwnie wywyższony ulubieniec Krzywoustego, dla starych rodów miał zawsze na sobie znamię obcego przybysza, co się gwałtownie dobił znaczenia i przywłaszczył stanowisko. Obawiano go się dla gwałtowności wielkiej, zuchwalstwa z jakim się wszędzie stawiał na równi chcąc być bodaj z panującymi, i szanować się każąc choć sam nie chciał uszanować nikogo. Obawiała się też przezorna matka wciągnięcia syna przez Petrka w niebezpieczne zabiegi, w niespokojne jego i ruchawe życie. Wolała go widzieć panującym w swoim domu, niż posłusznym towarzyszem Palatyna. Miała przeczucie, że Petrek, co się zawsze rzucając szedł coraz dalej, nie pozostanie przy tem co miał, nie ograniczy się samem budowaniem kościołów, które teraz po wszech ziemiach stawiał, o czem szeroko głoszone. Wielkie te ofiary samej pobożności przypisać było trudno, tłumaczono je więc pokutą za grzechy dawne, które ludzie wymyślali przez zazdrość, bo mąż silny był współzawodnikom solą w oku.

Nasłuchiwała się o tem stara Hanna, i brzydziła tajemniczym tym Władyką, który urodził z niczego.

Jaksa postrzegł, że z matką już o pięknej córce Petrkowej mówić nie było sposobu, pomyślał sobie jednak w duchu, że gdyby ją raz przywiózł do Komorowa, Hanna by ją, podąsawszy się, za córkę przyjąć musiała, a urokowi jej oprzećby się nie mogła.

VI.

Niemal wiek cały upływał od czasu jak Szczodry na zamku Krakowskim z Boleszczycami uczyt wyprawiał. Opuszczony po nim gród doczekał się dopiero za Krzywoustego nowego życia, a z niem i miasto u stóp zamku rozsiadające się i przedmieścia poczynaly coraz bardziej zaludniać się i ożywiać.

Kilka kościołów wznosiło się już wpośród wami otoczonej stolicy, kilka domostw kamiennych widać było tu i owdzie. Reszta z drzewa budowana, wśród ogrodów i zieleni skryta, nie miała dzisiejszych miast pozor. Nawet do koła wielkiej targowicy wpośrodku, otoczonej szopami na słupach wspartemi, gdzie były gospody dla kupców obcych, którzy ciągnąć przez ziemię tę, stawać w nich musieli—nie wiele wspaialej wyglądały budowyl

Nigdy u nas miasta samą ludnością miejscową na prawdziwe ule mieszczańskie urosnąć nie mogły; miast u nas nie znano, ino wsie i targowe rynki.—A wieś u nas, jak dwór, była obozem rozbitym wśród wygodnego miejsca, namiotem w którym się koczowało, nie zasiadając na wiekuistość. — Starodawny nałóg czysto wojowniczego i rolniczego narodu nie dopuszczał zamykać się po grodach ciastnych, chyba z musu.

Ludzie potrzebowali roli dużo, powietrza wiele, swobody ruchu i wolności dla siebie. Nielubiono miasta jak więzienia, w mieście też gromada panowała, człek się stawał jej niewolnikiem, na wsi każdy w domu u siebie był panem. Obyczaj miejski przynosili z sobą cudzoziemcy, Niemcy najwięcej.

Jeszcze dla nich nie nadszedł był czas zawojowania koloniami swemi krajów całych, jak to później rozpoczęli, ale już w dwunastym wieku wciskali

się gdzie mogli bezkarnie, gdzieniegdzie z bronią w rękę, ziemi zagarniając jaknajwięcej. Nienawidzony Niemiec od pierwszych Piastów płynął do Polski potajemnymi drogami, wioząc towary, przynosząc religijną naukę, rozpościerając się po dworach pańskich, w których wszystko poczynalo być niemieckie, żony, sługi, dwory, księża, zbroje i sprzęty.

Cesarze, książęta dawali chętnie siostry swe i córki do Polski, wiedząc, że tym sposobem drogi sobie do niej ścielą. Niemogąc orężem, pokonywano Mieczysławów i Bolesławów wpływem ich żon, które choćby nawet z klasztoru brać im dopuszczano—były królowały. Za księżną szedł kapelan, marszałek, służebne, rycerze, język, obyczaj.—A że trochę ogłady od Włochów nabrali niemieccy książęta, tu się ona podobała i przyjmowała.

Po ojcu Krzywoustym wziął Władysław Kraków, mało jeszcze mając czasu coś w nim odmienić.—Ale ojciec jego ztąd panował całej ziemi, jemu przypadała część jej tylko i prawo braterskiego starszeństwa, głowy rodu i domu. Ze skarbców, ze zbrojowni, ze wszelkiego mienia trzeba było oddać młodszej braci część na nich przypadającą, a tych strat nie wynagrodził posag księżnej Agnieszki, która więcej z sobą dumy przyniosła niż zasobów i skarbów.

Dla tej pani i zamek się musiał przystrajać na nowo, bo niezapominała, że była siostrą przyrodnią cesarza. Chciała tu nie na dzielnicę jednej skromnie siedzieć, ale nad całym krajem panować.

Krzywousty w istocie najstarszego uczynił głową i dał mu władzę zwierzchnią nad braćmi, ale oni byli równemi mu książętami, z których każdy panował u siebie. Wspólne tylko niebezpieczeństwo i sprawy wspólne miały ich pod starszego chorągiew gromadzić.—Ziemie były w związku z sobą, ale nie w podległości, krakowska dzielnica siostrą starszą szła przodem.—Tu zaś w Krakowie nie pomału się około tego krzątano, jakby rozbite ziemie w jedno

złać, władzę w jedną rękę dać, a młodszą bracie wydziedziczyć. Mówiono o tem głośno, wzdychano nie tając się.

Zamek roił się Niemcami, a i ci z domowej służby, którzy niemi nie byli, na sposób niemiecki przystrojeni i uzbrojeni chodzili.

Gdy Jaksa z listami biskupiem i zaleceniem od Petrka przybył do Krakowa, dosyć dworno w kilka naście koni, nie jechał wprost na zamek, ale obyczajem ówczesnym gdy gospód dla rycerstwa w mieście nie było, wprosił się do bogatego mieszczanina Lorka, który Jaksów zdawna znał i chętnie ich u siebie podejmował. Ztąd dopiero przyodziałwszy się, miał się udać do biskupa i do księcia Władysława; gdy, stojąc jeszcze w ulicy a rozglądając się, postrzegł od zamku idącego strojnego i zbrojnego mężczyznę, który, jakby tylko co z konia zsiadł, przy ostrogach w płaszczu sunął kędyś szybko między ogrody.

Młody chłop ów, wyglądający na dworaka, wiekiem równy Jaksie, pogwizdywał idąc a oczyma rzucając na wszystkie strony, twarz mu się śmiała, był dobrej myśli.—Mijał już dworek Lorka, niespostrzegłszy Jaksy, gdy ten wpatrzywszy się w niego, poskoczył doganiając uchodzącego.

Gdy z ks. Marcinem w Niemczech na naukach był, trafiło mu się, że niemieckiego pana syn Helmut z Pfordten razem z nim czas jakiś w Trewirze bawił, gdzie się z sobą pobratali i poprzyjaźnili.

Twarz, ruch, głos w przechodzącym, wszystko mu tak Helmuta przypominało, iż choć nie rozumiał coby on tu mógł robić, postanowił z bliska się przekonać, ażali nie sam on był.

Gdy Jaksa poskoczył, a idący się ku niemu odwrócił, wlepił weń oczy zdziwione naprzód z wyrazem groźnym, potem począł doń uśmiechać.

— Helmut?

— Jaksa!—zawołali prawie razem.

— Zem ja się tu znalazł, dziwu niema—roze-

śmiał się Jaksa—bom ja na swojej ziemi i niedaleko od swojego gniazda—ale wy?

— Ja?—odparł Helmut.—Trzeba, żebyście wiedzieli, mój miły, że prawdziwemu rycerzowi gniazdem jest ten ziemi kawałek, gdzie on zatknie włócznię swą z proporcem. Potrzebna mu włóczega i szukanie przygód. Dopiero na starość, gdy nogi się połamią, grzbiet zgarbi, siada gdzieś w starej jak sam dziurze, aby tam kości położył!

— Ale cóż cię tu do nas mogło przyprowadzić?

— Ochota przypatrzenia się, jak się tu u was żyje, co na północy za rycerstwo? jak wyglądają dziewczęta wasze!—rozmiał się Helmut.—Ja bowiem żyję dwójgiem tylko, wojną i miłością.

— Toś się do nas źle wybrał, przyjacielu — rzekł Jaksa—wojny pod czas nie mamy, Bogu dzięki; niewiasty nasze po waszych trudach aby się wam podobały!

— Jestem przy dworze ks. Agnieszki — odezwał się Niemiec — nie jest tu tak źle bardzo. Naprzód że ma przy sobie dosyć naszych dziewcząt niemieckich, a potem — boć to nikomu nie tajno dwór to dziś jeszcze książęcy, ale wprędce urośnie, królewskim się stanie, więc jeszcze przybędzie mu rycerstwa i niewiastek.

Jaksa niedowierzająco potrząsał głową.

— Ho — a ty? — spytał go Helmut.

— Ja także na ten dwór się myślę dostać, ale jeszcze nie wiem sam, czy będę przyjęty i czy się pomieszczę.

Niemiec słuchał już roztargniony, spieszył się i wyrывał, podglądał w ulicę, szepnął coś żywo na ucho Jaksie, podał mu rękę i pobiegł. Łatwo się było domyśleć, że gdzieś piękną mieszkankę miał upatrzoną, za którą gonił. Polowanie to jednak nie musiało się poszczęścić, bo w pół godziny powrócił do Jaksy kwaśny, zły, po niemiecku klnąc polskie dziewczęta, że się do nich zbliżyć nie było podobna.

Siedli razem w izbie, którą dla gościa Lorkowa opróżniła i teraz dopiero szerzej się rozmówić mogli.—Helmut pochwalał bardzo Jaksie, iż na dwór księcia a raczej księżnej przybywał, gdyż znać się zdawał tylko ks. Agnieszkę. Zapewniał, że pani młode twarze i młodych ludzi lubi, a rada świetnym się ich otaczać orszakiem.

— Ja bo księżnie służyć nie myślę — przerwał Jaksą.

— A komuż? — spytał Helmut.

— Księciu — rzekł Marek.

Rozśmiał się Niemiec i dziwną zrobił minę, jakby go sobie bardzo lekko ważył.

— Nie ujmuję waszemu księciu — rzekł — zacny pan jest, ale masz to wiedzieć, żeć przecie przy siostrze cesarskiej on wiele znaczyć nie może. Kiedy ją brał ks. Władysław łącznie mógł obrachować, że ona tu panować musi.

— To u nas nie jest w obyczaju — rzekł Jaksą.

— Nie wiem co w obyczaju — odparł Helmut — lecz kiedy was to szczęście spotkało, że wam dano przyrodnię cesarską — musicie ją poszanować. Ona też sama wie, co jej należy i nie da o tem drugim zapomnieć.

Udasz się do księcia, on sam nie uczyni nic, odeszle cię do Dobka, Dobek zapyta ks. Agnieszki, a że ona zwykła się zdawać na niego, wyszłoby na jedno, gdybyś odrazu wprost Dobkowi się pokłonił.

Jaksą, chociaż słyszał o ulubieńcu księżnej, udał jakby go nie znał, nie wiedział o nim, pytając.

— A Dobek ten, cóż to zacz?

Na to pytanie Helmut ręce załamał.

— Zkądże przybywasz? — zawołał.

— Z mojego gródka — rzekł spokojnie Jaksą.

— I o Dobku tam nie wiecie?

— Wiem o naszym księciu, o wojewodach, Żupanach, urzędnikach, o ojcach duchownych — ale —

o Dobku! cóż mi tam jeden jakiś dworak! Któż on? Polak? Niemiec? — począł Jaksą z wolna.

Helmut dziwować się począł.

— Patrzcież go! — zawołał — na dwór jedzie, niewiedząc co się na nim dzieje, kto tu rządzi i co kto znaczy!

— Nauczże mnie — rzekł obojętnie Jaksą.

— Trafieś na takiego co więcej zgaduje niż wie — począł Helmut — zawsze jednak pono lepiej od ciebie będę uwiadomiony. Co do pana Dobka, mnie się on na pewno wydaje Niemcem, choć on i za waszego brata uchodzić i sprzedawać się umie. Za młodu pono dostał się do was, żył i tu, powracał do Niemiec, chleba kosztował wszelkiego, jest tym, kim mu być potrzeba. U księżnej Agnieszki on wszechmocny, marszałkuje u niej, u króla, nadwornemu rycerstwu hetmani, trzyma od skarbcza klucze, jest pierwszym doradcą — a reszty możesz się sam domyśleć, bo mi się mówić nie godzi.

Śmiać się począł Helmut.

— Chcesz rady i przestrogi — dodał — masz wiedzieć, że tu niema w Krakowie jeno księżna pani, a Dobek — książę się z dziećmi bawi, na łowy jeździ, gonitwy sprawnie i wczasu używa.

Do niego ci darmo iść i prosić o cokolwiek — nie może nic.

— Mam silne polecenia i listy od stryja — mówi biskupa — wtrącił Jaksą.

— Zostaw je w kieszeni — przerwał Helmut — więcej ci to zaszkodzić niż pomódz może. Choć obcy nasłuchałem się przypadkowo mów różnych. — Z biskupami my tu niekoniecznieśmy w przyjaźni. Od Wrocławia zaś zawiewa owym Petrikiem, którego tu nienawidzą. Dobek zazdrości mu i odgraża się nań. Wnet cię w podejrzenie podadzą listy i niechęć ściągają.

Roztropny Niemiec w istocie życzliwą dał radę i Jaksą musiał uznać, że miał słusznosc. — Potrzebo-

wał się dobrze rozmyśleć co miał począć teraz, a gdy Helmut po długiem posiedzeniu go pożegnał, Jaksa, który gotów był na dwór jechać, wstrzymał się, wążąc z sobą, jak postąpić. — Ciągnęła go młodzieńcza ciekawość, — wstyd się było cofać, a lękał fałszywego postawić kroku. Zrażało go od dworu to szczególnie, iż ten nieprzyjaciół Petrka miał być pelen, a on właśnie dla niego i rodziny najgorętszą powziął życzliwość. Z drugiej strony jeżeli co knowano, czy nie należało mu rozsluchać się, dojść, aby w porę ostrzedz zagrożonego?

Tak jeszcze wahając się, poszedł dnia tego na dwór biskupi, niosąc pokłon od ks. Janika.

Po wrocławskim biskupim dworze, tutejszy wcale odmienną miał postać; podwórca stały ciche, ludzi było nie wielu, spokój wielki, duchownych więcej niż rycerzy, niż sług i świeckiej drużyny. A świeccy nawet tutaj mieli w pół klesze postawy i obejście.

Przystęp do pasterza nie był trudny; wpuszczono go natychmiast. Staruszek przygarbiony z twarzą łagodną, włosy siwemi, wyszedł powolnym krokiem ku niemu na kiju się opierając. Był to Rupert Korabita, niegdy także wrocławski pasterz, potem krakowski, mąż miłujący spokój, dla ubogich dobroczynny, wszystkim przystępny, ale już podeszłym wiekiem oderwany od świata i więcej o przyszłych myślący rzeczach. Pierwszy to był pono pasterz w Polsce, co po kilkudziesięciu latach pasterstwa w jednej owczarni, przeszedł w niej na drugą.

Gdy mu Jaksa od ks. Janika poselstwo sprawiał, na wspomnienie Wrocławia uśmiechnął się staruszek i westchnął głęboko.

— Z Wrocławia więc jedziecie — odezwał się — o! jak miło mi widzieć was! Tęsknię dotąd za moją pierwszą owczarnią i trzódką wiernych, z którymi tak dobrze mi było, wprawdzie, niech imię Boże będzie błogosławione, dobrze jest i tu! ale się dawne lata chętnie na starość wspomina

Potrząsł głową siwą. — Tutaj stolica, pański dwór, ludzi wiele, tłumno, gwarno, pokoju mniej, a ja więcej go dziś pragnę.

I począł rozpytywać o Wrocław, o Petrka, o Opata, o wiele osób i rzeczy, o których Jaksa mało mu powiedzieć umiał.

W ostatku rozjaśniło się o co szło, iż ks. Janik prosił, aby ks. Rupert młodzieńca do dworu pańskiego polecił i wstęp mu doń mógł ułatwić.

Starzec pilno i długo popatrzył na mówiącego.

— Do zalecania jam się mało zdał pono, dziecko moje — odezwał się biskup — u dworu niewiele mam zachowania, szczęścia do niego jeszcze mniej. Księżna pani kapelana ma Niemca, księcia ja widuję mało, chyba czasu uroczystości. Na nas duchowną starszyzną źle tam patrzą, zwłaszcza na ojczyców, cośmy tutejsi.

A po chwili szepnął biskup półgłosem.

— Marszałek Dobek nie jest mi życzliwym.

Znowu ze wspomnieniem o Dobku spotkawszy się Jaksa, mógł się przekonać, że nie darmo o jego wpływie i mocy mówiono powszechnie. Ks. Rupert zaraz zmieniając rozmowę, powrócił do wrocławskich rzeczy, do ks. Janika i Petrka, o którym sobie rozpowiadać kazał wiele, bo go szanował i kochał. Naostatek nie obiecując nic i nie ofiarując pośrednictwa swego, któreby się przydać nie mogło, staruszek opuścił Jakę z błogosławieństwem.

Nie pozostawało więc nic, jak nazajutrz samemu na dwór iść i drogę sobie torować. Nie myślał jednak za radą Helmuta ani Dobka szukać, ani się do księżnej wciskać, ale wprost księciu się stawić.

Gdy wypocząwszy po drodze, rano się na zamek wybrał, słońce już było wysoko na niebie. Konie i ludzi nie brał, nie widząc potrzeby, bo do zamku niedaleko było, a tam się dworno stawić, na nic nie zdało.

W bramie znalazł straż niemiecką z hallegardami, która go przepuściła, nie pytając, zobaczywszy rycersko odzianego młodzieńca. W dali pode dworem widać było liczną zwijającą się czeladź, odzianą barwy jasnymi, w sukniach przepołowionych, pół czerwonych, pół żółtych, strojną i żwawą.

U drzwi jednych gromada jej stała znaczna. Jaksie zdało się, iż tu być musiały komnaty książęce. Dwornia mierzywszy go oczyma z uśmiechem i lekceważeniem, gdy o księcia zapytał, odprawiła wskazując drugą wystawkę, przed którą dwóch starszych ludzi na ławach siedziało.

Trafił Jaksą omyłką do ks. Agnieszki dworu, a że się tu chwilę dla zapytania zatrzymał, marszałek z okna nieznajomego zobaczywszy odzianego przystojnie, sam wyszedł przez ciekawość ku niemu.

Łatwo się było Jaksie owego Dobka w nadchodzącym domyślać, którego też dość ciekaw był. A miał się komu przypatrzeć, bo marszałek pięknym mężczyzną był, wzrostu okazałego, statury męskiej, włosów ciemnych, piersi wypukłej, w sile wieku i zdrowia. Przedstawiał się pańsko i rycersko, strojny aż do zbytku jakby na dzień świąteczny, choć był powszedni, jakby się chciał sobą chwalić i popisować. Oblicze miał wesołe, rumiane, oczy jasne, ale jakby szklane, nie mówiące nic. Mężczyźni i kobiety czasem natura takimi na świat wydaje, jakby ich na szyderstwo tworzyła; da im wszystko, co potrzeba, aby pięknymi byli, tylko w nich duszy nie włoży. I chodzą te istoty, jakby złe latarnie, w których światła nie zażegnieto. Takim właśnie był ów piękny Dobek, który choć nań patrzeć miło było, ani rozumu, ani szlachetniejszego nie w sobie miał. Piękność ta znikala, gdy się w nią pilniej wpatrzeć było.

Już Jaksą zdala go zobaczywszy miał odchodzić, gdy marszałek skinął nań i zawołał, czegoby potrzebował?

Choć ze wstrętem, zapytany odpowiedział, że się księciu panu chce pokłonić.

Więcej z niego nie mogąc dobyć Dobek, który się spodziewał pokłonu dla siebie, dumnie usta wykrzywiwszy, dał mu ku drugim się drzwiom obrócić. Tu, owi starzy słudzy, na zapytanie o pana, trochę okazawszy zdziwienia, iż ktoś ks. Władysława widzieć zapragnął, do którego mało się kto wprost udawał, powiedzieli mu, że książę nocą z łowów powrócił i jeszcze zasypia—ale wkrótce się pewnie obudzi.

Dodał jeden, wskazując izbę, że jeśli chce po czekać tam może.

Pocichu wszedł do niej Jaksą.

Stała prawie pusta, kilka psów się w niej wylegiwało, te posłyszawszy nadechodzącego, głowy popodnosiły, ziewnęły i znowu spać się pokładły.

Kilku dworskich w ciemnych kątach drzemało na ławach; pacholąt dwoje szeptało coś, przekomarzając się sobie.

Siadł i Jaksą na ławie cierpliwości zażywając, co chwila się spodziewając jakiegoś końca oczekiwaniu i nie wiedząc, czy siedzieć dłużej, czy odejść precz.

Przed jednym ze starszych, co tu na przebudzenie pańskie oczekiwali, stał zegar piaskowy, z którego zwolna piasek ciekl, a gdy się do ostatka wysypał, stary poruszał się, przewracał naczynko, siadał wygodnie i patrzył osłupiałymi oczyma jak ziarenka z jednego naczynka w drugie zwolna się przesypywały.

On i ta klepsydra stanowili niby jedną istotę stworzoną do mierzenia czasu bez czucia jego biegu.

Kiedy niekiedy wśród ciszy, jeden ze psów mruknął wyciągając się, drugi przez sen zaskowyczał, pacholę w kącie, śmiech tłumiąc, prychnęło i znowu grobowe wracało milczenie.

Od niedalekich drzwi księżnej pani, aż tu dochodziły głosy wesołe i dźwięczne, tam się wszelkie życie zamkowe skupiało.

Trwało to już Jaksa nie wiedział jak długo, bo przewracania klepsydry nie liczył, gdy wreszcie na odgłos kłaśnięcia w ręce, weszli dworzanie do komnaty pana, posunęli się za niemi z naczyniami, wodą z ręcznikami pacholankowie, trochę ruchu się wzięło. Zaniesiono księciu polewkę ranną, wprowadzono doń dwa psy ulubione. Za drzwiami zasłoną słychać było rozmowę prowadzoną zwolna, głosem donośnym i jasnym.

Zbyt długo już napróżno tu się wyczekawszy Jaksa miał odchodzić z niczem, gdy jeden z podkomorzych dał mu znak, że książę wynijdzie wkrótce. Na tego przybyśza niezwykle wszyscy też patrzali mocno zaciekawieni i zdumieni, jak gdyby się nigdy nie trafiło, by tu kto ze sprawą, z prośbą, z pokłonem do księcia się udawał.

Naostatek podniosła się zasłona, przodem wystąpiły dwa psy ogromne, za niemi szedł stary otyły mężczyzna z laską, po nim dopiero sunął książę, którego Jaksa domyślił się z tego, że miał głowę nakrytą. Inaczej może trudnoby go było rozeznaczyć wpośród dworu, gdyż pańskiej postawy nie miał. Blisko pół wieku już przeżywszy Władysław na twarzy wyryte miał jakby zubożenie do życia, spokój i łagodność jej graniczyły z odrętwieniem. Oczy rzucał i poglądał tak, jakby go to co widział, nie wiele zajmowało, ani radowało, ni smuciło. Rysy już nieco rozlane nie piękne były, ani brzydkie, strój nie objawiał dbałości o powierzchowność i okazałość. Suknie na nim leżały tak, jak mu je dano i włożono, nie troszczył się o nie wiele. Jedna poła płaszcza wlokła się po ziemi, druga zadzierała do góry, rękaw założonym był na prawej, spuszczonej na lewej ręce.

Zobaczywszy nieznanego Jakse, książę mocno się wpatrzył w niego. Stał się oczyma zdawał pytać, coby on tu robił?

— Miłościwy panie — odezwał się młody, schy-

lając mu się do kolan — jestem Marek Jaksa z Miechowa.

— Jaksa? — powtórzył książę. — Jaksów wiem. Cóż chce Jaksa z Miechowa?

— Przechodzę służby moje ofiarować miłości waszej.

Książę wysłuchawszy, popatrzał, nie nie odpowiadając, mierzył go oczyma w półsennemi od stóp do głowy, jakby nie wiedział co ma odpowiedzieć — wreszcie zawahawszy się, odezwał.

— Gdzieżeście przedtem byli?

Nie dobrze zrozumiał to zapytany.

— Miłościwy panie — odparł — nie służyłem nikomu.

— Nie byliście u nikogo na dworze? — powtórzył uśmiechając się książę.

— Nie, wprost z domu na dwór wasz idę — rzekł Jaksa.

Ks. Władysław zdawał się coraz bardziej zdumionym.

— Rycersko pewnie służyć byście radzi — rycersko? bo to wam przystało.

— Co miłość Wasza rozkażecie, spełnię — odparł Jaksa.

Podniósł rękę książę, dumiał niepewny jakiś i rzekł w końcu.

— Dobrze, do Dobka z tem. To jego rzecz — tak — do Marszałka, do Dobka!

Powiódł oczyma do koła, ziewnął, kładnął krzyż na ustach prędko, uśmiechnął się, dobrotnie młodzieńca po ramieniu poklepał — mruknął — piękny chłop! i poczał iść dalej. Jaksa stał, nie wiedząc co ma czynić.

Rozkazanie pańskie spełnić było potrzeba; zawrócił się nazad w podwórze i rad nie rad, u dworzana pytać poczał o Marszałka Dobka, bez którego nie się tu nie działo.

Marszałek był już u swej pani, czekać mu nań

kazano. Miał czas dworowi się przypatrywać, wesolemu, strojnemu, ruchawemu, a znać w dobrym bycie, bo sobie wszyscy cugli puszczaali.

W ubiorach wielka panowała rozmaitość i przeplech, tu i owdzie słyhać było nawoływanie tytułami różnemi, oznajmującemi o nieznanym jakichś urzędach i urzędnikach dworu książęcej, jakby na cesarskim mnogich, a obco brzmiących.

Wyszedł nakoniec Dobek od książęcej, któremu, gdy Jaksa drogę zastąpił, opowiadając się z rozkazania książęcego, Marszałek spojrzawszy nań, za sobą mu do izby swej iść kazał.

Jakby dla okazania zamożności swej wiódł go przez kilka komnat pełnych przeróżnej zbroi, rynsztunków i naczyn. W ostatniej sam na krzesło zasłane siadłszy, zwrócił się marszałek do Jaksy, dopytując czego by chciał, tymczasem oglądając go jakby na targowicy konia, co młodemu wielce się nie podobało.

Oba tak, jak to często się trafia, od pierwszego wejrzenia powzięli jakąś niechęć ku sobie. Dobek za zło mu miał, iż się naprzód do niego nie stawiał, Jaksie wstydlivem się zdało ladażakiemu ulubieńcowi zmuszonym być się zalecać. Stawił się dumnie dosyć, jak na możnego rycerza przystało.

Marszałek poczuwszy w nim jakąś siłę, wkrótce się udobruchał i na ławie miejsce mu ukazawszy, począł dość uprzejmą rozmowę. Jaksa o młodości swej mu rozpowiadawszy, śmiałością swą widocznie go zjednał. Począł tedy Dobek prawie niejasno coś, że wkrótce Dobek ludzi rycerskich bardzo potrzebować może, zatem i Jaksie miejsce w wojsku poczesne łatwo się znajdzie...

Na zapytanie, jakaby wojna była na widoku, Dobek się uśmiechnął, bródkę gładząc i zagadkowo tylko mruknął, że to się niebawem okaże.

Potem zalecał wierność księciu, i sypał obietnicami nagród wielkich, jakich się spodziewać od niego

było można; nareszcie pytać począł co słyhać gdzie było od Sandomierza, Gniezna i Płocka, a innych ziem. Odparł Jaksa, że mało o tem wiedzieć może, bo długo doma nie był, a ludzi wielu nie widział. Badał go tak marszałek czas nie mały, chcąc zeń coś dobyć, aż o Wrocław i ks. Janika zaczepiwszy, ożywił się jeszcze mocniej; gdy usłyszał, że Biskup Jaksy był stryjem.

— Jeżeliście u pana stryja waszego bywali — rzekł — to i pana Petrkę widzieliście? — zapytał.

Rumieniec mu na twarz wystąpił, a choć się hamował, widać było, że samo Petrkę wspomnienie, gniew w nim wielki obudziło.

— Małom co tam widział, bom i niedługo był — rzekł Jaksa.

— To szkoda! — zawołał szydersko Dobek — jest się tam przecie czemu przypatrzeć! Petrek nie lada panek, z książęty się mierzy i na równi stać gotów. Napasł się dobrze za nieboszczyka króla, ledwie dysze. Sam w zszarżanej sukni chodzi, a sługi złotogłowem okrywa i dwór trzyma jak książę udzielny... Warto było przypatrzeć się mu, póki jeszcze tem jest, czem go Krzywousty zrobił, a co długo nie pożyje!

Na te zjadliwe i pełne nienawiści wyrazy, Jaksa nie odpowiedział wcale, słyhać mu ich było przykro. Marszałek raz wpadłszy na to, pohamować się nie mógł i sierzdił coraz mocniej, wybuchał, szydził niemilosierdzie. Rozgadał się tak nad miarę.

— Dużo u nas panów i panków — mówił — na tych ziemiach, które księciu naszemu, jako starszemu wszystkie należą, dużo narodziło się wszelakich... Godziłoby się uczynić trochę ładu, aby znali, kto tu panem.

Jaksa patrzył tylko i słyhał, a milczenie biorąc za potakiwanie, marszałek brnął śmieiej coraz.

— Strach, co panów mamy — ciągnął dalej. — Oprócz świeckich toć i Biskupi na równi stoją z świeckimi książęty! Ks. Jakób ze Znina na Gnieźnie

właśnie tak nad niemi głową jak książę Krakowski nad braćmi! Niewiedzieć kogo słuchać i kłaniać się komu!

Ruszył ramionami.

— Nasz pan w tym tłumie, choć najwyższym powinien być, ledwie go widać, a dotąd i mało o nim słyszeć było!

— Wszyscy mu jednak należnej czci nie odma-
wiają—szepnął Jaksa.

Bystro nań spojrział Dobek.

— Nie bójcie się — zawołał — nie da on sobie jej odjąć! Dobry jest i powolny do zbytku, ale z tego snu, gdy się przebudzi, potrafi nakazać posłuszeństwo!... I czas też, aby okazał, że dba o władzę swoją, czas! czas!

Nie dobywszy więcej nic z Jaksy, Dobek popatrzał mu w twarz, jakby w niej chciał myśl wy-
czytać i zakończył.

— Wy służby potrzebujecie u księcia, a nam ludzi brak, więc łatwa zgoda. Zbierzcie ludzi swych, gromadźcie, uzbrojcie, aby na zawołanie stawali—to będzie służba wasza. Starajcie się być pogotowiu, nagroda nie minie...

Jaksa wysłuchawszy go, pokłonił się i wyszedł znużony.

U wyjścia spotkali się z Helmutem, który pod rękę go wzięwszy, do izby, gdzie się starszyzna gromadziła zaprowadził. Tu już jeno niemiecki szwargot słyszeć było, a gdy obcego zobaczono idącego z Niemcem, jak swojego, otoczyli go wszyscy.

Na stole dzbany stały i gąsiorzy, wszyscy byli dobrej myśli, śmiano się i podśmiewywano. Niemiecki dwór książęcej hałaśliwie się zabawiał, rozwalając po ławach, rozsiadając na nich jak na koniach, pasując się, sił próbując i prześmiewając służbę domową, która mowy jego nerozumiała.

— A no!—zawołał Helmut—już się wpisał do

naszych? Zostajesz więc z nami? Siedziałeś długo u Dobka; zaciągnął cię?

— Książę mnie posłał do niego.

Uśmiechali się niektórzy, oczy przymrużając.

— A Dobek co? — mówił Helmut.—Powinien był cię do książęcej pani okazać, bo bez niej, jej rozkazy i woli przyjętym być nikt nie może!

— Ale ja w służbę do książęcej iść nie myślę!—
odparł Jaksa ostro.

— Do księcia, czy do książęcej, obojętna to rzecz—mówił Niemiec—ona tu panią i nad panem. To się wie i tak być powinno. Książę dobry myśliwy, a kłopoty z głowy zrzucił i z tem lepiej.

Śmieli się niektórzy, przerywali i zagadywali różnie; Jaksa musiał się od nich z Helmutem usunąć na stronę, nie chcąc ani słyszeć szyderstw i przekasów, ani się o nie kłócić.

— Nie mam tu co robić—rzekł do towarzysza —
pójdę spocząć do miasta.

— Zabawiłbyś się!—wtrącił Helmut.

— Ba, i nauczyć się mógł dużo!—zawołał zdala opasły Niemiec szydersko, chcąc widocznie przyby-
sza podrażnić.

— Czego?—zapytał Jaksa.

— Rycerskiego wiele, czego tu u was nie umie-
ją zgoła i czego też wy pewno nie znacie! — rzekł opasły.

Jaksa się zżymnął.

— Miły panie, was za nauczyciela nie wezmę.

— A zdałbym się takiemu młokosowi jak wy—
krzyknął drab, kręcąc wasa i pobrzękując na mieczu.

— Arnulf, daj pokój!—zawołał Helmut, widząc, że się zabiera na zwadę.

— Dla czego mam pokój dać? — głos podniósł Niemiec — dla czego? butnemu chłopcu nosa trzeba utrzyć, aby go nie zadzierał.

— Patrzcie tylko, abym ja wam też czego nie utarł!—zawołał burząc się Jaksa.

Helmut ręce rozstawiwszy hamował obu, widząc, że się im oczy iskrzyły i pięści ścisnęły.

— Choć się spróbuj! — krzyknął Arnulf — chodź!

— Ja na to nie pozwolę — przerwał Helmut — to jest mój stary towarzysz i druh — biorę się za niego.

— I obu was się nie zlekne! — zaryczał Arnulf, zrywając się z ławy.

Świadkowie tej zwady, śmiejąc się, radzi uciesze, poczęli wołać:

— Na podwórzel! na podwórzel!

Helmut pochwycił Jakś pod rękę i wszyscy tłumnie, popychając się, tłocząc do drzwi, wytoczyli gromadą w dziedziniec zamkowy. Przede drzwiami księżnej nie miejsce było do zapasów, poparli się dalej, gdzie za dworcem piaskiem wysypany plac widać było. Jakś szedł tak zburzony, że mu ręka na mieczu trzęsła się krwią miotana.

Nie wiadomo, do czego przyszło z tych wyzywań, gdyby Helmut, który towarzysza nie opuszczał, nie począł wołać:

— Na rękę się wyzywać na zamku nie wolno! Chyba kto chce gardło dać? Z Dobkiem nie żarty!

— Swoim nie wolno dworowi, tak! — krzyknął Arnulf — a przybędę jakiegoś obciąg kto mi zabroni?

— Naprzód patrz ty, abyś sam nie oberwał, za przyjaciela się zastawiając — odparł Helmut. — Ja go znam i wiem co może.

Jakś stał spokojnie.

— Próbujcie się — dodał pierwszy — zgoda, ale nie przeciw sobie, tylko co kto może! kto co umie!

Na wałach stała wywieszona tarcza biała z drzewa miękkiego.

W pośrodku niej niewprawna czyjaś ręka czarnym węglem nakreśliła człowieka niby strasznego, z głową ogromną na dwóch pałkach stojącą. Poznać go było można po dziurach czarnych, które oczy, nos i gębę oznaczać miały.

— Dawaj kusze i strzelajcie! — zawołał Helmut — będzie próba kto lepszy.

— Nie zdragam się — odparł Arnulf, chwytając podaną kuszę.

Jakś stał w boki się wzięwszy i patrzył.

— W łeb Petrka! — krzyknął Helmut.

Drgnął Jakś, słysząc, jak tego poczwarnego człeczka zwano, zaśmieli się inni.

— Nie w łeb, ale w jedno, a potem w drugie oko z kolei; gdy oślepnie, dopiero go zwalić! — rzekł inny.

— Cóż to za Petrek? — spytał Jakś towarzysza, uderzony tem przewiskiem.

— A jakieżby miał być, jeżeli nie wrocławski ów, którego Dobek cierpieć nie może — rzekł Helmut. — Ale o tem potem... Patrzno w tarczę!

— W oko! — wołał ktoś z boku.

Arnulf począł mierzyć kuszę oparłszy, i puścił bełt, który poszedł utkwieć w prawo po nad głowę i czapkę narysowanego pana Petrka.

Tymczasem Jakś chwycił inną kuszę na ziemi leżącą, obejrzał ją, a gdy Arnulf swą ze złością cisnął, podjął tę porzuconą i począł naciągać w milczeniu. Wszyscy się z wielką uwagą przypatrywali.

— Do Petrka żadnego ja strzelać nie myślę i nie będę, bo mi ani żyw, ani namalowany nie zawinił nic, do czegoż mam? he? Wszak ci tam nad tarczą pręt stoi?

Arnulf się roześmiał szydersko, inni głowami potrząsali. Jakś położył kuszę na widłach i mierzył długo a uważnie.

Brzękła struna; spojrzeli wszyscy cheiwie, bełt tkwił w kołku i drgał, jakby się z nim pasował.

Arnulf słowa nie rzekłszy, zawrócił się i poszedł ku dworcowi sam, a Jakś kuszę położywszy, pożegnał dworaków zdumionych i do gospody pociągnął.

VII.

Nie było co robić w Krakowie, pozostał jednak Jaksa we dworku u mieszczanina, bo i z ust Helmuta i z różnych stron dochodziły go coraz gorętsze wieści o przygotowaniach wojennych; zdało mu się obowiązkiem wywiedzieć się o zamiarach księcia i donieść o nich stryjowi i panu Petrkowi.

Wcale się tu nie tajono już z tem, że księżna słabego męża gwałtownie nakłonić się starała do wywłaszczenia braci, zgniecenia wszystkiego, co stało na drodze do połączenia ziem rozdzielonych w jedno ciało. Petrek, który dobrze był z braćmi Władysławem młodszymi i sprawę ich głośno popierał, zdawał się największą zawadą... Odgrążano się przeciwko niemu i na biskupów nawet, jeśliby, jak się zdawało, w obronie testamentu króla stawać chcieli.

Drugiego dnia pobytu w Krakowie, Helmut przyszedł nawiedzić towarzysza. Przyniósł z sobą wiadomość, że wróciły posły z Rusi od krewnych księcia, od których na braci żądał posiłków. Rada była na zamku wielka, gdyż wojska z Rusi obiecywano, a z niemi ogromne hordy Połowców iść miały, którym wszystkie wojska królewiczów oprzeć się nie mogły.

Helmut nie krył nie przed Jakśa, którego za sługę księcia już liczył, a gdy o tem mówiąc napomknął, iż naprzód Petrka sprzątnąć się będzie starał Dobek, bo go za najniebezpieczniejszego uważa, dodał uśmiechając się.

— Nie wierzę ja w to, żeby jeden taki palatyn mógł coś ważyć i znaczyć, ale Dobek nań ząb ma i zemstą plonie, a skarby jego nęca.

— Za cóżby się mścić miał?—zapytał Jaksa.

— Mało kto wie oprócz marszałka poufalech—

rzekł Helmut — ale tak jest, iż Dobek wprzódby pokornym był i wiele się Petrkowi wysługiwał. Rzucił okiem na córeczkę jego; tej mu się w małżeństwo z wianem chciało. Mówią, że gdy się z tem odezwał do Petrka, począł się Palatyn śmiać i rzekł mu, że córki jego dostanie chyba, gdy na sosnach rosnąć będą żołędzie... Szyderstwem odprawiony Dobek zemstę poprzysiągł i czyha na Petrka, aby mu i córkę i skarby wziął i życie!

Nasłuchawszy się, co tu knowano, Jaksa miał już wprost na Szlązk do Biskupa z tem powracać, gdy Helmut oznajmił mu, że właśnie przybył do Krakowa wezwany z Sandomierza palatyn Wszebór, na zamek dwa razy już był ciągany do księżnej, trzymano go tam i njać się starano.

Stary Wszebór, niegdy Krzywoustego towarzysz i wojewoda, który się niemal, jako opiekun dostał sandomierskiej dzielnicy, był też ojca Jaksy druhem wiernym, mężem powagi znacznej w narodzie. Nie chciał Marek odjechać ztąd, póki mu się nie pokłonił i coś z ust jego nie posłyszał.

Mieszkał Wszebór w biskupim dworze, a dwór jego podle pod namiotami, bo służbę miał liczną i okazałą, jaka się jego dostojęństwu należała, i kochał się w rycerskich pocztach, które rad sprawiał, urządził i sposobił.

Zrana, gdy z kaplicy biskupiej wychodził siwy mąż z poczem sług swoich, zastąpił mu Jaksa drogę. Wszebór młodzień dorodną, pięknej postawy miłował bardzo; zaraz mu młodzian w oko wpadł i nim się pokłonił, Palatyn już mu się uśmiechał.

— Miłościwy panie! dość, gdy powiem ci, że jestem Jaksa z Miechowa. Przychodzę się jakby rodzonemu ojcu pokłonić...

Wszebór go uściśnął.

— A tyś tu zkad?—zapytał.

— Dużoby mówić, jakie mnie tu wiatry przyniosły—odparł Jaksa.

— Do izby ze mną chodź na ranny posiłek, tam się rozgadamy—rzekł Wszebór.—Niewymowniem rad, że mi się stary druh w tobie tak pięknie odrodził.

Szedł Jaksa za Palatynem zaraz, który go do komory bocznej z sobą prowadził, aby poufale sam na sam mówić mogli. — Nie tracąc czasu Jaksa mu się ze wszystkiego wypowiadał, co widział, słyszał, i z obawy jaką miał, aby się nie zamąciło wkrótce dokoła. Palatyn słuchał siedząc a wąsa szarpiąc, to ręce wylamując, bo miał zwyczaj taki, że gdy go co drażniło, palce sobie ze stawów wyciągał ustawicznie.

— Nie inaczej, tylko cię tu Opatrzność Boża zesłała w porę—odezwał się, gdy Jaksa pośpiesznie opowiadania dokończył.—Oko masz dobre, węch łowiecki, wzrok co zwierza pod kępą wypatrzy. Tak ci ono jest jak mówisz; ale połowę tylko wiesz, którą odgadłeś tam, gdy ja całą biedę na ramionach dźwigam. Miałem ja ślać z oznajmieniem do Petrka, jedź ty, mów mu, że tu gore. Postanowiła już księżna, dał się namówić nasz pan, że na braci ruszy, królem być chce. My na to pozwolić nie możemy.

Petrek miał sobie zleconą ostatnią wolę króla i opiekę nad książętą, szanować go muszą, niech on tu zjedzie, niech prawdę rzecze i zagrozi, my go poprzemy: ja, Arcybiskup Gnieźnieński i Biskupi wszyscy. Krwi własnej rozlewać nie chcemy, dobrze nam tak jak jest i jak nieboszczyk mieć chciał. Hamować trzeba księcia. Petrek znaczenie ma i siłę, niech przemówi za nas, my mu zawtórujemy wszyscy.

Niechaj zjedzie co rychłej, a choćby pogrozi — ulękną się może póki czas.

Jedźcie—powtórzył Wszebór—odemnie w poselstwie, zaklinajcie go i proście niechaj wystąpi. Myślę, że go o to zbyt nękać nie będzie potrzeba. Nie uda się, to wojna bracka za pasem. Księżna zła baba jest, Dobek mściwy i chciwy nią włada. Jeśli ich nie nastraszy Petrek, to nikt.

— A wy, miłościwy panie?—zapytał Jaksa.

— Jam swoje zrobił—odparł Palatyn—pójdzie i moje na wagę, ale co jeden, to nie dwu... Ja prawdy nie zataję, niech on też ją powie głośno.

I naglił, powtarzając:—Jedźcie! jedźcie!

Tak odprawiony Jaksa ledwie do swej gospody powróciwszy, konie siodłać kazał; paliła go pilna droga. Nie miał już czasu ani Helmuta żegnać, ani na zamek iść, puścił się wraz z ludźmi gościńcem wielkim.

Już był za Kraków odjechał mil parę, gdy w lesie trąbki myśliwskie usłyszał i psów takie naszczekiwanie, jak gdy zwierza na oko wiały gonią. Zagrała w nim myśliwska krew, zwolnił kroku i za oszczep już sięgał, bo mu się zdało, że ot, ot psy zwierza na gościniec wypędzą.

W krzakach zaszeleściło, mknął właśnie jelenek drogą, gdy oszczep świsnął i utkwiał mu w szyi. A tuż i psy naskoczyły, a za niemi jeździec, który postrzegłszy ubitego jelenia, gniewem się rozżarł wielkim. Starzec to był już, ale gorącej krwi, bo wprost na nieproszonego łowca wpadł z łajaniem, gdy popatrzywszy nań, złagodniał nagle i gniew w śmiech obrócił.

Jaksa poznał w nim starego Zaprzańca.

— Nie winujcie mnie ojczel!—zawołał Jaksa.—Sama mi bestya pod oszczep wpadła, a ja z niej i wątroby nawet dla siebie nie chcę.

— Szczęście, że to był—odparł stary—inemu bym nie darował, że mi go z przed nosa sprzątnął. Ale wina winą i bez kary nie zostanie. Musisz ze mną do mnie jechać.

— Ojczel mój — zawołał Jaksa — radbym z duszy, ale dziś to nie może być. Z pilnem poselstwem jadę i do rodzzonego bym z drogi nie nawrócił.

Stary się począł siedzieć.

— Jesteście druhem Palatynowi Petrкови? — rzekł Jaksa.

— Nie pytaj o to, bo wiesz!—zawołał Zaprzaniec. Marek począł opowiadać, jak rzeczy stały w Krakowie; zasepił się Żegota.

— Bóg z tobą, jedź sobie—rzekł—ale koniom musisz gdzieś dać wytchnąć, niech ludzie sporządzą naroki, my siadziemy.

Poszli pod drzewa; wzdychał Zaprzaniec.

— Znowu krew się poleje—rzekł.—Jak ze mną bracia, tak Władysław chce z bracią poczynąć... Ustąpcie mi, oddajcie, sam panować będę! Rycerstwo nie zabieży, a na jego karkach się to skrupi. Jedź do Petrka; gdybyś ty nie jechał, ja stary bym pośpieszył. Niech radzą, niech się opierają, niech nie dopuszczają...

Władysław niema ojcowskiej siły, aby wszystko utrzymał w jednej garści i nie pora po temu. Księża Biskupi nie radzi jednemu panu, a co oni chcą, to będzie. Dziś oni tyle, albo więcej co książęta znaczą, i co pożądamy ziści się, a czego zabronią, nie ostoi się.

Bieźcie dniem i nocą do Petrka, niech przybywa z radą, z groźbą, aby daremnej wojnie zapobiegł.

— Jeżeli jeszcze pora!—dodał Jaksa. — Gdym na zamku w Krakowie był, już o posłach z Kijowa gadano, o przymierzach z Rusią i o pułkach a gromadach, które na pomoc ciągnąć mają.

Posiliwszy się jeleniemi naroki, przegadawszy chwilę, wstali rychło, Zaprzaniec ludzi zwolując, Jaksa do dalszej drogi.

Żegnali się jak ojciec z synem.

— A będziesz li tu u nas w Krakowskiem—rzekł znowu ściskając go stary—zajeżdżaj do mnie. Na ustroni żyję, ludzi mało widzę, rad cię u siebie ugoszczę...

Rozstali się tak, a z rozmowy z nim Jaksa do większego jeszcze pośpiechu wziął pohop, tak, że dniem i nocą do Wrocławia biegł, koni nie luzując.

Była północ, gdy pod dwór pana Petrka podje-

chał Jaksa. Choć o tak późnej godzinie, u wrót tam straż była, która nigdy nie zasypiała i pilnowała parkanów dniem i nocą. Gdy do zapartej bramy zakolatano, znaleźli się ludzie pogotowiu, starszy oznajmił, że Petrka budzić nie będzie potrzeba, bo się jeszcze u niego świeciło.

Wnet kazał się do niego prowadzić poseł, nie chcąc tracić ani chwili.

Petrek w swoich izbach własnych, jak prosta chata urządzonych, na pół rozdzielany, podobny do starego chłopca, który tylko co robotę porzucił, w koszuli grubej i ladajakiem przyodziewku, siedział na ławie.

— A was tu co o takiej porze przyniosło?—zawołał, Jakse poznając.

— Pilna sprawa, bez której bym się wam spoczynku klócić nie ważył—odparł przybyły. — Takim polecenie miał od Palatyna Wszebor, od biskupa Ruperta, i od rozumu własnego, aby was co rychlej zawiadomić co się gotuje w Krakowie.

Wskazał mu Petrek miejsce na ławie.

— Siadaj—rzekł—boś zmęczony, wydobądź co masz za nadrą, słucham.

— Miłościwy panie—począł Jaksa—jawna już, że księżna Agnieszka do wojny Władysława podzęgła. Z Rusią przymierze uczynił, posiłki mu ciągną. Nie tajna rzecz, że braci z dzielnic chce wyrzucić precz, nie własną mocą, ale z Rusią i Polowcami. Sprawa to dumnej siostry cesarskiej, która konieczne chce królować. Wszebor nagli i żąda abyście jechali wnet dla upamiętania księcia, dla zagrożenia mu, że się przeciw niego i rycerstwo i duchowieństwo obróci. Palatynowie, biskupi, wszyscy pójdą przeciw niemu.

Jeśli was nie usłucha, to nikogo, jeśli wy prawdy mu nie powiecie, to nikt.

— Wiele chcą odemnie!—zawołał Petrek.

— Wiele możecie!—rzekł Jaksa.

— Na nie się nie zda wszystko—odparł Petrek.— Z Władysławem mówić dobrzeby było gdyby on sam był, ale za nim Agnieszka stoi, co ja naprawię, ona popsuje. Księżna słuchać mnie nie chce. Jak niegdy Sieciech u żony Hermanowej, u niej Dobek gospodarzy, a z tym—ja gadać nawet nie chcę. — Niekzemne stworzenie jest.

— Nieboszczyk król, mówią, zwierzył wam nad młodszemi dziećmi opiekę—rzekł Jaksa. — Macie prawo słowo rzec.

— Mam i rzeknę je, ale na wiatr ono pójdzie i przepadnie marnie—odezwał się Petrek.

Wstał z ławy ręce na piersi krzyżując.

— Pojadę—dodał—powiem com powinien, jak powinienem, w oczy wszystkim, księciu, babie, zausznikom.

Zadumany przeszedł się po izbie.

— Choćby głowę przyszło dać!—dodał cicho.

— Palatyn i biskup i wszyscy proszą was, miłościwy panie o pośpiech. Czas nagli, nie, to ino patrzeć jak buchnie.

— Ja się też ociągać nie myślę—rzekł Petrek spokojnie—ruszę jutro.

— A ty, co robisz z sobą? — dodał, zwracając się do Jaksa.

— Do czynienia niemam nic pilnego—rzekł Marek—chętnie zrobię co każecie.

— Nie strachasz się jechać ze mną napowrót!—spytał Petrek. — Syna nie chcę brać, za młody jest, albo i zapieszezony. Jedyńy on u mnie i z niebezpieczeństw nieoswojony, wy macie doświadczenie i meztwo — kto wie co nas tam czeka! Zdalibyście się mil

Jaksa się pokłonił.

— Jadę z wami—dodał—bardzo rad, że posłużyć mogę.

Klapnął go poufale po ramieniu Petrek.

— Światosława znasz—dodał poufale — chłopię

to moje serdeczne, jedyne, dobre, gotowe za mną choć w piekło, ale dziecię to jeszcze, umysłu niema rzeźwego, na lzy mu się rychło zbiera, miękki jest, bo go za długo niewiasty trzymały, tyś krzepki, zastapisz mi jego.

I popatrzysz nań długo Petrek objął go i uściśnął.—Bodaj mój tak wyrósł jak ty!!

Jaksa poczuł się dumny i na sercu było mu błogo...

— Pójdę z tobą, miły panie, na kraj świata—zawołał—lepszego przewodnika i opiekuna mieć nie mogę. Za cześć i miłość dziękuję wam...

— No, a teraz—dodał weselej Petrek — idź na nocleg do Światosława, jutro w drogę...

Odprawiony tak Jaksa, szczęśliwy i wesół zaczął się wieść do Światosława, który osobny dworek w podwórzu zajmował do głównego przytykający. Tu już spało wszystko.

Ukochane dziecko ojca i matki, miał też gniazdo puchem wysłane, izby najświatlejsze kobiercami powybijane, skórąmi powyscielane, pozawieszane oponami, i z niewieścią pieszczotą wychuchane. Para psów ulubionych spoczywała na straży i nóg jego i do izby nocą, wchodzić nie było bezpiecznie. Musiał sługa kołatać, budzić i opowiadać się Światosławowi, nim ich tu wpuszczono.

Dopiero gdy psom pan kazał do kąta iść, mógł Jaksa bezpiecznie próg przestąpić. Przebudzony zdziwił się tak spóźnionemu gościowi, którego mu ojciec przysłał, ale powitał go serdecznie. A że skóry wysłane były szeroko, znalazło się gdzie położyć i przespać, opowiedziawszy wprzód z czem i z kąd przybywał.

Zasepił się Światosław o ojca zatrwożywszy. Nie był on bojaźliwym do zbytku, lecz chowany miękko przez matkę, pokój lubił i wszelkie niebezpieczeństwo wstrętliwe mu było. Łowy, śpiewy, tany, przejażdżki konne, gonitwy w polach najbardziej mu były do smaku.

Ojciec się wychowywał w polu i na wojnie i oboje lubił, syn przy matce siedział z księżmi i inaczej był nawykły. Zachmurzył się wielce usłyszawszy o podróży ojca do Krakowa, przeczuwając coś, bo mu całej prawdy Jaksa nie mówił. Pośpiech, niespodziana droga, niewiadomy cel podróży dawały do myślenia. Rwał się i on z ojcem jechać i zamierzał napierać aby go wzięto.

Prawie do dnia gwarzyli młodzi z sobą i popali, gdy już trzecie kury piałły, a we dworze pomalutka ranny ruch się obudzał.

Gdy dobry dzień się zrobił w dziedzińcach żwawo się gotowano do drogi, rozkazy były wydane, sto kilkadziesiąt, co naprzędniejszych koni towarzyszyć miało Petrkowi.

Ten co w domu jak prosty kmieć chadzać lubił w zgrzebnej koszuli, co pił najmilej z kubków glinianych i z drzewa, choć miał złote, co na dębowej ławie nie zasłanej rad siedział i legiwał; którego w domu za pana i Palatyna niktby był nie poznał; gdy mu się trzeba było okazać całemu innemu się stawał. Choć ze wstrętem brał się za pański strój, wiódł dwór pański za sobą i przeistaczał się w możnego władkę.

Na dwór książęcy jechać musiał tak, aby widziano kim był, więc co najlepszego było w koniach, siedzeniach, rzędach, szatach, gotowano na tę drogę. Od rana dobywano ze skarbców przybory, opatrywano wozy, uprzęże i ludzi. Ci iść mieli pod znakiem pańskim z chorągwią, dowodzącą swoim.

Marszałek prowadził dwór zbrojny jak jeden człowiek. Na każdym pancerz w łuki szyty, koleczugi, tarcze, miecze, łuki, barwa jedna.

Jak dzień widać już było w podwórcach konie pookrywane, dziesiątników nawołujących lud do liczby, opatrujących odzież i zbroję. Sam Petrek wychodził oglądać na ostatku.

Zawczasu też samej pani Petrkowej niewiasty znać dały, że się do jakiejś drogi pan gotuje, i strwożona pani szła do męża z pytaniami. Straszyc jej mąż nie miał zwyczaju, poszedł śmiejąc się, a nie wyznał jej nic, tylko, że go Palatyn Wsebor wzywa na radę, nie przyznając dokąd jedzie. Oka i przeczucia niewiasty mało co ujdzie, niedowierzająco słuchała żona powieści, bo z takim występem i okazałością do Wsebora by się Petrek nie wybierał.

Gdy dzień się stał, zażądała pani aby wszyscy do bliskiego kościoła szli na modlitwę i błogosławieństwo, gdzie Opat miał ranną mszę odprawić. Stało się wedle jej woli i gdy w dzwonek uderzono, wszyscy ze dworu pociągnęli ku bliskiemu kościołowi. Szła przodem Petrkowa z mężem, za niemi Błogosława z Ochmistrzynią swą, potem Światosław z Jakszą.

Za wszystkie trudy zapłaciło mu to, że złotowłose dziewczę widział znowu, które wśród porannego dnia brzasku, ciemno odziane, smutne, wydało mu się innym teraz, a piękniejszym jeszcze.

Darmo sobie powiadał Jaksa, że się oczyma zdradzać niepowinien, że mu w nią patrzeć jak w tęczę nie godziło się, mimo to ścigał ją oczyma sam nie wiedząc o tem. W krótkim tem przejściu ze dworu do kościoła nie stracił żadnego jej ruchu, skinienia żadnego, ile razy zwróciła się ku bratu, chwycił część tej twarzyczki, szeptał, nawet szelestał sukienki, który go dreszczem jakimś przejmował.

Dwa czy trzy razy oczy jego spotkały się z jej niebieską żrenicą, i natychmiast trwożliwe powieki opadały na nie, przysłaniając mu ich blaski.

Raz gdy w furtce ku kościołowi zawracać się musiała, Jaksa zobaczył ją z boku, potem gdy ze drzwi kościelnych wchodziła, a gdy się odwróciła od niego patrzył na ramiona, na fałdy sukni, na zasłonę co ją okrywała, i nie mógł oderwać oczu. Zdało mu

się, że takiej istoty i takiej sukni, i takich ruchów drugich na świecie nie było. Nie zważał nawet, że Światosław, który mu w ciągu tego pochodu pilno się przypatrywał, kilka razy przemówił do niego, a nie otrzymawszy odpowiedzi, szydersko się uśmiechnął. W kościele mszę odprawiał Opat. Po niej nastąpiło całowanie pacyfikału i błogosławieństwo na drogę; do którego za panem Petrkiem kłękł i Jaksa.

Wnet potem tym samym porządkiem wracali nazad z kościoła. Błogosława teraz śmielszą była i weselszą, częściej się zwracała do brata, śmiejąc się doń i mówiąc głośnie, tak że Jaksa mógł ją słyszeć. Napawał się temi dźwiękami, ale do rozmowy z pięknem dziewczęciem ani prawa nie miał ni odwagi.

Nie było też miejscem po temu, ementarz i podwórze, a gdy do dworu się zbliżyli, Petrkowa z córką znikła, wchodząc do tej części domu, która dla niewiast była przeznaczona.

Wchodząc we drzwi za matką, pewnie ku bratu zwróciła główkę Błogosława, a że zasłona opadła jej na oczy, odchyliła ją ręką, spojrzała, spotkała wzrok tuż stojącego Jaksy, i — zdało mu się może, jakby go bardzo nieznacznie głowy skinieniem pozdrowiła.

Nie upłynęła chwila potem, gdy Światosław szepnął Jaksie, iż pani matka chce z nim mówić na osobności. Niepomału zdziwiwszy się temu Jaksa, z wielkim pośpiechem ze Światosławem poszedł, który bocznymi drzwiami wprowadził go do świetlicy samej pani.

Izba była tak bogato strojna jak te, w których ona gości przyjmowała; tu ona z córką i służebnymi robotami się zajmowała. Stały więc wśród hodowanego kwiecia różnego krosna ogromne s oponami na nie naciągnionemi, po których motki i kłębki leżały porozrzucane. W jednym rogu stał do tkania warsztat, w drugim ławy dla przadek, co krasną wełnę purpurową snuły. W izbie nie było nikogo oprócz pani Petrkowej, która teraz, gdy zrzuciła

plaszcz, a okazała się w sukni obciślejszej, z głową odkrytą, na której małe tylko czółko miała, jeszcze jako wielce urodziwa niewiasta z niejedną młodszą mierzyć się mogła.

Wdzięk jej i to podnosiło, że o nim wiedząc nie zaniedbywała się, strojna chodziła zawsze, i nikt jej nigdy opuszczoną nie widział. Przy córce nawet, która zdała się nierozkwitłym dziecięciem, poważna pani w pełni dźwięków stawała nie lękając się przyziemienia.

Ręce znać umyślnie, jak to zwykły były już onego czasu księżne i panie czynić, hodowała wybielone, miękkie i okryte pierścieniami okazywała na jaw, aby widzieli wszyscy, że niemi pracować nie potrzebowała jak inne niewiasty. Nigdy Jaksa nie widział pani tak poważnej a razem tak wypieszczonej, tak zda się stworzonej do tego tylko ażeby w miękko wystanym teremie, dumiała i śpiewała za kratą. Smutek pański dumny jakiś oblewał lice jej białe, przejrzyste, trochę znużone, pociągające cichego bólu jakiegoś wyrazem, odstręczające wnet chłodem.

Gdy Jaksa wchodził, w drugim rogu świetlicy stała jeszcze poprawując złotych włosów Błogosława — ale natychmiast zniknęła. Spojrzała nań tylko nie sromając się jak na domownika i włosy zgarniając białemi rękami — uszła. Zjawisko to tak było uroczo piękne, że pokłon matce oddając, w tamtą stronę Marek oczy wlepił i patrzył w drżącą zasłonę, jakby się jego powrotu spodziewał.

Błogosława już się nie ukazała więcej, tylko zasłona poruszała się, marszczyła, składała jakby za nią stał ktoś żywy.

Petrkowa z powagą zbliżyła się do Jaksy.

— Jedziecie z moim panem — rzekła do niego — słyszę, że do Wszebora. Bogu wiadomo dokąd, ja muszę wierzyć, że tam gdzie on powiada! Jedziecie z nim, miły panie — powtórzyła głosem powolnym, przedłużając każde słowo, jakby się z niem pieściła —

pozwalam was prosić, abyście mi nad nim czuwali. Ufać wam musi gdy bierze z sobą, do boku, strzeżcież go, proszę. On sam nieostrożnym jest, śmiałym i gwałtownym... Zdrowia swojego nie luluje, ludzi nie szczędzi ni w słowie ni w obejściu. Patrzcie, proszę, aby mu się co złego, przez prędkość jego nie stało.

Ile razy odjeżdża w trwodze mnie rzuca, nie mam tu nikogo krom niego, ni brata, ni ojca! Pilnujcież go dobrze, proszę, a strzeżcie.

To mówiąc popatrzała na stojącego młodzieńca oczyma niebieskimi, w których coś było wejrzenia córki i wdzięku jej.

Zdjęła piękna pani pierścień z palca z okiem dużem, i poczęła okręcać w rękę trochę zakłopotana.

— Wiem, że to wam niepotrzebne — odezwała się wyciągając ku niemu — bo wy swoich klejnotów dość doma macie, ale, byście o mej prośbie pamiętali, proszę weźcie go odemnie.

— Miłościwa pani—odpowiedział Jaksza — i bez pierścienia przykazania waszego nie zabył bym pewnie.

Białą ręką, którą ucałował, wcisnęła mu pierścień, uśmiechnęła się smutnie, westchnęła i dodała:

— Pan mój gorący jest w gniewie, hamować go trzeba, w szyderstwie wstrzymywać, ale dobrym w sercu jest i lada wejrzenie pamięć mu przywraca. Strzeżcie mi go, a powracajcie z nim zdrowi, abym wam dziękowała.

Sama potem Petrkowa rękę mu dała do pocałowania, a gdy oczy ku zasłonie zwrócił, ujrzał ją uchyloną, i w niej piękną twarzyczkę, która mu skinąwszy na pożegnanie, znikła.

Nie mówili do siebie słowa, nie znali się prawie, a może już się kochali. Tak się za owych czasów niema miłość rozpoczynała, często długo podsycala tylko oczyma, wejrzeniami tłumaczyła, i w ciszy tej dorastała do takiej siły, że gdy potem ludzi dwoje co

do siebie nie przemówili słowa, zbliżyć się mogli, nie potrzebowali już wyrazu—padli sobie w objęcia, pewni, że oczy ich nie kłamały.

Niewieście wstyd było z obcym mężczyzną mienić słowa, ale oczom otwarte drogi, im wolno wszystko. Przez długie lata mogły żywić ogień, który za pierwszym wybuchem spotkaniem, tak gwałtownie, że go nawet niewieści wstyd powstrzymać już nie zdołał. Dziś na słowa roztopia się miłość, rozwiewa, stygnie, oziębia i niemi na cztery wiatry leci. Oni inaczej bywało!...

VIII.

W komnacie Zamku Krakowskiego, na złocem krześle, siedziała lat średnich pani, wzrostu, jak na niewiastę, wyniosłego dość, twarzy przeciąglej, oczu czarnych, cery żółkłej, ni piękna ni brzydka, ni młoda ni stara, z wyrazem gniewnej dumy na czole i w wejrzeniu. Strojna była w powłoczyste szaty jedwabne, bogate, tak jak się ubierają niewiasty, które o wdzięku swym nie myślą, albo oń nie dbają, lub go nie rozumieją, bo wiedzą że mają go czem zastąpić.

Szata zsuwała się jej z jednego ramienia, włos rozplątywał na jednej skroni, pas schodził z bioder, płaszcz opadał — nie się ją to nie zdało obchodzić. Chude, kościste ręce, z pod długich wystające rękawów, prawie męzkie miały kształty; noga, co się z pod rąbka sukni wysuwała, była duża, płaska i silna. Coś męzkiego miała w rysach, ale brzydką nie była. Gdy twarz jej zapalała ogniem, oczy się za-

iskrzyły, usta ścisnęły, gdy nakazując wyprostowała się dumnie, chcąc okazać swą siłę, jeśli nie wdzięku, nabierała mocy jakiejś, której się oprzeć było trudno.

W wejrzeniu jej oczu, naprzemian to gorącość jakaś niecierpliwa, to wzgarda, to straszna дума przeblyskiwała. Ruchy miała majestatyczne, jakby wyuczone, a jednak żywe i gwałtowne.

Była to księżna Agnieszka.

Naprzeciw niej, na ławie okrytej, z rękami założonemi siedział mąż jej ks. Władysław. Osobliwy miał w tej chwili wyraz twarzy, która się często zmieniała, znekany, zrezygnowany, zastygły. Oczy zwracał to na małżonkę, to na ziemię, to niby szukał niemi niby po ścianach, znaleźć nie mogąc. Zapatrzywał się pilnie w gwóźdź błyszczący u krzesła księżnej, w ścianę, w okno, unikając spojrzenia na żonę. Dwoje ich widząc tak razem, nie potrzeba było wielkiego wróżbity, by odgadnąć kto z nich rzucił a kto słuchał, kto był czynną siłą, a kto biernem narzędziem. Zahukany książę, czasem miał błyski własnej woli, ale ta rychło odparta chowała się do głębi. I w tej chwili wytrzymywał napaść gwałtowną.

— Wahasz się jeszcze, wahasz zawsze?—wołała księżna Agnieszka, rzucając się na swem siedzeniu — a czas upływa najdroższy! Trzeba poczynać, a śmiało! Król ojciec twój zdał ci nad państwem zwierzchnią władzę, kędyż ona?... Ty nie masz żadnej. Tyś sam jeden, ich czterech, niech popodrastają, wzmogą się, obalą cię i wygnają.

— To nie może się stać — rzekł Władysław — nie może nigdy!

— To się stanie, jeśli się ich nie pozbędziesz zawczasu!—wołała księżna. — Nie chcę cię znać, nie chcę się zwać twoją żoną, jeśli nie masz panem być, a na łasce panów braci siedzieć udziałowem książątkiem. Poszłam tu, sądząc, że królować będę, nie słuchać! Wstyd mi! srom mi!

Książę milczał trochę.

— Stanie się po twojej woli—rzekł—gotuję się! Nie mogę sam wystąpić; czekać muszę.

Spojrzał ku niej, jakby litości błagając. Agnieszka powstała z krzesła, stanęła na podnóżku, wyciągnęła rękę do męża i poczęła głosem gniewnym:

— Gnuśnik jesteś! do niczego! kądziel ci prząść, nie berło trzymać. Gdyby nie ja, siedziałbyś bezczynny w koźnie, lub krył się po lasach, nie myśląc o sobie, aźby cię bracia wygnali.

— Bracia! bracia! — powtórzył książę obojętnie.

— Tak, ty ich masz za braci — rozśmiała się Agnieszka — a oni ciebie nie mają za brata. Po ojcu bracia, nie po matce! Co za braterstwo?... Takich samych braci dziadowie twoi sadzali do ciemnie i wyganiaли precz. Co znaczy państwo pokrajane na kawaly?... żywe nie jest; trup to, jak i ty!

— Chcąc to uczynić, do czego mnie naglisz — odezwał się Władysław spokojnie — mimo woli ojca mego, potrzeba czasu...

— Mimo woli ojca?—podechwyciła Agnieszka. — Ojciec chciał, ażebyś panował; nie mógł ci powiedzieć: idź i wyżeń ich!... ale ci dał stolicę i prawo pierworodztwa, któregoś sam użyć powinien, jeżeli mężem jesteś!

— Użyjemy tego prawa, użyjemy, zaprawdę — odparł Władysław, głowę spuszczaając — trzeba czasu tylko, czasu. Nie w porę poczęta sprawa, w niwecz pójdzie.

— Nie w porę? Pora dawno minęła! — zakrzyknęła księżna. — Dnia, godziny niema do stracenia.

Książę nieznacznie drgnął ramionami, rozstawił szeroko dłonie, i milcząc, pottrzymałszy je tak chwilę, zaciśnął rozpaczliwie.

Agnieszka widząc tę obojętność, już się na krzesło utrzymać nie mogła; skoczyła z podnóżka, zaczęła chodzić, suknię powłócząc za sobą, miotając rękami, rzucając rękawy.

— Al! — zawołała z goryczą — zaprawdę mi wstyd,

żem ja, cesarska siostra, szła za ciebie, coś się na parobka rodził, nie na króla!

Książę głową tylko poruszył, z piersi coś mu się jak jęk wyrwało.

— Ja tego upokorzenia nie strzymam — ciągnęła dalej — ja porzucę cię! ja tak żyć nie mogę! Azali ty oczów nie masz, że oni ze swą matką, z Palatynami, z Biskupami spikali się i spikują na ciebie? Czekaćli masz, aż cię, upatrzwszy chwilę, rzucą i wygnają precz? A, to nastąpi! to przyjdzie! gdy my ich nie uprzedzimy. Silniejsi są niż ty i rozumniejsi niż ty, przezorniejsi niż ty.

Pod gradem tych wyrzutów książę siedział ze spuszczoną głową milczący, jak człowiek co się niema gdzie schronić przed ulewą; spoglądał czasem w okno, jakby na pomoc wzywał kogoś, stękał, rozpościerał ręce i składał, ruszał się jak do wyjścia i siedział. W ostatku dopiekło mu znać, za głowę się pochwycił.

— Dość że już! — zawołał — dość! Czynię co mogę, czynię co chcesz, a jeśli to źle wyjdzie tobie i dzieciom naszym, nie ja winien będę, nie ja, Bóg mi świadek!

Agnieszka przyskoczyła doń ze śmiechem szyderskim.

— Źle nie wyjdzie, gdy mnie posłuchasz! Śmiało, z góry, nie zwłócząc uderzyć na nich potrzeba.

— Niechże nadejdzie Ruś! każdej godziny się jej spodziewam — rzekł książę.

— Nim ona przyjdzie, ślij do nich — przerwała Agnieszka — aby się poddawali. Gdy Ruś przyjdzie z Połowcami uderzymy na krnąbrnych, dziś ze swemi już poczynać można i trzeba.

— I nim tamci w pomoc pośpieszą, oni się zwalą na mnie! — rzekł Władysław, głową potrząsając.

— Zwalą się, jeśli cię poczuja wahającym i bez siły; zlekną się, gdy okazesz mężstwo. Ja niewiastą jestem, a nie zlekłabym się ich... ja! a ty!

Plunęła na ziemię. Wtem u drzwi kroki sły-

szec się daly; księżna obróciła głowę, poznała już kto szedł i lice się jej rozjaśniło.

Na próg wchodził, bez oznajmienia i pokłonu, Dobek, jako domowy, poufały sługa. Wejrzeniem zmierzył księcia i księżnę, poznając z rozognionych twarzy, co się tu odprawiało. Agnieszka wzrokiem dała mu znak jakiś niecierpliwy.

— Poselstwo przybywa — mruknął szydersko — ho! poselstwo nielada! — rozśmiał się cicho. — Palatyn Petrek z półtorasta ludzi, jak udzielny książę, raczył nawiedzić pana naszego. Zajechał sobie do miasta na biskupstwo, i oto przysyła pytanie, azali może czołem uderzyć?

Na wspomnienie Petrka rzuciła się księżna, książę drgnął i z siedzenia wstał, ale czekając na to co powie małżonka, ust nie śmiał otworzyć.

— Ciekawam, z czemże tu przybywa? — odezwała się Agnieszka — bo że z pustym pokłonem i podarkami nie zjechał, to pewna! Wszak to przecie opiekun książąt młodych, ich prawa ręka, nieboszczyka króla powiernik, on, co z biskupy tea głupi testament układał... Bo to jego sprawa! Przyszedł podpatrywać, co się tu dzieje?

Dobek przypatrywał się z głową spuszczoną znów siedzącemu panu, który milczał. Agnieszka się też zwróciła do niego.

— Gościa takiego od wrót odegnać się nie godzi! — zawołała. — Ale ja panu memu z nim sam na sam rozmawiać nie dam! Petrek mądry robi z nim co zechce! Niech przybywa, będziemy go przyjmowali oboje. Zobaczymy, co zaśpiewał!

Nogę na nogę założywszy, Dobek stał czekając w progu, o ścianę się oparłszy wygodnie, jakby tu nie sługą był, ale panem. Z pod oka spoglądał na księcia, wyzywając go do odpowiedzi.

Książę, na chwilę poruszony, znów popadł był w obojętne milczenie i zadumę.

— Na odpowiedź czekają — odezwał się Dobek.

— Niech przybywał—zawołała księżna. — Dla czegoż odkładać, a z poddanym się nosić, jakby on tu jakimś panem był? Toć sługa, niech się stawi!

— Niech się stawi — zamruczał książę chłodno.

Dobek popatrzał jeszcze na pana, potem wejście zamienił znaczące z Agnieszką, która pogardliwie ramionami ruszyła, i wyszedł zwolna. Za ledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy i książę wstał, chcąc odejść. Wyciągnął się, w okno spojrzał i wolnym krokiem, kołując, niby od niechcenia zmierzał do drzwi.

— Zostaniesz ze mną, tu, sama nie chcę przyjmować Petrka, a wam go też samemu widzieć nie dam.

Książę zawrócił się i usiadł pomrukując. Zamilkła małżonka. Mileczenie to dolegało widać księciu, gdyż po raz drugi wstał i ku drzwiom zmierzał, a choć Agnieszka zawołała nań, nie odwrócił się. Doszedłszy do nich, otworzył podwoje, wychylił się napwół i do stojących komorników zawołał:

— Janko! a psy moje jadły?

— Karmione.

— Dawano już ptakom?

— Tylko co żer miały.

— Nosi Rabczuk Kobuza? żeby mu spać nie dał.

— Poszedł z nim gdzie największa wrzawa — odparł zapytany.

— Książę ziewnął.

— Idź mi chorego konia zobacz, co mu dził nogę przeciał.

To powiedziawszy zamknął drzwi i na ławę padł, wyciągając się i ziewając; księżna chodziła niecierpliwa, rozgorączkowana. Okna izby dawały na podwórze zamkowe, aż ku głównej bramie. Właśnie się z niej wychylał orszak Petrka, na którego czele jechał pułkownik we zbroi świecącej, z buławą żelazną w ręku, której głowa ostrzami koleczystymi nasadzana była. Na hełmie u góry śpiczastym miał pęk

piór, a koń poh nim szkarłatem okryty, stapał dzielnie. Za nim po trzech jechała drużyna, wszystka we zbrojach i koleczugiach, a z mieczami u kolan; chorągwy ze znakami, dworzanie, za niemi sam Petrek, którego poznać było trudno, kto go tylko doma widywał.

Ten, co powszednich chadzał dni w lada jakiej siermiedze, strojny był i po książęcemu odziany. Szyszak miał na głowie złożony, płaszcz obramowany purpurą i złotem, ostrogi długie, złociste, szaty spodnie przetykane niemi złotem, świecił cały od tego złota. Koń pod nim szedł siwy, gruby, silny, stając jak w tańcu, przerzucając nogami i żelazo w pysku przeżuwając niecierpliwie.

Okolo wnijsia dworca w jednej chwili zrobiło się tłumno, bo kto żyw biegł patrzeć na orszak Petrka, a księżna się odezwiała:

— Patrzo, patrz! ty tak nie możesz wystąpić jak ten włóczęga, co się krwią i zdradą zbogacił! po chlebstwem ojcu waszemu w łaski wkupił! Hultaj! umyślnie się tu tak pysznie stawi, aby nas wstydził i upakarzał! Za to jedno by głowę dać powinien!

Książę spoglądał ciekawie, ale wcale po nim znać nie było, ażeby tak bardzo brał do serca wspamiętałość orszaku Palatyna; widok ten bawić się go zdawał.

— Konie, psy, sokoły ma doskonałe, to prawda! zamruczał cicho.

Agnieszka się uśmiechnęła, poszła krokiem powolnym do krzesła swojego, usiadła na niem, układając twarz i szaty, marszczyła brwi, gniewną była.

Księżciu, siedzącemu na ławie, wskazała obok siebie siedzenie. Dobek, jako marszałek, z łaską pozłocistą w ręku, gościa do drzwi prowadził.

Petrek wszedł poważnie, zwolna, naprzód się panu nisko do ziemi pokłonił, potem Agnieszce już nie tak pokornie.

Wybąknął kilka słów powitania, a gdy Władysław nader uprzejmie począł go pozdrawiać, uśmie-

chając mu się, szepnął, że dla ważnej sprawy radby mieć posłuchanie.

Księżna to usłyszawszy, wskazała Dobkowi i komornikom, aby ustąpili precz, dwór też Petrką pokłoniwszy się, odszedł do pierwszej izby. Zostali sami.

Petrek jeszcze się wahał, czy miał mówić.

— Miłościwy panie—odezwał się do Władysława — sprawy ziemi naszej główne przysłałoby na osobności odprawiać.

Zaledwie dokończył, gdy księżna z twarzą zacierwienioną, podnosząc się z siedzenia zakrzyknęła:

— A jam ci to co jest? Przecie dzielę z księciem stolicę i panowaniem!

— Tak, miłościwa pani — rzekł Petrek — ano w sprawach męzkich niema u nas zwyczaju, aby niewiasty uczestniczyły, dopóki nam Bóg pana zdrowego i żywego chowa. Z nim by nam mówić sam na sam przysłało. Gdyby, co niech niebo odwróci, odjął nam go Bóg, tak samo bym do miłości waszej, jako do paniej szedł i jej słuchał.

Władysław w czasie tej mowy twarz miał jakoś tak dziwnie ułożoną, iż poznać po nim trudno było, czy to pochwalał, czy ganił. Agnieszka piorunujący wzrok rzuciła na zuchwalca, i zerwawszy się z siedzenia, milcząc, wybiegła z komnaty.

Łatwo się było domyśleć, że pozostała niedaleko na straży.

Petrek dumał chwilę.

— Miłościwy panie—rzekł—nie od siebie ja tu przychodzę, ale ode wszystkich ziem twoich, strwożonych bardzo. Mówią i głoszą a roznoszą wszędzie, że chcecie złamać wolę nieboszczyka ojca, której ja byłem żywym świadkiem. Nie tajno, że wojnę zapowiadacie braciom. Panie miłościwy, przychodzę was błagać, abyście tego nie czynili, przez miłość dla ojca pamięci przez miłość dla was i dla dzieci waszych...

Książę słuchał jak osłupiały; widać było, że się

kogoś po za sobą lękał. Wodził oczyma, nie pewien był co powie.

— Jeżeli się co ziści czem nam grożą — dodał Petrek—będziecie mieli, nietylko braci przeciwko sobie, ale ojców pasterzy duchownych i ziemian wszystkich.

Władysław coś niezrozumiale pomrukiwać zaczął.

— Hm? A któż to te wieści roznosi?—rzekł—kto to wam mówi o tem?

— Na okół wszyscy wiedzą żeście ślali na Ruś o posiłki—odezwał się Petrek.

Władysław głową dał znak potwierdzający. Namyslał się jeszcze. Po za nim stała żona, która go słuchała pewnie.—Począł zwolna i oziębło.

— Ale bo, tak jak jest to nie może trwać! nie—nie może. Ja tu sam powinienem być panem—a nie jestem niczem. Panowie bracia się zjeżdżają, radzą, spiskują, chcą mnie wygnąć a dzielnicę krakowską zagarnąć.

— Miłościwy panie!—zakrzyknął gorąco Petrek, zaprawdę fałsze wam donoszą. Głowę moję stawiam na to. Bronić się chcą książęta młodzi a nie napastować, nie wam grozi zagłada ale im.

Władysław głową wstrząsnął.

— Król ojciec, odezwał się, nie na co innego dał pierworodnemu Kraków tylko na to ażeby panował. Ja chcę panować—i będę.

Mówił to co go wyczerpało, ale tak oziębło, jakby go niewiele panowanie obchodziło, iż pilno mu było tylko co rychlej nudną dokończyć rozmowę.

— Petрку mój—dodał—dość już tego, dość—ty ze mną nie z niemi trzymać powinienes! Rozumiesz, tyś mój!

— Jam wasz! wasz! miłościwy panie — podchwycił Palatyn, alem wprzód poprzysiągł ojcu waszemu że jego woli ostatniej spełnienia będę pilnował i strzegł. Wolą jego było, ażeby każdy z braci na

swej dzielnicy spokojnie siedział. — Nie narażajcie się, miły panie, na nieszczęście. — Biskupi szemrzą i grożą — duchowieństwo mieć będziecie przeciw sobie!

Władysław poruszył się niespokojnie, Petrkowi dał znak ręką aby zamilkł, a ruch ten był jakiś tak dwuznaczny, iż Palatyn zdziwiony umilkł na chwilę. Nagle zasłona się podniosła, odrzucona gwałtownie i gniewna wbiegła Agnieszka. Nie spojrzała na Petrkę ale na męża.

— Dość tej rozmowy — zawołała — dość! z poddanym się mówi jedno — tak chcą! tak ma być! Nie spiera się pan ze sługą! Słuchać powinien podwładny! Kto panuje ten się nie tłumaczy z tego co czynił! Dość rozpraw! Uczynicie co się wam zda — kto nie rad, niech głowy strzeże!

Mówiąc to chwyciła męża za suknię i pociągnęła go za sobą, książę się zwrócił do Petrkę, jakby chciał rzec — widzisz żem niemocen? Cóż pocznę?

Palatyn jak stał, skłonił się mileżąc i wyszedł powolnym krokiem. Zaraz w progu drugiej izby spotkał czyhającego już nań Dobka, który oburącz się w boki wzięwszy, z góry nań spoglądał i śmiał się usta przekrzywiając. I on i służba, widąc wyuczona szydziła i przedriewiała półgłosem — tak że Petrek słyszeć mógł, iż z niego żarty czyniono. A, choć człek poryweży, hamować się musiał, gdy trzeba było pogardą zbyć niższych od siebie.

Przez całą drogę do wyjścia, jakby z rozkazu stojąca gawiedź dworska szeregiem, przepuszczała idących przez różgi złośliwych i obelżywych wykrzyków.

Petrek zdawał się nie słyszeć nic — chciano go, znając, wyzwać i zmusić aby się porwał, Dobkowi ludzie, nasadzeni w znacznej liczbie, byliby go zgnieśli i w rozruchu zabili może.

Ale Palatyn ani patrzył na nich, ani chciał wiedzieć, Jakę sobie do boku zawołał i głośno z nim

mówiąc, głuszył wołania gawiedzi. Dobkowi, jakby go nie postrzegł, ani ruszył głową, minął jak służalca. Wolnym tak krokiem dobił się do ganku, kędy konie stały, a choć hukaniem i śmiechami za nim goniono, ni drgnął, ani okazał że wie o tem.

I znowu tak samo jak przybył, z orszakiem w porządku, z pułkowszcą na przodzie, ze znakiem, z wspaniałością i powagą, pociągnął ku wrotom zamkowym, głowę pysznie podnosząc do góry. — Zjeżdżali z Wawelu, a jeszcze na wałach śmiechy słyhać było i wołanie — Rabów syn! Porabek! Zbój! i t. p.

Jaksa bladł, to czerwieniał słuchając. Trudno, się było utrzymać nie dobywszy miecza, ano sam Petrek hamował. — Babska to sprawa! Ja z babami nie wojuję! Książę tak utrapiony jako ja, niewiem nic. Cierpliwości! przyjdzie godzina że się tego pomściemy. Dziś nie pora!

Mówił spokojnie a drgał cały na siodle, pot mu się lał z czoła, rozum brał górę, choć w pierśiach gniew wrzał straszny.

— Nasz książę niewinien — powtarzał — ja go znam! Ale i niewinni pokutują! Gdy wichur lby zuchwiałym dębom zrywa w lesie, padają i pokornie!

Tak miarkując się dojechali na biskupstwo, a Petrek [z konia zsiadłszy na ławie spocząć musiał w podwórzu, nim poszedł dalej, tak mu nogi podcięło.

— Niema już ratunku! — szepnął — niema!

Poselstwo speliło na niczem, i dłużej tu trwać nie było po co. Petrek z rady biskupa Ruperta postanowił jeszcze duchownych i ziemian zwoławszy, wyprawiać ich do księcia, choć sam wątpił aby i to mogło skutkować.

Nazajutrz szaro jeszcze było, Palatyn spał, gdy Jaksa, który czuwał nad nim, zbudził go. Chłopię jakieś niepozorne przybiegło z zamku, opowiadając się, że posłane było od księcia. — Zadziwił się tajemnemu poselstwu Palatyn.

— Miłościwy pan, przysłał mnie, szeptało drżące pacholę, ażeby wam oznajmić: że wyjedzie wkrótce na łowy wielkie, a może z tych łowów i do was, do Wrocławia nawróci, abyście się go spodziewali.

Potajemne to oznajmienie, pocieszyło nieco Petrkę; rozmyśliwszy się jednak, po odejściu chłopca, który dostał dar książęcy — rzekł sobie w duchu.

— Biada już tam, gdzie się potajemnie przejednywać trzeba, jawnie poważniejszy, z obawy jednej niewiasty!

Na niewiele się łowy przydadzą!... Tegoż dnia Petrek, już na zamek nie zaglądając, z całym swym orszakiem, o białym dniu, pod znakiem po podwałami zamku przeciągał, nazad wracając do domu.

Nie było już żadnego więcej niebezpieczeństwa, gdy tedy za Kraków odjechali, Jaksa sobie starego przypomniawszy Zaprzańca, zapragnął go na zamku jego odwiedzić.

— Miłościwy panie — odezwał się do Petrka, obok którego jechał — jeżeli ja wam niepotrzebny, w drodze, radbym ztąd wskoczył do Pieskowej Skąły, bom się tam obiecał staremu, którego i wy znacie. Pokłon mu należy od młodszych, bo dużo cierpiał i od losu i od swoich.

— Zaprawdę! — zawołał Petrek — dobra myśl, ale i jam rad nawiedzić Żegotę. Weźcież i mnie z sobą? Najedziemy go w jego gnieździe na wyżkach. O owej górze i grodzie nasłuchiwałem się wiele, a w oczym ich nie widział jeszcze.

— Królewskie grodzisko, tylko je sobie Zaprzańiec u nieboszczyka Krzywousty wyprosił, że mu je puścił, aby sobie na odludziu jak pustelnik siedzieć mógł, a w majętności własnej o braci się nie ocierać.

— Jedźmy do Zaprzańca!

Ochoczo bardzo myśli tej uchwycił się Petrek, ale, wedle obyczaju swojego, rad był zaraz i zbyt-niego się zbyć orszaku i owych sukni paradylnych

i wszystkiego co go otaczało i co mu ciążyło. Kazawszy więc ciągnąć pułkówódzcy swemu z końmi wprost do Wrocławia, sam z małym pocztem, w kilka koni, z Jakszą, nawrócił w dziką ową dolinę, wśród której im Pieskowej Skąły szukać było potrzeba.

W owych czasach kraj to był daleko jeszcze pustynniejszy niż dzisiaj, choć niemniej piękny. Ludzi owego wieku raził on dzikością swoją.

Do koła stały lasy nieprzebyte, nietknięte siekierą, gąszczami zbitymi podszyte, ciche, milczące, straszne, zaludnione zwierzem i widmami. Osady w okolicy były rzadkie, a ci co się w nich kryli, niegościnni dla podróżnych, zuchwali i niebezpieczni. — Po pieczarach mieszkali zbóje, którzy wybiegali na gościńce. Dróg najczęściej potrzeba było szukać brzegami górskich potoków, głębiami mrocznych parowów. Na stokach gór ledwie dostępne były ścieżyny przez trzody powydeptywane. Zwierza prawie na każdym kroku spotkać było można, bo mu się tu skryć i zbiedz od pogoni łatwo było.

Rzadko inaczej podróżni jak gęsiego jechać mogli, przodem puszczać tego co drogę znał, i za nim ciągnąć po wąskiej, wodami powyrywanej ścieżynie. W miarę jak się ku Sułoszowej zbliżali, góry coraz wyższe, z odrapanami gdzieniegdzie stromymi boki otaczać ich zaczynały. Naostatek wjechali w dolinę, wśród której na stromej górze, a u samego jej wierzchołka gródek się wznosił. Ale ztąd ani go widać było w pośród zarastających drzew, ani rozróżnić od samej góry jakby z kamienia litej.

Naprzód, na straży zamku stojąca, ukazała się im Skąła Sokola, niby słup reką duchów uciosany, oderwany od innych skał, osamotniony i nagi.

Ztąd widać było dróżynę wijącą się ku górze i gródkowi, ale tak stromą, tak ślizgą, że konie na dole zostawiwszy, Jaksa z Petrką i dwójgiem czeladzi, pieszo na nią wdzierać poczęli.

Popsuta przez wody i strumienie deszczowe

ścieżka, pełna złomków kamieni, dziur i wybojów, zużyła ich pochodem, który trwał dłużej daleko niż rachowali.

Nieruchli dostali się do wierchółka. Tu, niewidoczna z dołu brama, oznajmiła im że u celu stanęli.

Z głazów ogromnych nieforemnie zrzuconych zbudowana, gdyby nie wrota w niej osadzone, nie wydawałaby się dziełem ludzkiej ręki, ale jakimś dziwactwem natury.

W bramie stróż siedział jeden, oszczep koło siebie złożony, z trąbą na sznurku, a że mało kto kiedy na zamczysko zaglądał, bawił się strugając sobie coś z drzewa. Niepomału się zadziwił dwu podróżnych zobaczywszy, wstał szybko i za oszczep jakby do obrony ująwszy, cofnął się żywo ku furcie.

Ani się z nim rozmówić było można, tak jakimś połamanym językiem niezrozumiale bełkotał.

Przecież na hałas u wrót wyszedł drugi z czeladzi i przybyłych gości do środka wprowadził.

Miejsce to, na którym później stanął ów sławny zamek Zaprzańców, pustką jeszcze było jak cała okolica. Otaczał je lichy wał, którego do obrony tak skalistej i stromej wyżyny starczyło. Nie było warowni żadnych, tylko pod wałami wewnątrz długie szopy stały, a wpośrodku rodzaj dworu na kamiennym podmurku, z drzewa grubego sklecony.

Zaprzaniec wzniosł wśród tych zarośli i łomu kamieni, ogromny krzyż drewniany, który ztąd okolicy panować się zdawał. Tu on, świata się wyrzekłszy, żył osamotniony. Gdy bracia się go i rodzina zaparła, mamkę tylko, która go ocaliła, wziął do siebie, a na pogardę rodowi ożenił się potem z prostą, ubożego bardzo ziemianina córką. Tu z nią się zawlókł na pustynię żyjąc, nie jako stanowi jego przystało, ale jako prosty człek, dla siebie samego. Choć majętności odzyskał wielkie i dzierżawę od króla nieboszczyka nadaną znaczną, wsi i osad kilkadziesiąt, choć dochody miał bogate, w okolicy w któ-

rej wszyscy niemal z braćmi jego powiązani byli żyć nie chciał, stronił od sąsiadów, zamykając się na swej skale.

Wymykał się ztąd tylko na łowy, które lubił wielce, albo do dalej mieszkających ziemian jak Petrek, w Krakowskim nigdy przestawać niechęć.

Gospodarstwo się wiodło u Zaprzańca osobliwe, bo on sam wiele świata i ziem widział, wiele się rzeczy napatrzył, siła miał doświadczenia i rozumu, a z prostymi ludźmi najwięcej przestawał, prawiać że z nimi się czuł bezpieczniejszym. Lud też wszelki na okół bardzo go miłował, jak do wodza i obrońcy swojego szedł, we wszystkich potrzebach i dolegliwościach. — Na zawołanie jego nie było biednego człeka, któryby nie biegł wnet, rzuciwszy wszystko, i moi bracia a ich druhowie musieli się go obawiać.

Gdy na zamek weszli, zastali Zaprzańca z żoną siedzącego na ławie u drzwi tej szopy, która dworzec ich stanowiła. Żona przy nim wyglądała gdyby córka, bo była młodą i hożą; dwoje dzieci bawiło się przy nich w jednych koszuliniach, boso między kamieniami i krzakami biegając.

Ogromne psy, wśród których dzieci bezkarnie się zwiły, zobaczywszy obcych, rzuciły się na nich całą czeredą i gdyby ich nieodwołano i nieosmagano, jak dzikim, drapieżnym zwierzętom, trudnoby się im obronić było.

Żona odziana była jak prosta wieśniaczka, ale w cienką bieliznę, bursztyny i korale, namitkę białą miała na głowie i fartuch przypasany, jak do roboty. Wstała silna niewiasta i popatrzywszy trochę, wnet się skryła do wnętrza, zostawiając męża z gośćmi samego.

Petrek przodem szedł witać, którego równie jak Jakse, poznawszy zaraz gospodarz, rękami otwartymi przyjmował.

— Bądźcież mi pozdrowieni, wy coście się skłóty mej nie ulekli! — zawołał.

Poczęła się tak rozmowa w podwórzu zaraz i zaprowadziła ich do wnętrza. Dwór wewnątrz na kilkoro części był podzielony, w lewo do swoich izb powiodł gości Zaprzaniec. Izby niskie były, okopce, a niepozorne, z ławy kamiennymi i ogniskami wpośrodku. Sprzętu w nich widać było mało i proste, przybory do łowów, rybołówstwa i jazdy. Dopiero w osobnej komorze, którą Żegota swoją nazywał, mieli się czemn przypatrzeć. I ta nie była wytworną, ale tu zgromadził gospodarz owoce swoich długich wędrówek po świecie, odzieże osobliwe, tarcze, miecze, noże, łuki saraceńskie, normandskie, gallijskie, włoskie, greckie i na dalekim używane wschodzie. — Misternie wyrabiana stal ze złoceniami, rogi różnych zwierząt osobliwe, skóry i futra nieznanych bestyi, pióra ptaków jak gdyby malowane, oponcze z tkanin ciężkich, wszystko to okrywało ściany i zwracało oko, tak że się tych bogactw napatrzeć nie było można. A miał na każde zapytanie o te łupy odpowiedź gotową Zaprzaniec, jak i gdzie ich dostał i czem je opłacił.

Więc Petrek szczególnie, który choć sam się w zbytkach nie kochał dla siebie, ale wszelkiej rzeczy ciekawy był, nie mógł się nasycić oglądaniem skarba tego.

Szczęściem dla Zaprzańca, gdy do kraju przybywał a w ręce braci popadł, wszystkie te zdobycze jeszcze w miejscu bezpiecznym złożone były.

Nagadawszy się o dalekich podróżach Zaprzańca, który w małym kole, rad o nich rozповідаł i ożywiał się starymi wspomnieniami; mowa się zwróciła na teraźniejsze czasy. A że Petrek nie tał, iż z Krakowa od księcia powracał, Żegota go zapytał coby wiozł z sobą, nadzieję pokoju czy groźbę wojny?

— Wojny! wojny! — odparł Petrek wzdychając — a wojnie tej kądziel zamiast buławy będzie hetmań — książę pono nie bardzo jej chce, ale cesarska siostrzyca gwałtem pragnie zdobyć sobie koronę. Cała

nadzieja nasza, że gdy się od kądzieli pakuły zapalą, rychło spłoną.

— Mylisz się, miły bracie — odparł Żegota — najupartsza to wojna, gdy w niej niewiasty żołnierzami. Za podwiką idą szalejąc mężowie, a gdy sami nie poczynali nie będą też wiedzieć, kiedy kończyć. Niewiasta zaś nieublagana jest i nienasycona.

IX.

Na krakowskim zamku kipiało i gotowało się teraz, jak w kotle na ognisku, a co tam przysposobiano nie było dla nikogo tajem, bo o tem trąbiono na cztery strony świata.

Wyjeżdżały stąd ciągle poselstwa i przychodziły posły z dalekich krajów. Jednego dnia jechali z Rusi w kożuchach sobolowych bojarowie, z kołpakami wysokiemi na głowach, drugiego rycerze zbrojni, zakuci w stal przybywali od Cesarza, którego nieustannie o posiłki i poparcie błagała siostra przyrodnia.

Jednych tylko nie widać było ziemian i starszyzny własnej, ani pasterzy i duchownych, którzy od niejakiego czasu widocznie stronili od książęcego dworu. Nawet ci, których powoływano nie radzi się stawili.

Z książąt braci Władysławowej, przyrodnich, osadzonych przez ojca na dzielnicach w Sandomierzu, Płocku, Poznaniu, zdawna się tu żaden nie zjawił, wiedzieli bowiem, iż tu im bezpiecznie nie było. Z każdym dniem rosła trwoga ogólna, gdyż wybuch, który gotowała ks. Agnieszka zdawał się przybliżać

i co chwila się wystąpienia jawnego ks. Władysława spodziewano.

Obojętnem i zastygłem na pozór okiem patrzył na to sam książę, nie opierając się, niewiele mieszając, chyba, aby spełnić żony rozkazy, bo się im oprzeć nie umiał.

Ale bywały na niego chwile odmienne, w których zdawał się brać do serca sprawę całą, ożywał, mówił o niej gorąco. Trwało to jednak krótko i potem znowu w odrętwienie swe wpadał, lub nawet próbował opierać. Trudno go było zbadać, co w duszy nosił, gdyż na przemiany chwytął przeciwne przekonania i zarówno prędko je rzucał. Dla świętego spokoju w domu, dawał zresztą żonie czynić co chciała.

Po odjeździe tak szybkim Palatyna Petrka, gdy się wszyscy spodziewali przytrzymawszy go dłużej, wymódził coś na nim groźbą lub łaską i pociągnął z sobą, Dobek jako oznakę buntu, począł postępowanie jego wystawiać.

Nazajutrz po odjeździe jął księciu przy Agnieszce dowodzić, iż Petrek jeden wszystkiemu winien był, że on innych do oporu miał pobudzać, on głową i sprawcą spisków był, czyniąc się ostatniej woli króla Krzywousty stróżem i wykonawcą.

Książę słuchał cierpliwie, ale nie dał po sobie poznać co myślał. Chwilami potakiwał, to głową potrząsał milezący.

Agnieszka dopomagała w tem ulubieńcowi, aby Petrka zohydzić i obwinić.

Przez dni kilka nie słyhać nie było, tylko te nawoływania przeciwko Petrkowi i namowy do pozbycia się go co najrychlejszego. Książę Władysław mileżał ciągle. Dano mu w ostatku pokój, widząc, że ani przeczy ni zezwała. Dobek sam z księżną gotował się wystąpić przeciwko młodszej braci. Ruś i Połowie mieli już być w drodze, obiecywano codzien.

Upłynęło tak dni kilkanaście, jesień coraz chłodniejsza nadchodziła, liście zmrożone opadały z drzew,

wiatr zawiewał z północy, książę Władysław, który łowy lubił wielce, może dla tego, że wyjechawszy na nie głowę miał spokojną, wybierał się z całem myśliwstwem swem w lasy. Dobek zawiadomiony o tem, gdy już wszystko było w pogotowiu, wpadł do księcia.

— Miłościwy panie — zawołał żywe — gdzie tu czas do łowów. Tu nie o łowach myśleć trzeba. Z domu się wam nie godzi oddalać. Każcie ludziom przygotowania te odwołać. Nie możecie jechać!

Władysław spojrział nań namarszczywszy się.

— Wczoraj mi moi ludzie przynieśli wiadomość — dodał Dobek — że Petrek ziemian zwołnje i biskupów, że ich tu nasyła na was, aby oni się pokoju i bezpieczeństwa dla młodych książąt domagali. Ponabechtywał co najznacniejszych żupanów wojewodów, duchownych, nie z jednej, ale z wszystkich dzielnic. Tylko co ich nie widać. Wasza Miłość musisz sam tu być, gdy przybędą, przyjąć ich i dać surową odprawę, jak należy.

Tych wyrazów domawiał marszałek, gdy weszła księżna prowadząc dwu synaczków swych, a najmłodszego niosąc na rękach. Dzieci swe książę milował bardzo, na widok ich rozjaśniło mu się lice. Ale nie dla zabawienia go niemi prowadziła je tu księżna, chciała z pomocą ich, widokiem potomstwa męża do śmielszego wystąpienia pobudzić.

— Dobek mówił co się tu gotuje na nas! — krzyknęła głośno — kraj cały przeciwko nam podnoszą. Im bez silnej ręki pańskiej, z temi dzieciuchami lepiej; robią co chcą! Ale ta samowola ustąpić powinna. Patrz na dzieci twel o ich los idzie! Wyżeną nas z niemi, one kawałka ziemi mieć nie będą! Stańże jako mąż, jak król! stań przy swem prawie!

Gdy to mówiła, książę się z synkami bawił, głaszcząc ich po główkach. Starszy go za mieczyk chwytął, młodszy za suknię ciągnął, ten, który u księżnej na rękach był dłonie ku niemu rozpościerał, śmiejąc się.

Władysław uradowany niemi zdało się, że nie słyszał nawet co doń mówiono. Agnieszka oburzona ramionami ruszała.

— Słuchajże przecie! słuchaj! — wołała coraz głośniejsze — przyprowadziłam ci dzieci nie żebyś je bawił, ale byś miał litość nad niemi.

Książę podniósł głowę wreszcie.

— Cóż chcesz! co więcej mam czynić jeszcze?

— Odprawić buntownicze poselstwo jak należy...

Księciu coś błysnęło w oczach, i rzekł żywo:

— Odprawie! zrobię co trzeba! — Zdawał się rozgrzany i pewniejszy siebie...

— Wszystko się gotuje jak było postanowiono; Ruś zjednana, zamki w stanie obrony, ludzie się ścigają, wojnę wypowiem, jeśli się niepoddadzą. No coż więcej! coż może być więcej!

— Myślisz, że się strwożeni poddadzą! — przerwała Agnieszka. — Choćby się nawet ukorzyli na dzielnicach ich zostawić nie można. Co dziś zażegnamy jutro się wznowi, trzeba raz skończyć! Musisz być sam!

Władysław potakiwał głową, Dobek stojący z boku, chwycił zrzętność, aby znów na Petrka podzegać.

— Oniby się odrazu poddali i ustąpili dawno — zawołał — gdyby nie Palatyn Petrek, pierwszy zdrajca, pierwszy wódz do wszystkich buntów. Póki on żyw, nasz pan bezpiecznym nie jest. Tu on króluje, a nie książę.

Agnieszka potakiwać zaczęła.

— Łotr! zbój! przeniewierca! Zgładzić go trzeba, nie dać żyć temu staremu psu, aby nie kasał.

Władysław dwuznacznie głową potrząsał.

— He! he! — rzekł — pies! Skoro pies ma za sobą całą łaję, jak mówicie, toć go zgładzić niebezpieczna, bo się na nas psiarnia mścić będzie wszystka.

— El! damy my rady psiarni, byle tego, co ją prowadzi niestało! — dodał Dobek.

Na tem się rozmowa przerwała, bo dzieci poczęły wołać do matki, aby do izby z niemi wracała, poszedł niosąc jednego Dobek. Książę Władysław popatrzał za niemi i z westchnieniem ciężkiem na ławę się rzucił.

Walkę z sobą odbywał, bezsilnym się czując. Myśliwstwo zapowiedziane odłożone zostało. Trzeciego czy czwartego dnia oznajmiono na zamku, że poczty ziemian zewsząd płynęły do Krakowa.

Niczem to było jeszcze, choć palatyna Wszebora i Ciołków, biskupa Janika i poczty Korabiów, Łodziów, Dolewów, Grzymałów, Cholewów zapowiedziano, gdy w ostatku dał ktoś znać, że i sam ks. Jakób ze Żnina, gnieźnieński pasterz najwyższy, przybywał także.

Ten dzierżył w rękę władzę Rzymu i siłę jego, za nim posłuszni szli pasterze wszyscy; na jego powołanie i ziemianie musieli się tam zwracać, kędy wskazał.

Wściekły gniew opanował księżnę, gdy się o tem dowiedziała, a Dobek począł znów swą piosenkę, że i to nie czyją było sprawą, tylko Petrka.

Powaga arcybiskupa niemal przewyższała księżną. On stał nad wszystkimi ziemiami państwa Krzywoustego, gdziekolwiek był, pierwsze należało mu miejsce; przeciw niemu nikt się porywać nie śmiał.

Trwoga padła na zamek; księżna z gniewu w łzach chodziła.

Przez cały dzień jeden wyglądamo poselstwa napróżno; na podzamczu stały tłumy, rozbijano namioty, ale oczekiwano jeszcze na resztę panów, którzy ciągle się zbierali. Na zamek nie posyłał nikt. Widać było z wałów pozatykane znaki różne, rozbite obozy, kręcące się tłumy czeladzi, ruch na przedmieściach i w mieście nadzwyczajny, a do księcia nikt się nie zjawiał. Dobek posłał na zwiady; przy-

niesiono mu wieść, że na znaczniejszych żupanów naczekiowano jeszcze.

Na zamku tymczasem przysposabiano przyjęcie wspaniałe, nie aby nakarmić i napoić gości, lecz by ich majestatem pańskim olśnić.

Co było załogi na zamku otrzymało szaty, broń, dowódcy i wszyscy urzędnicy dworcy stali w pogotowiu. Niemieckim trybem książęcych dworów postrojona służba, miała okazywać wielkość pańską i siłę. A że pod czas i ruscy posłowie na zamku przebywali i tych w nowe kożuchy i szaty przyoblekano, aby się i niemi pochwalić. Lud to był, choć nie bardzo gładkiego lica, ale srogiego wyrazu i groźnej postawy, dziwnie wyglądający w szatach dostatnich, obok smukłych niemiaszków, prawie po niewieściemu postrojonych. Czekano.

Następnego dnia, przy dźwięku dzwonów kościelnych, ruszył się z biskupiego dworca Pasterz Pasterzy, Arcybiskup Gnieźnieński na koniu siwym jadąc, cały w purpurze i kapeluszu szkarłatnym... Przed nim jadący klecha w komży niósł ogromny krzyż srebrny. Jechali dwaj biskupi u boku jego, dalej archidyakoni i prałaci w szatach i czapkach obrzędowych.

Za nimi dopiero następowała starszyczna świecka, palatynowie, każdy z drużyną i ludźmi zbrojnemi, miecznikami i tarczownikami swemi; wojewodowie mniejsi i dzielnic różnych, naostatek żupanowie i ziemianie wedle zawołania gromadami.

Cały dziedziniec zamkowy zapłynął tym ludem a po bokach strażę książęcą stały szeregi dokola.

Władysław gotował się na przyjęcie posłów w izbie wielkiej, gdzie i sama księżna chciała koniecznie siedzenie mieć przy mężu, choćby trzecie, bo pierwsze obok niego należało z prawa arcybiskupowi, na równi z panującym zasiadającemu. Przed nim niewiasta, choćby się jak Agnieszka chlubiła, że siostrą cesarską była, ustępować musiała.

Wiódł przodem idącego arcybiskupa marszałek pochylony pokornie, choć zły w duszy.

Książdz Jakób, ze Żnina, który w istocie potężniejszym tu był bez wojsk, niż książę Władysław z pułkami i sprzymierzeńcami swemi, późnych lat był mężem, już widocznie nawykłym do rozkazowania, a tak godność swą poważnie niosącym, jakby się do niej narodził. Silny, mężny, patrzył z wysoka, spokojnie na tłumy uginające się pod jego błogosławieństwem.

Na ramionach jego spoczywała potęga naówczas silniejsza jeszcze, choć się z pod niej cesarze wylamywali. Rzym stojący ponad korony i państwa, mający w rękę piorun klątwy i wyłączenia ze społeczeństwa, moc uczynienia człowieka zwierzem bez obrony prawa. Arcybiskup Jakób zdawał się czuć i widzieć, że tym piorunem gruchoczącym władał...

Na widok jego książę Władysław z siedzenia powstał, wyszedł do progu i z pokorą ręką z pierścieniem ogromnym — ucałował. (Były to oznaki godności naówczas tak olbrzymiej wielkości, aby je zdala lud mógł widzieć).

Za księciem, choć niechętnie, poszła uniżając się Agnieszka.

Książę, Arcybiskup, ona zajęli podwyższone miejsca swoje. Ustawiła się dokola starszyczna kołem, ziemianie za nią mnodzy. Drzwi musiano zostawić otworem, bo wszyscy w izbie pomieścić się nie mogli.

Gdy cisza nastąpiła, Jakób ze Żnina zwrócił się do księcia Władysława.

— Miłościwy książę — rzekł — widzisz nas tu gromadnie zebranych nie napróżno. Przychodzimy do ciebie z żalobą, z prośbą, z radą. Wieść chodzi po ziemiach naszych straszna; opowiadają ludzie, że pogan na własnych braci swych i krew swą zwołujesz, że chcesz młodszych wyrzucić z dzieła ich i orężem się dobijać jedynej władzy...

Ojciec twój, miłościwy książę, pobożny pan, był tej ziemi dziedzicem i miał prawo z niej dać dzieciom, co mu się podobało. Wyzaczył działy, oprócz najmłodszego... Należy woli nieboszczyka posłuszeństwo. Nie mąćcie spokoju, nie narażajcie się na stratę tego, co macie, sięgając po to co wam nie należy.

Książę był już zawczasu przez żonę do odpowiedzi przygotowanym; Agnieszka siedziała też tak u jego boku, że mogła mu podszepnąć słowo. Nie godziło się jej odzywać samej, ale czuwała, aby mąż zostawiony sobie, nie uległ i nie ustąpił.

Na licu księcia malowała się chwilę niepewność jakaś, niby srom, że mu zadano winę; potem się ośmielił i począł żywo:

— Nie może być dwu albo wielu panów w jednej ziemi. Oddawna państwo to rozdzielane nie było. Mój ojciec chory, na łożu śmiertelnem uleż podszepł żony, mógł osłabły stanowić jakieś prawa; ale ja mam za sobą prawo tej ziemi pierworodztwa mojego prawa. Jam je od Boga wziął. Ono mówi inaczej. Braciom co słuszna, dam, ale — nie zapieram się miłościwy ojciec i panie, że chcę być tu jedynym i — być nim muszę.

Trochę milczano; duchowni po sobie spojrzeli jakby się nie spodziewali odpowiedzi tak szczerej, i ks. Janik Wrocławski odezwał się pierwszy:

— Powiedzieć, co się pragnie, łatwa rzecz, ale spełnić często trudna. I Bóg i ludzie staną w poszanowaniu woli nieboszczyka; rzeki krwi się poleją, kraj opustoszeje, niewiadomo, kto w końcu zwycięży, a kto padnie. To w mocy Bożej, Wasza Miłość wezwiesz Ruś, bracia sobie pozwą Czechów i Węgrów może, zleje się obca moc na te ziemie i zniszczy je a kopytami zorzą.

Gorzało lice księżnej, która zawołała półgłosem. — Panować będziemy nad pustynią!

Władysław powtórzył te słowa — lecz trwożliwie.

Biskupi spoglądali po sobie, twarz ks. Jakóba ze Znina ani drgnęła, ni się zmieniła najmniej.

— Mieć więc będziecie przeciwko sobie — odezwał się — nietylko braci i ich sprzymierzeńców, ale nas ojców swych duchownych, bo my dopuścić nie możemy krzywdy młodszego rodzeństwa. Jesteśmy jego opiekunami.

W tem książę Władysław, nie czekając podszeptu żony, sam z siebie się odezwał.

— Na życie ani na mienie braci nie godzę, chcę, by mi byli podlegli i posłuszni, by stali podemną. Młodszy są i ojciec mi nazaczył władzę zwierzchnią nad niemi.

Arcybiskup przerwał.

— Nie oprą się pewnie, gdy ich ku obronie powołasz, ale u siebie w domu panami są i zostaną niemi przy pomocy Bożej.

Książę spuścił wzrok na szaty, nie mówił nic długo.

— Stoję przy tem — dodał cicho.

Z pomiędzy świeckich Palatyn Wszebor wystąpił.

— Miłościwy panie — odezwał się — my z prośbami do ciebie przychodzimy. Ulituj się nad nami i krwi niewinnej. Wojnę począć może lada kto, a pożar ten ugasić tylko moc Boża. Od obcych ona straszna, od swoich bezbożna! Zmiłuj się nad nami!

Za nim wszystka ta gromada stojąc w izbie i za izbą, poczęła powtarzać wielkim głosem.

— Zmiłuj się nad nami!

Poschylali głowy jedni, drudzy na kolana poprzypadali.

— Zlituj się! zlituj!

Władysław poruszył się niespokojny, siedząca za nim Agnieszka płonęła takim gniewem, że sromając się go, to sobie twarz zastaniała, to mimo woli miotła rękami.

— Nie waż się ustępować! — wołała do ucha mężowi. — Zastraszycie chęć, boją się sami! Nie widzisz, że się trwożą ciebie i gardzić będą, gdy się im upokorzysz i ulegniesz!

Książę zwrócił się do arcybiskupa.

— Ojciec mój, nie mogę zmienić, co postanowiłem — rzekł zniżonym głosem słabym — niech — niech się dzieje wola Boża! Od braci ja nie chcę nie tylko posłuszeństwa i daniny na znak mej władzy.

— Daniny nigdy nie płacił! — przerwał Wsebor. — Na wojnę, na nieprzyjaciela pójdą wszyscy, ale w domu, czasu pokoju każdy pan udzielny.

— Tu niema innego pana, tylko jeden! — wybuchnęła Agnieszka.

Nikt na to nie dał odpowiedzi, patrzano na księcia, ten szatę na sobie targał i w ziemię oczy utopił.

Arcybiskup Jakób poszeptał coś z biskupem Janikiem i mówić zaczął:

— Miłościwy książę, złych i płochych masz doradców, ja, ojciec twój duchowny, radzę, życzę, z kościołem i ziemiami temi nie poczynaj wojny. — Kto przeciwko nam idzie, tego spotka los Szczodrego... nie daj Boże! Prawica pańska mocną jest, a wygnanie gorzkie.

— My nie pójdziemy na wygnanie. Nie! — zawołała głośno, nie mogąc się powstrzymać Agnieszka.

Po krótkim miczeniu, arcybiskup spokojnie odezwał się.

— Bóg jeden wie co komu przeznacza! stanie się wola Jego!...

Sklonił głowę. — Wiarołomnych on karze.

To mówiąc, wstał pasterz, starszyzna świecka poczęła znów padać na kolana.

— Zmłuj się, nie prowadź na nas wojny! zlituj się!

Książę Władysław jakby słuchać nie chcąc odwrócił się od nich, Jakób ze Zuina pokłonił się zda

i zabierał do wyjścia, nie podnosząc ręki do błogosławieństwa.

— Nie mogę już błogosławić domowi, z którego wychodzi wojna i śmierć, a wiarołomstwo, — Boga prosić będę, aby litując się wam, raczył natchnąć lepszym duchem.

To powiedziawszy odstał od księcia rękę położył na piersiach i począł iść nazad ku drzwiom w milczeniu. Za nimi inni też odpływać poczęli, w dziedzińcach powstał szmer i gwar.

Ziemiańskie rozpaczliwe niemal głowami ku sobie wskazywali, dając znać, iż nie uczynić nie zdołali.

Izba się wypróżniała zwolna, bo wielu szło tak, jakby się jeszcze spodziewali, że ich nazad, zmieniawszy zdanie, odwołują, że trwoga ogarnie księcia. Władysław w istocie przejęty był strachem, ale przy nim stała żona, gniewem i dumą oburzona, zapamiętała, patrzącą za odchodzącymi z pogardą.

Ostatni jeszcze nie przestąpili progu, gdy na głos zawołała.

— Wszyscy zdrajcy są! nabechtani! nie trwożym się ich groźb, zobaczymy przy kim będzie Bóg i siła Jego. Prawo z nami! Książę nie chce być drewnianym bałwanem, ani strachem na wróble — panować będzie!

Ścisniętą rękę wyciągnęła groźnie. Władysław padłszy znużony na ławę, zadumał się, ale i w nim uczucie się jakieś ozwało teraz.

— Tak — cofać się nie czas! Uczynię, co postanowiono. Co ma być będzie! Będzie-li źle — jam nie winien. Teraz już to musi być Groźbom uledek — srom... Będzie co ma być! — powtórzył niespokojnie.

Agnieszka dodała gwałtownie.

— Winę biorę na siebie! nie godziło się inaczej, a nie — to lepiej było precz ztąd iść odrazu. — Tak! tak!

Ruszyła się iść.

— Dobek! za mną! — dodała oglądając się.

Marszałek posłuszny stawił się i szedł za panią. W wielkiej izbie książę został sam. Przed chwilą gwarna, stała teraz pustką, choć jeszcze w niej zdawały się latać groźne słowa, bładzić widma tych ludzi, co tu prosili i grozili panu.

Z siedzenia arcybiskupa spadło było wezglowie i leżało na ziemi; jakby on go tu więcej zajmować już nie miał. Na krześle Agnieszki rozpostarta chusta, zgnieciona, zapomniana, walała się, nosząc na sobie ślady namiętych dłoni, co ją w czasie posłuchania szarpały. Władysław powiódł oczyma po pustej izbie. Nareszcie i on tu pozostać nie chciał, wstał i krokiem niepewnym skierował się ku izbom swoim. Za nim ciągnęli komornicy.

— Holsza! — zawołał do łowczego, który zawsze w pogotowiu stał na uboczu, oczekując rozkazów.

— Holsza? Co myślisz? rychło-li ziemia skostnieje i ponowa spadnie? jak ci się zda?

Łowczy przez okno wyjrzał trochę...

— Gdyby tak wedle znaków sądzić — rzekł — śnieg za pasem powinien być. Lasy szarzeją, a na niebie chmury jak pełne wory ciężkie wiszą.

— Co z księżycem? — spytał książę.

— Ku młodzikowi się zabiera! — odparł Holsza.

— Gotujże psy i łowiecstwo twoje — dokończył książę — byle śnieg pruszyć począł, w drogę! Ho! ho! pociągniemy daleko! pohulamy po lasach! Żywności wziąć dostatek, posiedziemy w puszczy bodaj miesiąc. Tam! dobrze!

Rozśmiał się weselej. — Ot tam dobrze!

— Dobrze, miłościwy panie! potwierdził Holsza.

— Nieprawda? nie ma to jak las a bór! — odezwał się Władysław swobodnie — ja wolę las niż dom, a zwierza, niż ludzi! Ej! tam to życie! nieprawda Holsza?

— Prawda, miłościwy panie.

Uderzył go dłonią szeroką po nachylonych ramionach.

— Tam ja nie książę a król — mówił Władysław — tam my panami, Holsza? Pociągniemy puszciami daleko, daleko! póki puszcza nam stanie! Tylko paszy nabrać dużo dla koni i dla nas. Jak ci się zda? będzie-li zima tęga?

— Tak ludzie wróżą?

— A! niechby była tęga! — mówił książę. — Gdy błota staną, rzeki staną, stawy zmarzną jedź wówczas, gdzie oczy poniosą! Nieprawda Holsza?

— Prawda! miłościwy panie!

— A Załaj wylizał się czy nie? — począł po chwili.

— Blizna jeszcze czerwona i liże ją dotąd, ale wprędce koniec będzie. Tylko włos na niej nieurośnie rychło — rzekł Holsza — bo to dziczy kiel jad ma! ale pies dla tego chodzić będzie.

— Pies z najlepszym nosem! — mówił książę poważnie — złoty ma nos! A po nim szczenięta! he! hoduja się!

— A jakże, miłościwy panie.

— Gdyby matka karmić nie chciała, choć im mamkę wziąć — dodał książę — ażeby mi nie pozdychały!

— E! — odezwał się śmiejąc poufale Holsza — juści dla szczeniąt mamki u Arona kupować nie będziemy, choć on i takie niewolnice ma, co za mamki służyć mogą.

Władysław o czemś myślał zadumany, ale łowczego trzymał przy sobie.

— Słuchaj, Holsza!

— Słucham, miłościwy panie!

— Podemnie niechaj będzie gotów Chwat ci-sawy, ten nogi ma takie, że i na gołoledzi nie padnie, a nie rozedrze się, u niego róg taki, że i żelaza mu nie trzeba — prawda Holsza?

— Prawda, miłościwy panie.

Władysław podniósł połę sukni, dobył garść drobnych blaszek srebrnych i rzucił ją w nastawione Holszy dłonie, szepcząc mu na ucho:

— Byle pierwsza ponowa! i w las! w las! prawda Holsza?

— Prawda! prawda! w las! w las!...

— A w lesie panowanie naszel! — zawołał Władysław i nucąc poszedł do swej komory.

W izbie księżnej Agnieszki inna wcale toczyła się rozmowa. Dobek w swym ubraniu paradnem, stał oparty o ścianę, z rękami w tył założonemi. Agnieszka po izbie chodziła.

— Wszystko to Petrkowe ułożenie — mówił Dobek — byle jego nie stało, wezmą w łeb jego spiski i znowy. Jego tylko ubić zdrajcę, wygnać, zniszczyć. Zkąd ma te skarby! Zkąd ta wielkość jego? Rzywłaszczał sobie, co chciał z pańskiego, gdy Krzywousty postarzał. Co on ma, powinno być pańskie! a tam jest się czem pożywić!

— Niech go nie stanie, zmiękną oni wszyscy, bo on tej sieci węzły w ręku trzymał nie kto tylko on!

— A z nim nielatwo — potrząsa głową księżna.

Dobek się uśmiechnął chytrze. — Eh! — zawołał — dać mi go na moje ręce, a ja sobie z nim poradzę! Wojny z nim prowadzić nie potrzebuję, jak mysz pochwycę go w garść i zduszę! Na chytrego chytrosi potrzeba.

— Tak! — rzekła księżna — ale księżę go lubi — o! ma słabość do niego! Razem z nim po lasach się włóczą, wodzi go po ostępach, psy mu stręczy, so-koły śle i tem go sobie jedna.

— Jakby księżę do lasu innych towarzyszków sobie nie znalazł! — mruknął Dobek.

— A czemuż ty mu się nie nastreczasz! — odezwiała się księżna — jemu na łowach najśnadniej do serca trafić można.

— Tak — odezwał się Dobek — z księciem pojechać w las to się na dwóch, trzech dniach nie kończy, a któż tu będzie miał oko na znowy i zdrady? kto ludzi w ręku utrzyma? Gdyby nie ja, czy to by się

wszystko nie rozbiegło jak stado owiec? Tu raz wraz i oka i grozy potrzeba.

Zamilkł chwilę, ale wnet do Petrka powrócił.

— Miłościwa pani — odezwał się — prędzej później Petrka zasłużona kara nie ominie; a komuż słuszniej po nim wziąć co narabował, jeżeli nie mnie, wiernemu słudze waszemu?? Mnie się to należy! mniel skarby są wielkie, a ja dotąd nie mam nic oprócz obietnic łaski. Dla tego ludzie mnie szanować i słuchać nie chcą. Ja go zgładzę, mojemu państwu spokój zapewnię, ale niechże szyję stawiać, choć to mam, żebym sam trochę urósł.

Księżna zapatrzona w okno mileżała.

— Dopóki Petrek chodzi po świecie, póty księżę zawsze nie pewien panowania, a i potomstwo jego jak szczenięta wytopić trzeba.

— Krom córeczki, której się Dobkowi zachciało! — kwaśno wtrąciła Agnieszka.

— Ja i tej córki nie bardzo żądam — rzekł Dobek. — Co mi tam! Nie dla siebie ja o nich myślę, ale dla was! dla was.

Taką rozmową bawił Dobek niemal co dnia panią swoją, ona go z tem do księcia odsyłała, księżę słuchał cierpliwie, ale nie odpowiadał nic. Dobek nasyłał drugich, gotował, przysposabiał, lecz szło mu dotąd oporem.

Księżę pilniej niż zemsty śledził nadchodzącej ponowy. Ani mu Polawcy, ani posły od Cesarza tak nie byli pożadanymi jak śnieg. Nareszcie jednej nocy doczekano się pożądanego mrozu, a w parę dni śnieżycy wielkiej, która ziemię na stopę pokryła białym całunem. Zdawna, wprzód nim tu spadła ponowa, przybywający od Szlązka i Pomorza donosili, że tam już nastąpiła zima i sanna.

Holsza przybiegł z dobrą nowiną. Jednej godziny wszystko było na nogach, księżę zapomniał nawet oznajmić się żonie, chodził po izbach i gnał łowców swoich.

— W las! w las!

Biegła czeladź, rozrywali się wszyscy; księciu jeszcze zdawało się, że za powoli chodzili. Gniewał się i chmurzył, burząc nawet i wydając groźne rozkazy. W tem jednym miał stanowczą wolę swoją, tu mu się sprzeciwić nikt nie ważył.

Przybory te zobaczywszy posłała pytać Agnieszka.

— Na jak długo i dokąd się książę wybiera?

Władysław aż się rozsierdził.

— Nie wiem! — krzyknął — kto na łowy jedzie, nie może powiedzieć, kiedy powróci! a głupi kto powiada dokąd! Gdzie oczy poniosą, kędy tropy prowadzą!

Konie stały w podwórzach z jukami, z żywnością, psy skowyczały na sznurach, związał się Holsza. Na niebie jeszcze wisiał śnieg, ale powietrze było łagodne.

— W las! w las! — rozlegało się po dworcach.

Księżna po wtóry raz posłała pytać, kiedy powróci, ale Władysław tak był już rozgniewany, że nie szanując posła małżonki, odpędził go fukaniem i groźbą. Sam jednak poszedł do Agnieszki, już w koźchu i kołpaku.

Otworzył jeszcze drzwi mężnie, a na progu całą odwaga go opadła.

— Przychodzę żegnać — rzekł łagodnie — bo oto bardzo pilna sprawa, ponowal trzeba koniecznie w las, choćby życie dać!

— A kiedyż wracasz! — spytała żona.

— Któż to może wiedzieć! Bóg jeden wie! — ruszył ramionami książę. — Jeszcze nie jechał, a już mam powracać? Możeż to być? Wy macie krośna i igły, a ja łowy moje. Sprawiedliwa rzecz. Ja bez nich nie mogę żyć — to mój czas, to żniwo moje.

— A któż tu was będzie sądzić i rządzić? — spytała księżna.

W tej chwili książę zdala głos nakazujący Hol-

szy usłyszał, nie mógł już wytrzymać, ruszył ramionami, i nieodpowiadając drzwi zamknął. Szedł już.

— W las! — zawołał żywo dosiadając konia, jakby się lękał, aby go nie zatrzymano. — A no! w las!

Gromada książęca już wyruszyła z dziedzińców zamkowych, gdy we wrotach spotkała orszak jakiś liczny. Byli to własni posłowie księcia, a raczej Agnieszki, powracający od czerwinińskich grodów. Książę uśmiechnął się im tylko, nie pytając nawet co przynosili, tak mu było pilno.

Zwawym kłusem ruszono od zamku, przez podzamecz, aby co prędzej skryć się w lesie. Księciu paliły się oczy do puszczy i borów. Coraz to spoglądał na Holszę, a Holsza mu się uśmiechnęła, to znów na tropy po śniegu. Ziemia usłana tym puchem świeżym bawiła go jak pisana karta.

Tuż, na widnokręgu niedalekim stały owe ukochane lasy szronem okryte, śniegami ubielone, otrząsając po trosze z obciążonych gałęzi czem je noc przysypała. Na szarem, ołowianem tle niebiesko malowały się jasno osrebrzone gałązki, a po śnieżnej powłoce popisane przez zwierzęta gzygzaki, łowcy tak czytali jak mnichy psalterz malowany.

Księciu na swobodzie, aż się twarz inaczej uśmiechała, aż mu było weselej i raźniej. W zamku zawsze był milczącym i ponurym, teraz, zapomniawszy troski wszelkiej, podnosił czoło, oddychał, w boki się imal, do psów odzywał, do konia zagadywał, do samego siebie coś podśpiewywał, do Holszy mrugał, odpowiadał na pokłon każdego przechodnia.

Ktoby go był naówczas w czystym polu na rozmowie z samym sobą podsłuchał, zdziwiłby się jak w duszy jego myśli różne ścierały się i kłóciły.

Chwilami chciał sam, potężnie, nad całemi ziemiami siedzieć na tronie, potęga ta wielka uśmiechała mu się, pobratymstwo z Cesarzem wbijało w dumę! Wnet gdy pomyślał, że korony we krwi strumieniach szukać było potrzeba, w zajadłej walce ze wszyst-

kiemi — odpadła go ochota. Miał i tak lasów dosyć, ludzi dosyć, i sądów i troski panowania.

Potem znów zdało mu się, że za nim bieży głos żony, wołający. — Cóż ty tu, pan czy pół panie, czy tylko ćwierć pana? Aż nie wstyd mi Cesarskiej siostrze siedzieć przy tobie, pomiędzy trzema czy czterema małej braci, jak prostej ziemiance?

I zdało mu się po chwili słyszeć głos ojca umierającego, który mu polecał braci i na łożu śmierci, mówił ledwie dosłyszczanem wzdychaniem: — Bądź ty im opiekunem i ojcem! bądź im tarczą i obroną! Weźmij ich jak kokosz pod skrzydła swoje, otul i nie dopuść, aby się nad niemi znęcały jastrzębie!

Widział tego tysiącznemi bliźniami okrytego rycerza chrześcijańskiego, nawróciiciela pogan, pobożnego pielgrzyma i budowę kościołów, rozciągniętego na łożu ostatniem konania, otoczonego biskupy, płaczącą żonę u nóg jego, relikwiami świętych pańskich ocierającą stygnące ciało, małe sieroty u kolan przytłone, a siebie stojącego w głowach i słuchającego tych słów ostatnich, z którymi uchodziło życie.

— Bądź ty im ojcem! Władysławie, bądź im opiekunem!

Potem znów roztapiało się to widzenie, i głos mu szeptał szyderski.

— Ażali ojciec twój wielki i święty, nie dał uśmiercić brata przyrodniego Zbigniewa? a Chrobry bracię swą, a Mieszko praoojciec tych co mu na drodze do panowania stali? Maż ta ziemia iść rozzerwana na zagony i na huby, pójść w strzępy, aby ją potem lada sąsiad wilezemi zębami na ochłapy darł dla siebie?

A głosowi temu w powietrzu potakiwało od Krakowa zalatujące wołanie Agnieszki. — Jesteś tu pan, czy pół panie, czy ćwierć pana? książę czy ziemianin prosty? A czemuż będą dzieci twe, synkowie twoi, gdy się twoją ziemią dzielić zechcą? Zejdą wnuki na żupanów, a prawnuki na kmieciel!

Jechał tak, rozbijając się z myślami, to chcąc

to wzdragając się, gdy między czeladzią a łowcami wrzawa się wszczęła.

Zajac, szarak przebiegł im drogę, psy się ruszyły za nim; pokazał im tył biały na urągowisko — i zniknął.

Tuż stara niewiasta z wiadrami próżnemi na ramionach, przystanęła i patrzała.

— Złe, do licha, będą łowy! — krzyknął Holsza.

Książę stanął, popatrzał i na prawo zawrócił, nazad na zamek ani myślał, tak mu się chciało technąć swobodnie, kilka dni nie słyszeć głosu piśkliwego pani, wyrzutów jej i szyderstw, Dobkowych napomnień i postrachów.

Wjechał w las — książę oddychał.

Nad głowami gałęzie się siecią ciemną rozpościerały szeroko, a z nich niekiedy z szmerem tajemniczym zsuwał się powoli śnieg. Cicho było i spokojnie i jakoś miło, jak w domu Bożym. Na ziemi coraz częściej plątały się zwierza ślady, porysowane na wsze strony. Tam zdradził swój pochód lis, choć tropy zacierał ogonem; tu poznał drogę zajac, wycisnął łapy niedźwiedź spłoszony z barłogu i poćwiekował śnieg jeleń. Na dębach krakały gałki i kruki. Czy życzyły dobrej, czy prorokowały złą drogę? Któż to mógł odgadnąć?

Holsza pomrukuje coś, puścił na nich strzałę do góry i stado całe zerwało się trzepocząc skrzydły, wrzeszcząc wróży swoje na lasy, na bory... Głos ich cichł coraz w dali i z szumem drzew zlał się w jeden smętny szmer spokojny.

— El lasy wy moje, lasy! — westchnął do siebie Władysław — w was człowiek o wszystkim zapomni! I tyle życia, co w lesie!

X.

Petrek u ognia siedział w izbie swej, gdy mu o gościach znać dano. Jechała pod wrota gromada jakaś znaczna, a nikt powiedzieć nie umiał, kto oni byli? Wiedzieli wszyscy, że ludzie musieli być do stojni.

Kupa jezdnych, łowczych, psów, czeladzi stała już u wrót samych dworca i trąbiła, aż się rozlegało. A trąbili też jakoś dziwnie, nie tak jak druh i człek równy, ani tak jak człek mały a pokorny, nawet nie tak jak ks. Janik, gdy bywało z sobą Petrką na łowy wyzywa. Trąbili jak pan na pacholki swe, rozkazując, gwałt czyniąc we wszystkie rogi i nie bojąc się gniewu Palatyna. Aż wybiegła cała służba i koniuszowie, a na koniec i młody Światosław wyrżał. Ten gdy stojących u wrót zobaczył, pędem pobiegł do ojca, a wrota kazał co prędzej na oścież otwierać.

Gromada się w nich zatrzymała i trąbiła ciągle na schwał, nie wjeżdżając w podwórze, trąbiła, aż się hen, na miasto trwogą rozlegało.

Dziwowali się, zbiegając wszyscy, Petrek biegł pędkiem, kożuch na siebie zarzuciwszy i przypadł do kolan siedzącego na koniu pana, witając go, jak poddany jego—pokornie.

— Miłościwy panie a ojcze! — zawołał — nie czyńcie mi też sromu; gdyście na progu, zajdźcież do sługi swego, nawróćcie ludziom kaźcie. Niech się konie najedzą, niech się czeladź pańska napije, ty, panie, spoczni. Proszę, a proszę!

Książę Władysław był bardzo dobrej myśli.

— Koniom nie czas jeść, ludziom nie trzeba pić, ja nie chcę spoczywać! Kaźcie tu tylko wynieść kubek, abym za zdrowie wasze go wypił, a siadajcie sami na koń, na łowy ze mną! Czas! czas!

szkoda takiego czasu! Pojedziesz Petrek ze mną, i ty i łowcy twoi, i psy, i wszystko!

Zawahał się nieco Palatyn; coś go w serce kolnęło, jakby sztyletem. Po co cię pan chce brać z sobą? On, co się niedawno gniewał, co tak bardzo teraz na ciebie łaskawy?

Obejrzał się po łowczych towarzyszących panu i nieprzyjaciela głównego między niemi nie zobaczył, mężnym też był, trwogi po sobie okazać nie chciał.

— Petrek, na koń słyszysz?—powtórzył książę wesolo.

— Koń i ja pójdziemy z miłością waszą na koniec świata—odparł Palatyn—ale, wstąpcież choć na próg mój, abyście mi serce ojcowskie okazali. Nieboszczyk rodzić wasz nie jeden raz bywał i zasypiał u mnie, chlebem sługi swojego nie gardził.

Zawahał się coś książę, i pochylił do ucha Petrkowi.

— I wjechałbym i jadł i spał z wami—szepnął—a no wrogów macie, co was oskarżają. Gdybym u was sprawiał gody, mówiliby na mnie, żeście ujeli sobie księcia, a odwrócili go. Jedźno ze mną, jedź! Na łowach w lesie, gdzie drzewa jeno słuchają, lepiej się rozmówić niż we dworze, gdzie ściany uszy mają, a okna gęby. Nie zsiadę do was, ty wsiądź do mnie!

Petrek wiedząc, że go nie zmoże, skinął na ochmistra swego: ten, choć mu nie rzekł nic, zrozumiał wszystko. Wnet Światosław stanął na miejscu ojca z głową odkrytą, za uzdę podtrzymując konia książęcego. Petrek poszedł podpasać się, wziąć kofpak, oręż i sokoła. Konia swego prowadzić kazał i dwudziestu łowczym, psiarzom, naganaczom stanać, a psy prowadzić co najlepsze.

Książę ciągle na koniu siedział. Wtem z otwartych wrót poczał wypływać jakby uroczysty pochód jaki. Przodem ochmistrz z łaską złożoną w rękę, za nim rzędami dwiema czeladź Petrkowa postrojona,

na misach i deskach malowanych, na tarczach nawet niosąc kubki, jajka, napoje, chleby. Koniuszowie na płachtach szkarłatnych dźwigali obroki dla koni, w kubłach kowanych nieśli wodę, tak że książę nie zsiadając, mógł na siodle posilić się, napić, a koniom dać przetrzeć zęby i ugasić pragnienie:

Z twarzy pańskiej widać było, że potrosze rad był gościnie, a trochę też może zazdrościł tej zamożności poddanego, który mógł go przyjąć jak książę udzielnym, na srebrze, na złocie, z posługą tak liczną, wspaniałą, przyodzianą i świetną, nad którą piękniejszej w Krakowie nie było!

Popatrzał książę i na pięknego młodziana, co mu konia za uzdę trzymał, syna takiego nawet zazdroszcząc Petrkowi.

Wtem wprowadzono konia Palatyna, Sokoła, który do łowów umyślnym był, dzielne stworzenie, z nozdrzami krwawymi, z chrapami czarnymi, okrytego srebrzystą sierścią lśniącą, z ogonem i grzywą wlokącymi się po ziemi.

Wyprowadzono psy Petrkowe po dwa posforowane, tak silne i tak wykarmione, a tak wesoło podskakujące i skomlące, że aż miło było spojrzeć na nie.

Książę konia i psów trochę mu pozazdrościł.

Łowcy też i przybory myśliwskie, pańskim doborem i liczbą nie ustępowały.

— Dobrze się dzieje Petrkowi! — myślał książę.

A wtem i Palatyn się ukazał w prostym kożuchu i czapce baraniej, z torebką przez plecy.

— A cóż to, jak dziad co chodzi za jałmużną, wór przewiesił przez plecy! — rzekł książę, śmiejąc się — alboż to do noszenia sakw za sobą nie masz ludzi?

— Miłościwy książę — odparł Petrek — taki ja od wieku zwyczaj mam, gdyżem na łowach gorący. Odbiję się od ludzi, zapędzę w las, nie chcę głodem mrzeć, zawsze więc jaki taki kawał mięsa i chleba przy sobie noszę.

Konie jadły jeszcze, ludzie pili, gdy książę już

usta otarłszy po kubku wina, trąbić kazał i sam wołał niecierpliwie.

— W las! w las!

Petrkowi łowce niechaj prowadzą! gdzie wiedzą, że najwięcej zwierza i uciechy, gdzie ostępy pełne, abyśmy z próżnemi rękami nie powracali! W las! w las!

Nigdy jeszcze tak wesołym księcia Władysława Petrek nie widział, ani tak ze sobą poufałym, ni tak dla siebie dobrotliwym. Ani go mógł teraz poznać po tym, którego ostatnim razem spotkał na krakowskim zamku. Ruszyli więc do najbliższego lasu gościńcem przez groblę glinianą, około Mikołowej gospody, ale księciu się wnet sprzykrzyła droga bita, kazał nawracać w gąszcze coprędzej, ludziom się wielkiem kołem rozsypać na prawo i lewo, iść cicho, a gdy naprzód zabiegną, dopiero w trąby i rogi bić, zwierza napędzać.

Dzień pochmurny był a łagodny, niebo ciągle się trzymało szare i smętne, śnieg się z niego zapowiadał a nie sypał. Ledwie w gąszcz wjechali, gdy tuż jeleni pomknął — a psy za nim, a książę za niemi, a Petrek za księciem. Ani oszczepu ni strzały nie było puścić sposobu, psy co go oskoczyły i przytrzymać chciały, to się im rogami obronił, kilkoro ich po przebijal, oskakiwał i gnał dalej na las, na gąszcze.

Petrkowi nie o jelenia szło, ale o pana, więc zapomniawszy zwierzęcia, jego ścigał, i wkrótce już dwu ich tylko samych było, bo reszta ludzi w tyle przystała, zbłąkała się, rozpierzchnęła na cztery, wiatry.

Książę zapalił się straszliwie, krzyczał na psy, przeklinał pustynię, sam siebie, konia smagał, a cudem głowy nie rozbił o gałęzie, konia o pnie nie rozdarł. Sam już nie wiedział kędy go Chwat niósł, ani co się z nim działo.

W jelenia zrazu tylko patrzył, ale ten coraz pomykał dalej, dalej, aż ze psy zniknął im z oczu.

Władysław, zapominając się, kłął straszliwie, psów gony ledwie już słyhać było, jelenia ani uznać, Petrek nie odstępował pana.

Zapędzali się tak coraz dalej w puszcze, zbaczając to w prawo, to w lewo, przez błota, zarośla i gęstwiny. Sami już nie wiedzieli gdzie byli, a książę się hamować nie dawał, prac naprzód tak długo, aż wreszcie zmierzchać zaczęło.

Ani ludzi ni koni, ni psów, i zwierza nie było ni widu ni słychu. Władysław rwał się naprzód, Petrek gonił za nim.

Wreszcie i koń pod księciem, na lodowisku ślizkiem upadł, porwał się wnet, padł raz drugi, i już powstać nie mógł zdyszany. Petrek ze swojego zeskoczywszy, nadbiegł i Władysława z siedzenia pochwycił.

Obejrzeni się dopiero, że sami jedni byli, a noc nadchodziła.

Gniewny pan trąbkę zawieszoną na sznurze wziął do ust i począł nią gwałtownie przywoływać ludzi. Głos trąbki głucho się jakoś rozchodził i jakby w śniegach utopiony brzmiał słabo. Rogu grania las nie chciał powtarzać — nikt też nie odpowiadał na nie.

— Miłościwy panie—odezwał się Petrek—konie zdajcie na mnie, mam przy sobie toporek zawsze, ognia jest czem naniecić, tu pod dąb na wzgórze pójdziemy, alieści doczekamy się ludzi. Od czasu do czasu nawoływać będę.

Książę zbity był bardzo i zmęczony, nie rzekł już nic, na wszystko się godził.

Petrek wszędzie i zawsze umiał sobie dawać rady; na jedną rękę cugle koni zarzucił, drugą księciu podał, aby się sparł na niej, i wywiódł go ze ślizgawicy pod dąb na wzgórze.

Tu wnet ze swojego konia kobierezyk jeden zdjął i na ziemi go rozesał, konie powiązał i ustawił, sam, za toporek od pasa wzięwszy, począł gałęzie su-

che obcinać, chrust zbierać, suche liście odgrzebywać z pod śniegu.

— Miłościwy panie—mówił do nachmurzonego księcia wesoło—dobrze człeku i biedy czasem zaznać, bo potem wie, jak sobie w biedzie rady dać. Oto ja, co ubogi byłem, dziś się bez sługi obchodzę, bo sam sobie posłużyć umiem.

Książę leżał na kobiercu i patrzył tylko, a już mu był ów gniew na jelenia i psy przeszedł i poczynął się uśmiechać. W puszczy mu tak samemu z Petrkiem, pod gołem niebem, na ziemi jeszcze ochotniej było, niż na zamku z mnogą czeladzią.

Mrok zimowy spadał jak gęsta zasłona na lasy, niebo coraz ciemniało, drzewa zdawały bielsze coraz. Petrek już był i ognia dobył, huby i siarczystej onuczki, już przysiadłszy na ziemi zgarnął liść, drobne gałązki, susz i płomyk rozdmuchał. Dobywał się jasny ogieniek wesoło, jakby go kto z więzienia na świat uwolnił, skakał żółtemi języczkami do góry, zwijał się kapryśnie na prawo i lewo, a pod nim dymek płynął wstęgami sinemi i buremi, aż się robiło rażno w duszy. Wpółśród szarych już mroków poczęły się białe gałązki złocić, sosny rumienić. Ciepło od ogniska rozchodziło się dokoła...

Na tem niedosyć. Petrek z toporkiem poszedł po gałęzie jodłowe, obciął ich kilka, zwlókł na kupę, parę kolków, okrzęsanych ze ściętych sosenek, wbił w ziemię, na nich jak oponę jedlinę porozwieszał i szalas zbudował, u którego wnijscia ogień się coraz lepszy palił. Wprzódki nawet i z wiatrem porachował się tak, ażeby gryzący dym precz na ławkę odganiał.

— Miłościwy panie — rzekł — teraz kobierezyk pod szalas zaciągnę, legnijcie sobie wygodnie, a spoczywajcie.

— Dobry z was towarzysz — odrzekł książę — na Boga, doskonały! Jeżeli nasza dwornia nie przybędzie, bodajby się i wasza torba jeszcze nie zdała.

— Byle się w niej co znalazło!—zawołał Petrek wesoło—bo pośpiesznieśmy wyjeżdżali, nie wiem, czy do niej co włożyć pamiętali. Zawsze jednak coś się tam znajdzie—dodał z uśmiechem—bo próżna ona nigdy nie jest.

— Rogi się coś na wołanie nasze nie odzywają, bodaj tak nocy nie przyszło przepędzić. Dla mnie to niczem, miłościwy panie, bom ja nawykł i na śniegu leżeć i na deszczu spać i na zimnie a skwarze czy odpoczywać czy pracować; ale wam...

— A jam też, choć królewski syn, przecie myśliwy—odezwał się książę—bywałem i ja w różnych sprawach, a nie smakowało mi nigdy nie jako chłopski chleb o głodzie i polewka z maki w chacie na łowach. W lesie człek dobrej myśli znieśie wszystko, więcej niżli doma na wezgłowiach.

Zwłókł się mówiąc to książę z kobierca pod szalas; Petrek ognia podsyelił, buchnął płomień dó góry, książę się na nowo ułożył wygodnie i na łokciu oparłszy, poczał.

— Petrek! na łowach wy mi druchem jesteście, he? a czemuście to mi gdzieindziej wrogiem?

— Ja? ja?—odparł Petrek—ale ja nigdy i nigdzie wrogiem miłości waszej nie byłem i nie jestem!

— A precz że ty mi stajesz na drodze?

— Do czego? gdzie, miłościwy panie?

— A do panowania i korony!—zawołał Władysław.

Petrek zmilezał trochę.

— Miłościwy książę—odezwał się głosem poważnym—póki ja będę żyw, nie wyjdzie mi z pamięci ów dzień i godzina, które i dla miłości waszej pewno pamiętne bardzo być muszą. Pomnijcie, książę, ów smutny dzień jesieni (28 października), gdyśmy to oba razem stali u tego łoża, na którym król mój, pan mój, ojciec mój, a wasz też rodzic, konał otoczony biskupy, wśród modlitw naszych i jęków. Nie wyszła wam z pamięci ta twarz boleściwa wiel-

kiego rycerza, co życie całe przewojował, a miał więcej blizn niż lat... gdy na tę, którą wdową miał zostawić patrzył, na maluchnego swojego Kaźmierza, dla którego ziemi nie stało, na ledwo dorastających książąt bracię waszą: Henryka, Bolesława i Mieczysława...

Ja to do dziś dnia jeszcze słyszę, jako modlitwę ledwie odmówiwszy ostatnią, polecać Wam począł sieroty.

Będziecież wy z dziećmi i wyrostki wojowali i gnębili je? Nie, nie, miłościwy panie! Lepsze błogosławieństwo ojca z za mogiły niż korona! Ja co pomnę wieczór ten, posłusznym głosowi pana być muszę; bo zwrócił się do mnie miłościwy pan i rzekł: Wy, ojcowie duchowni, pasterze, ty Petрку, wierny sługo mój, wy wojewodowie, strzeżcie woli mej, aby się dzieciom krzywda nie działa.

A, panie! ty nie rad przeciw nim pójdziesz—ale...

Nie skończył Petrek i urwał.

— E!—odparł Władysław.—Co ja chcę, co kto chce, co ojciec żądał, nie znaczy tu wiele. Pomyślcieno Petrek, nie o sierotach a o ziemi tej sierocej, którą nieboszczyk jak placek dla głodnych pokrajał. I nie on ją sam dzielił, ale wdowa uprosiła biskupów, a ci jej pomagali, aby im rządzić łaćniej było samym i panować. Nie my tu już książętami, ale oni; i sprawa to nie króla nieboszczyka, ale ich.

— Ja o niczem nie wiem, tylko o tem, com z ust pana konającego słyszał—rzekł na to Petrek.—Panem on był i mógł tę ziemię dzielić co ją po ojciech dziedziczył, a krwią swoją utrzymał... tak jak Władysław między niego a Zbyszka.

— I Bolko też Zbyszka zabił, aby podzieloną nie była!—rozśmiał się Władysław.—Błąd ojcowski naprawił.

— Ano Zbyszek jawnym zdrajcą był!

— A bracia moi, młokosy te, porósłszy w pierze, zdrajcami nie będą? Alboż to ich dwu już, le-

dwie pod wąsem nie pożeniła Salome zawczasu, aby im dać sprzymierzeńców? albo to się na mnie nie zjeżdżali w Łęczycy?

— Królowa już nie żyje! — westchnął Petrek.

— Ale wola jej żyje — odezwał się Władysław, i nagle, jakby rozmowę chciał odwrócić, począł się uśmiechać.

— El nie prawmy o tem! dość! Raczej ty mnie nakarm i zabawiaj, bom głodny i tęskny. I trzymaj ze mną, Petrek, nie z temi, co to się bracią mą zwa, a nieprzyjaciół są. Ze mną ty urośniesz jeszcze, a przeciw mnie nie uczynisz nic — i siebie zgubisz!

— Miłościwy książę — odezwał się Petrek — ja przeciw tobie nie pójdę, ale i z tobą przeciw sumieniowi, zakonowi, nie mogę! Nie ja jeden pragnę strzimać prawo, wszyscy panowie duchowni, świeccy wszyscy...

Książę się namarszczył.

— Patrzajcie, abyście przeciw sobie nie ścia gnęli tak wielkiej siły, której ani duchowni, ni świeccy nie zmogą. Mówię ci, Petrek, jeszcze raz: trzymaj ze mną!

Petrek za nogi go ścisnął.

— Książę miłościwy! idźcie wy za wolą ojca i sprawiedliwością, a Boże błogosławieństwo będziecie mieć.

Książę przerwał rozmowę. Noc już była czarna.

— Petrek, jam bo głodny! — zawołał — do torby swej idź, patrz coś tam w niej niósł.

Dopiero sobie Palatyn torebkę na ziemi porzuconą przypomniał i począł z niej coś dobywać. Był w niej placek, chleb i trochę soli w węzélku, naostatkiem kawał mięsa wieprzowego. Petrek wytrząsł torbę do dna, nie było w niej więcej nic. Rozśmiał się.

— Torbem wziął — rzekł — ale mi ode dnia wczorajszego nie w nią nie włożyli. Wczorajem sobie na łowach kawał dzika odkroił i ten tylko pozostał. Chyba to mięso na drewnienku upiekę i tem waszą

miłość posiłkę. Gorsza to jeszcze, że mi do torby bezułeczki nie dano i pragnienia nie będzie czem ugasić, chyba śniegiem.

— Tegom już ja próbował — rzekł książę — i nie wzdragam się... Dawaj, co masz! Dzięczyzna przypieczona dobrą będzie na głodny ząb.

Tymczasem chleb jął łamać książę i jadł ze smakiem wielkim, a Petrek u ognia siadłszy, rożenek wystrugał, widelki w ziemię wbił, dzięczną przypiekać i solić począł, i tak księciu z rożenka ją podawał, który na suchych liściach ją kładł, palcami rozdzielał sobie, jadł chciwie i chwalił bardzo.

— Zaprawdę dzięczyzna twoja doskonała jest — mówić począł — a z ciebie do wszystkiego człek, choćby i do przyprawy jadła; zdałeś się wszędzie.

Poczęli tedy oba kulki ze śniegu lepić, w usta je kłaść miasto napoju, i tak gasić pragnienie.

Petrek mało co sam jedząc, księcia karmił tylko, potem zrzynki mięsa przyskwarzywszy, cokolwiek też przegryzł, bo wiele nigdy nie potrzebował. Byłe duszę w ciele utrzymać.

Książę się tymczasem na kobierezyku przeciągnął. Poszedł Petrek do koni i ze swojego siedzenia zdjął, niosąc je panu pod głowę.

— Legnijże i ty koło mnie, abyś odpoczął — odezwał się książę. — Z biedy, choć temu twardemu łóżu musimy być radzi.

I rozśmiał się wesoło Władysław.

— Ho! ho! — dodał — waszmościna żona gdzieś tam teraz w ciepłej komnacie, ze swym miłym opatem Anzelmem wczasu bezpiecznie używa...

Petrek, który się jeszcze nie kładł, zamruzczał coś.

— Co tam mruczysz, jak niedźwiedź, mów głośno! — zawołał książę.

— Co tam moja żona czyni, nie wiem — odparł Petrek głosem drżącym, ale za to szyję daje, że

księżna Agnieszka z Dobkiem czasu nie traci, boć ten jej chętnie służy, o czem wszysej wiedzą!

Książę się poruszył i oparł na rękę.

— Coś to rzekł? — zapytał groźnie.

— Ino prawdę — odpowiedział Petrek. — A co Dobek zechce, to księżna wam czynić każe, nie dla was, ale aby miły Dobek rosł i wielmożniał.

— Coś rzekł? — podchwycił książę groźniej jeszcze.

— A no, prawdę! nie waham się jej potwierdzić — mówił Petrek chłodno. — Przez jejmość panią Agnieszkę idzie wszystko, a wy czynicie eo jej miły podszeptnie. Nie ja to jeden mówię; wiedzą o tem i mówią wszysej, miłościwy książę. Gdybyście mnie za język nie ciągnęli, nie rzekłbym... ano stało się!

Książę siedział zadumany i milczący.

— Tak ludzie gadają? — odezwał się ponuro. — A ty, wierzyszli temu?

— Gdybym nie chciał wierzyć, muszę, bo was, miłościwy panie, nie poznaję. Byliście synem dobrym, a oto woli ojca znać nie chcecie. Sprawa to nie wasza, ale tych, co wam swoje chętki narzucają.

Przez niewiasty i ich rady padały nieraz państwa wielkie; strzeżcie się, miłościwy książę, aby one i was do zguby nie wiodły... Chłubi się pani Agnieszka, że cesarzowi przyrodnią jest, a dla niej ziemi i państwa zamało, chce choć krwią panowania nabyć. Daj Bóg, by i tego co jest nie straciła!

Władysław tych wyrazów dosłuchawszy powoli głowę skłonił ku ziemi, płaszczem się przykrył i zamilkł.

Petrek siedział w ogień patrząc; rozmowa była skończoną.

Gniew i rozdrażnienie Palatynem miotало, sen brać go nie myślał, w płomienie patrzył, gałęzi dorzucał, aby ognisko nie wygasło. Spoczywać nie chciał.

Książę, który głowę miał osłabioną, leżał spokojnie, ale widzieć nie można było czy usnął, bo nie-

kiedy poruszało się na nim okrycie i westchnienia z piersi wyrwały, a rzucał się i przewracał na swem legowisku.

Długa pono ta noc dla obu się wydać musiała.

O brzasku zerwał się książę i natychmiast za róg swój wzięwszy, począł na dwór trąbić gwałtownie, bez spoczynku. Głos teraz, skutkiem jakiejś zmiany w powietrzu i ciszy porannej, rozechodził się silnie i daleko.

Petrek też, naśladując go, trąbkę swą wydobywszy, dał w nią co miał siły. Nawoływali i hukali jeden i drugi na przemiany, aż i dzień biały robić się zaczął.

Nie rychło, zdala doleciał ich głos łowieckiego rogu; książę poznał po nim Helszę i wnet odpowiedział raz i drugi, nagłaco. Zaczął się zbliżać odgłos trąbek, które przywabione, dokoła brzmiały podjeżdżając ku miejscu noclegowemu, i w gąszczach zaszeleściło wrzeszcze, dwór i łowcy przybywali.

Książę niecierpliwy, gniewny, zerwał się zaraz na nogi i począł wołać, łajac swych ludzi. Cisnęli się oni strwożeni, wymawiając, lecz gdy ich raz przy sobie zobaczył Władysław, słowa nie rzekł już więcej i skinął, aby mu konia podawano.

Dwór Petrkowy przyciągał także; dobyto zapasy jadła i napoju, ale książę tknąć nie nie chciał.

— Nakarmiłeś mnie, Petrek — rzekł z przekąsem — tak, żem dziś syt jeszcze... Napij się za to wina mojego i... w drogę!

Kazał bezułkę swoją przynieść Palatyn, ale z tej Władysław kosztować nie chciał, pokrzepił się kubkiem własnego, nagłac tylko o konia. Petrek próbował zapraszać jeszcze na spoczynek do swojego dworu.

— Spoczywać nie będę nigdzie — odparł książę — łowami pociągnę do domu. Drogi nasze nie jedne: wy się sobie zawracajcie do siebie, ja pociągnę wprost ku Krakowu.

I stojącemu u konia swego, rzucił książę obojętnem:

— Bóg z wami!

Tak zimno się z Palatynem rozstawszy, ruszył książę, nie dając mu jechać z sobą. Petrek pozostał z ludźmi swymi i zadumał się nad przygodą.

— Co się stało—stało—się—rzekł w duchu—słowo rzeczone raz cofnąć się nie może, a bodajby nie zaważyło ciężko!

Gdyby drugi raz przyszło do podobnej rozmowy, czuł Petrek, że inaczejby odpowiadać nie mógł i nie chciał. Po nocy bezsennej układał się teraz, na spoczynek i nie rychło wybrał do Wrocławia, tymczasem książę ze swym Holszą był już daleko.

Łowczy chciał go znów ostępami prowadzić nazad, ale księciu ochota odpadła od myśliwstwa, kazał gościńcem śpieszyć, nie zbaczając z drogi, i nad zwyczaj swój pośpieszał, a ludzie uważali, że sam do siebie mruczał i gniewny był. Nawet Holszy słuchać nie chciał, psów nie wołał, nie patrzył na nic.

— Stało mu się coś — mruczał Holsza — na tym przeklętym noclegu. Ażali go czarownik ten nie otumaniał i nie zadał mu czego, bo niesłychana rzecz żeby zagnała mu zbrzydły łowy i wszystko czem się wczoraj zabawiał! Uciekaliśmy, uciekali z Krakowa, a teraz na łeb na szyję, z powrotem!

Jechali ledwie przystając i podnocowując, pasąc mało i krótko konie i psy, zmęczeni wszyscy, aż do Krakowa samego. Gdy już Wawel widać było, stała się w księciu zmiana jakaś, zawahał się, jakby nazad w lasy chciał uciekać. Zatrzymał konia, brew namarszczył, począł mruczeć, coś mu w niesmak było, konia targał, obracał nim, aż spiąwszy go nogami poleciał pędem na zamek. Tu przyhywszy, jak stał poszedł do swych izb i zamknął się.

Miał dawniej stały ten obyczaj książę, iż wprost z konia do pani Agnieszki szedł ją przywitać, która zawsze dla powracającego czulszą się okazywała.

Zdziwili się wszyscy, gdy ani spytał o żonę.

Po godzinie oczekiwania posłała księżna Dobka

zapytać Holszy, czy łowy złe były, albo się na nich co stało?

Łowczy nie powiadać nie chciał — ramiony ruszył i zamruczał.

— Czegoś nie swój!

Wyczekawszy późno do wieczora, Agnieszka niespokojna sama poszła do męża. Znalazła go leżącego z głową w dłoniach. Nie bardzo ją witał, rzucił wejrzenie ponure, zamruczał coś i dodał, że znużony jest, a odpoczywać potrzebuje.

Nienawykła do takiego obejścia się, dumna pani, zesła mu z oczów, pewna, że gdy przeminie to usposobienie i nadąsanie, mąż sam przyjdzie ją przepraszać. Tymczasem księcia i tego dnia i nazajutrz nie było, siedział w swej izbie zamknięty.

Chciała Dobka posłać na zwiady, ale tego książe do siebie nie kazał puszczać, odpawiono go od progu. Zląkł się ulubieniec pani. Co się stało!

Księżna sama z południa, ustroiwszy się, dumna, śmiała i zagniewana poszła do męża. Co mu się stało nieumiała odgadnąć, ale czuła niepokój i trwogę, był zmieniony. Najczęściej niewiasta, gdy się lęka sama usiłuje zastraszyć, tak się i teraz stało. Wpadła nań Agnieszka z góry, iż się z nią wysokiego rodu panią, jak z jaką niewolnicą śmiała obchodzić. Posypały się łzy i groźby. Przyszło do tego, iż księżna oddaleciem się i powrotem do Niemiec odgrażać się zaczęła.

Władysław słuchał spokojnie.

— Więc — rzekł, gdy dokończyła narzekania. — Zabierajcie się, miłościwa pani, razem z Dobkiem swym i szukajcie kędy wam obojgu lepiej będzie niżeli tu...

Ledwie wyrazów tych domówił, gdy księżna z gniewem przyskoczyła ku niemu.

— He! — krzyknęła — jużci ktoś Dobka w nienawiść a mnie w sromocie podejrzenie podał. Już! Już ci to wierny sługa szkodzi, bo go drudzy za wierność nienawidzą i szkalują! A mnie z nim, aby się mnie

i jego pozbyli! Coć to z Dobkiem? co myślisz? o co podejrzewasz! mów! Ja nie ścierpię potwarzy!

Władysław nie odpowiedział z początku, lecz zakłopotany był i mieszał się, a księżna nastawała.

— Mówże z kimeś przestawał? kto ci to splótł, bezkarnie mu to nie ujdzie! Żywą nie będę, póki nie pomszczę się na zuchwalcu. Gardło da! gardło musi dać!

Ale napróżno silila się, następowała nań, targła Agnieszka, nie wymogła na nim nic—kazał jej iść precz.

Wnet ludzi, którzy księciu towarzyszyli na łowach wzięto na spytki, kędy bywał, z kim się spotykał. Czeladź pomniejsza nie kryła się z tem, że stawali we Wrocławiu, kędy ich pojono i przyjmowano, że książę Petrka zabrał z sobą, i że razem potem w szalasie noc spędzili.

Więcej Agnieszce nie było potrzeba. Wpadła do męża natychmiast pomsty na Petrka wołając, pewna, iż on, nie kto inny, księciu musiał Dobka i ją dać w podejrzenie. Władysław nie przyznał się zrazu.

— Nie potrzeba na to Petrka było — rzekł — wszyscy po całej ziemi Dobka palcami wytykają, żeś go sobie wybrała i znasz się z nim...

Usłyszawszy to księżna padła na ziemię z płaczem, rzucając się, kląć, narzekając na co jej przyszło, gdy ludzie śmieją sromocić ją i bezcześcić.

— Nie może to tak być—wołała krzycząc i robijając się—albo ja ztąd z dziećmi precz idę do Cesarza brata mego, z żalobą i prośbą, aby ten kraj cały zwojował i zniszczył, mszcząc się krzywdy mojej, lub ten co mnie śmiał oplwać gardło musi dać. I nim gardło da zbrodzień, oczy mu wylupić, nim gardło da język mu podły wyrzezać każe, psom rzucić — psom!

Na krzyk przenikający księżnej, który się po całym zamku rozchodził, nadbiegły niewiasty i na rękach, miotającą się wyniosły do izb jej, gdzie chora na łożu legła.

Za nią zaraz wpadł Dobek, szalem, z zakłęciami, do nóg padając księciu, na potwarcę domagając się sprawiedliwości, wyzywając go na Sąd Boży.

Wśród tych wrzasków książę dzień cały przetrwawszy, przemęczywszy się, już innym stał się. Agnieszka leżała na łożku, które dzieci płacząc otaczały, na widok ich serce ojcowskie zmiękło, sam siebie naprzód, potem Petrka (bodaj przepadł) obwiniać zaczął.

Dowodu przeciw Palatynowi więcej nie było potrzeba.

Dobek się zaklinał, że jeden z nich dwu paść musi, że nie ma innego środka tylko buntownika i potwarcę śmiercią karać. A stawał tak śmiało i zuchwale, że w końcu książę zamilkł i zdawał się na wszystko przyzwalać. Nie mówił jeszcze nic, żonę jednak pocieszać i łagodzić zaczął. Ta zemstą najjażdliwszą, wraz z Dobkiem dyszała.

Gdy znużony Władysław do komnat swych odchodził, pędzono za nim spokoju mu nie dając, ścigał go Dobek, o czem innem nie mówiąc tylko o zemście, tylko o powołaniu do sądu...

Wśród tego zamieszania na dworze dano znać, że posiłki z Rusi przyrzeczone już w drodze są i bojarowie przybyli przodem oznajmując o nich. Jechała ich ich gromada cała w kożuchach długich, w kołpakach wysokich, z toporkami u pasa, a z niemi kilku starszyzny Połowców dzikiej, z którą nikt się ani rozmówić ani obejść nie umiał. Ci sobie obóz pod namiotami w podwórcach rozbili, i swym obyczajem w kotłach krupy, mąkę i mięso końskie ważyli. Byli to ludzie nędznie odziani, choć na brudne łachmany chałaty paradejne powdziejwali, na koniach małych z szerścią najeżoną, z łubianemi kołczanami, z łukami z prostych obręczy, z nabijanemi pałkami. Kędy oni za bojarami ruskimi ciągnąc szli, zewsząd kmiecie i ziemianie biegli ze skargami, bo po drodze dziedzina nie nie szanując plądrowała, zabijała, młodzież

obu plemi porywała i dokazywała co chciała, świętokractw po kościołach się dopuszczając i straszliwych swawoli. Trwoga okrutna poprzedzała już te posiłki, które od północy lały się potokiem krwi i płomieni. Cóż miały ziemie te cierpieć, gdy całe zastępy Polowców nadejdą? Ludzie zawczasu zbiegali w lasy i chronili się do grodków i okopów.

Ze skargami do księcia niedopuszczono ludzi, precz ich z zamku pędząc, a tymczasem posły przyjmowano. Agnieszka wyszła przeciw nim strojna, koronę sobie na głowę włożywszy, obdarzając starszyzną ze skarba, woly i barany rozkazując dla niej piec, kadzie stawić i owsy kupami sypać. Sama z okna na biesiady ich patrząc w ręce klaskała i radowała się bardzo.

Starzy ludzie ze dworu, patrząc na to, chodzili wielce posępni—książę też zrazu zmieszał się, wahał, wyjść odmawiał, lecz wprędce, widząc, że kości rzucone są, nabrał otuchy i mężstwa.

Wysłano zaraz urzędników że dworu i wojska co było, aby zamki osadzić na pana Władysława, i posłuszeństwo mu zapowiadać pod karą śmierci.

Z żoną, niewiadomo jakim sposobem książę się przejednał. Dobek znów pewien siebie, u drzwi stał, służył, biegał, rozkazywał. Z zamku i na zamek dzień i noc szli nieustannie posłańcy, z duchownych, żupanów, ziemian nie pokazywał się już nikt. Niemcy, Ruś, najemny żołnierz sami byli.

Pomiędzy biskupim dworem a zamkiem jakby przepaść stała, jedno o drugim zdało się nie chcieć wiedzieć. Biskup Rupert od siebie słał po dycezyi rozkazy, książę na swą rękę. Co żyło z osad nad drogami i gośćmi, z trzodami, dobytkiem, wozami, uchodziło w lasy. Siola stały pustkami.

Księżna Agnieszka zawczasu tryumfowała, bo jej się zdało, że samą trwogą kraj zmuszą do poddania się, książąt młodych do ucieczki.

— Muszą się poddać i upokorzyć—wołała—bo im

ziemię na kopytach rozniosą i mieczem a ogniem na wskroś spustoszą.

Wpółśród tych przygotowań, dnia jednego rano, Dobek, który już całe swe zuchwalstwo odzyskał, przyszedł do księcia we zbroi, przy mieczu, jakby się w drogę wybierał. Pokłonił się do kolan, na twarzy mu jaśniała radość i niecierpliwość, żrenice pałały.

— Miłościwy książę, jadę z rozkazaniem waszem! — zawołał — klnę się, że nie powrócę, aż je spełnię jako należy.

Książę Władysław popatrzył strwożony, i rękę podnosząc do góry, rzekł:

— Ale gardła mu nie brać! gardła nie brać. Mówiłem

— Najniebezpieczniejszy niedźwiedź, gdy zabity! — mruknął Dobek.

— Nie chcę by zabity był, nie chcę! — przerwał książę stanowczo. — Stanie się li przeciw rozkazaniu mojemu, pemszczę nieposłuszeństwo! Na święte relikwie zagrzysięgam! Gardła mu brać nie dozwolę. Nie.

Dobek zamilkł.

— Masz czego chciałeś — dodał książę lękając się—niech oczyma przypłaci, więcej nie trzeba. Daję ci po nim skarbiec i mienie. Idź i spraw się jako wiesz. Pomsty tej dosyć dla mnie i dla ciebie. Życia mu nie chcę wziąć, aby pokutował.

Po kilka razy Władysław powtórzył niespokojnie: życia nie brać, bom to poprzysiągł!

Milczał Dobek, lecz nie odchodził.

— A jeżeli się bronić będzie i kaleczyć? — spytał.

Władysław odwrócił się gniewny.

— Aż ludzi i rozumu nie masz, żebyś mu się bronić dał? — zawołał. — Jadłem chleb z nim, spał u mego boku, ojcu służył, nie chcę go zabijać. Nawet oczów!.. Wziąć go i osadzić. Zobaczymy co uczynię. Żebrakiem w świat...

Książę mówił, nie kończył, urywał, poruszony

był—a gdy Dobek kłaniając się odchodzić chciał, dodał:

— Pomnij Dobek żem ja na relikwie przysięgał! Uczynisz nadto?—tyleż z ciebie wezmę! Wezmę!

Dobek był już za progiem, biegł już do księżnej, która nań czekała.

— Dał wyrok na życie! — zawołała niecierpliwa—dał!

— Nie —i zagroził mi, gdybym rozkaz przestąpił, zagroził mocno.

— Nikczemny człek co zemsty nie czuje!—odezwiała się księżna z gniewem — policzek wziął i karać nie śmie! Lituje się!

Weź życie! ja za tobą obstanę! Niech gardło da! Rodowi nie darować, wytłuc i wydusić te szczepnięta, dwór spalić, zniszczyć... Sługom nie przebaczyć! Nikomu! nikomu!

Księżna coraz mocniej rozgorzała, mówiła Dobka za suknię targając.

— Nie powinien żyć, kto się przeciw mnie wazył!.. Kołem szarpać, na pal wbić, końmi rozerwać nikezemnika!.. Męczyć go, i niech wie z czyjej ręki zemsta przychodzi... A puścisz go i nie ujmiesz — nie pokazuj mi się na oczy.

To mówiąc wybiegła Agnieszka. Dobek, jako dobry chrześcijanin, na koń siadając się przeżegnał, bo czuł, że brzemie niemale na ramiona wziął i na jakie niebezpieczeństwo się narażał.

Pociągnęli do Wrocławia.

